Ks. Jan Perges

Misjonarze.

Powieść z wojny 1831 r.

(Osnuta na podaniu weterana.)

Przez

Janka z Głodomanka,
autora wielu powieści ludowych.

CIESZYN.

Nakładem Karola Malika.

1879.

Osobny odcisk z „Gwiazdki Cieszyńskiéj“.

Myśl wstępna!

Losy każdego narodu, jakoteż pojedyńczego człowieka, spoczywają w rękach Opatrzności Bożej, równie i w życiu i czynach jego. Powiedzieli Rzymianie: Quisque suae fortunae faber; polskiém przetłómaczywszy przysłowiem, mówimy: Jak sobie kto pościele, tak się wyspi — i słusznie. — Naród polski żył politycznie lat 1000, nie umarł ani skonał, tylko utracił matkę koronę, a dzieci dostały się pod moc macochy. Gdyby przynajmniéj wszystkie razem miały jedne, lżejsza byłaby dola; ale jednemi rządzi niecywilizowana Ksantypa, drugim rozkazuje wyrafinowana grymaśnica, a zaledwie trzecie dostały łagodną kobietę. — I cóż było powodem takiego losu? Między wieloma przyczynami najtreściwszą zdaje się być następująca. Naród polski od początku swojego istnienia, wytwarzając się ze szczepów słowiańskich w 8 wieku ery Chr., był obdarzonym od Stwórcy dwojakiemi darami, urodzajną bogatą ziemią nadwislańską i wolnością konstytucji. Obydwa te dary kochał i szacował wysoko. Polacy zjeżdżali się na sejmy (wiece), radzili nad dobrem kraju, obierali z pośrod siebie książąt, wybór padł nieraz na chłopka. Ta forma rządu podobała się ościennym ludom, przyłączyli się do Polski Szląząacy, Czechy, Ruś, Litwa, Pomorze, Prusy, Inflanty, Kozaczyzna i

Wołosza. Państwa despotyczne sąsiednie niechętnie patrzały na takie instytucje, bały się nawet, aby się u nich wolność niezagnieździła, myślały zawsze o zaduszeniu tej wolności. — Najpierwszy sułtan turecki, Osman młody, za czasów naszego Króla Zygmunta III. panujący, obudził w sobie szatańską myśl rozebrania Polski; posłał nawet w tym celu Skinder baszę na Wołoszczyznę, aby zawojowawszy ten kraj, zagarnął Polskę. Lecz Bóg inaczej zrządził. (Powieść moja: Jeniec z pod Cecory, w „Gazecie Górnoszląskiéj" 1878 w Bytomiu drukowana, bliżej to opisuje.) — Ta piekielna myśl uchwyciła się głowy Prus i Moskwy. Fryderyk Wielki i Carowa Katarzyna dopełnili tego gwałtu, wciągnąwszy niechętną Austrję do sojuszu, i r. 1794 znikła Polska z widowni politycznéj.

Niemcy Prusacy zaprowadzili w zabranych krajach swoje rządy, nieodbierając przynajmniéj wiary ludowi; ale Moskale nietylko że skasowali rządy polskie, zabrali majątki, wypędzili mnóstwo na Sybir, zabronili mowy, lecz także zmuszali do odstąpienia wiary. To postępowanie oburzyło Europę, wolność uduszona w Polsce odżyła we Francji. Francuzi prowadzili wojnę z Anglikami, Niemcami, Prusami, Moskwą, pod Napoleonem I, i utworzyli Księstwo Warszawskie, ale to znikło, gdy Napoleon przegrał pod Lipskiem.

W roku 1815 na kongresie wiedeńskim wskrzesili książęta i królowie Polskę Kongresową, zawarowawszy wolne instytucje czyli konstytucję dla wszystkich prowincyj Polskich. Niestety pierwsza Moskwa niedotrzymała słowa. Car Mikołaj skasował konstytucją

w Polsce, a w Litwie zakazał nawet polskiej mowy; do tego posłał do Warszawy Wielkiego księcia Konstantego, tyrana, który dokuczał Polakom tak okrutnie, że żołnierze idąc na mustrę żegnali się z sobą, jakby na śmierć iść mieli. Takie postępowanie oburzyło wszystkich, a wojskowych do najwyższego stopnia. Porucznik Wysocki w szkole podchorążych zagaił spisek; wskutek tego wybuchła 29. listopada 1830 roku w Warszawie rewolucja. — Polacy ogłosili dyktatorem jenerała Chłopickiego, bo uciekł Wielki Książe Konstanty z Kostanowskim i Krasińskim na czele wojska. Nastało tedy rozdwojenie; partja narodowa wołała wojny, niektóra magnaterja traktowania z Carem. Te dwa obozy nie rokowały nic dobrego.

Przyszło do wojny, Polacy postawili 64.000, Moskwa 150.000 wojska pod jenerałem Dybiczem. Pierwsza bitwa była pod Dobrem, tu się spisał nasz generał Skrzynecki, mając 8 bataljonów wyparł 30.000 Moskali. Chłopicki ułożył plan, aby pod Grochowem zagładzić Moskali, i byłby dokonał naraz tego dzieła, gdyby go był usłuchał jenerał Lubiński i stanął na placu z konnicą. Chłopicki walczył jak lew, odniesiono go z placu boju rannego w obie nogi. Obrano Skrzyneckiego wodzem. Tymczasem Dwernicki pobił pod Stoczkiem na łeb Moskali i wyruszył ku Wołyniowi. Skrzynecki zaś pod Dębami rozprószył jenerała Saakena, zabrawszy 10.000 Moskali do niewoli. Sprawa narodowa podniosła się wysoko; zapał był ogromny.

Litwa gorączkowo czekała tylko chwili, kiedy przyjdzie nakaz z Warszawy, aby powstała, bo pa-

trjoci litewscy posłali byli od siebie dwóch Misjonarzy, Wołowicza i Przecławskiego, po rozkazy. Niemogąc się doczekać ich, a słysząc o zwycięstwie nad Saakenem, powstali Litwini w Trokach i roznieśli wojnę po kraju. Zawrzała tedy wojna i w Polsce i Litwie. — Skrzynecki chciał zgnieść Dybicza pod Ostrołęką, lecz tu odcięto mu jenerała Giełguta od armji, przez co bitwa była nierozstrzygniętą. Polacy cofnęli się ku Warszawie, Giełgut dążył ku Litwie. Widząc Dembiński rozdwojone siły, pogonił za Giełgutem celem niesienia mu pomocy; ale Giełgut już wichrzył. Dembiński wrócił do Warszawy w tryumfie; tu wrzeli wszyscy na Skrzyneckiego, że stoi bezczynny. Zaczęła się tedy szarpanina we własnych piersiach narodu. Ogłoszono Dembińskiego naczelnym wodzem, a Krukowiecki objął dyktaturę. — Tymczasem stała się zmiana w obozie moskiewskim, Dybicza porwała cholera, na jego miejsce nastał Paszkiewicz, przyniósł list od cara do Polaków, że im Car Mikołaj przyrzeka przebaczenie, byle powrócili do posłuszeństwa. Niektórzy łatwowierni wierzyli tej syrenie, tymczasem szachrował Paszkiewicz z Krukowieckim o poddanie się Warszawy, a tak zbliżyła się katastrofa poddania Warszawy na łaskę i niełaskę cara, którą podpisał Krukowiecki na hańbę, bo Moskwa niedotrzymała słowa.

Ten jest króciuchny rys wojny 1831 r. Z tej epoki wybrał autor epizod do skreślenia czynności Misjonarzy, poruszając wszystkie dobre i złe czynniki tej akcji, okazując, ile także prości ludzie wieśniacy przyczyniali się do odzyskania wolności narodowéj.

Jeżeli losy Polski nierozstrzygnęły się na korzyść politycznego odbudowania, to zawsze Polska moralnie odrosła, myśl oswobodzenia i usamowolnienia włościan zkiełkowana urzeczywistniła się później we wszystkich polskich prowincjach — a w Galicji odzyskała konstytucję. Kwestja Polski zeszła do aktu kwestyj europejskich — i Bóg pozwoli, że Polska odbudowana będzie. (Bliższe szczegóły tej kwestji skreśliłem w rozprawie: „Pokolenie Piasta i z nim połaczona przyszłość Europy a szczególnie Polski. Bytom 1878 Gaz. Górnoszl".)

Te są wstępne myśli dla czytelnika, aby pojął osnowę narodowéj sprawy, przedstawionéj obrazowo w niniejszéj powieści.

Autor.

I.

Litwa ma wiele pięknych okolic, a w nich wiele wspaniałych miasteczek, które zachwycają oko przechodnia, wprowadzając go w zadumę i podziwienie, a między wieloma słynie w województwie nowogrodzkiem miasteczko *Rożana*. — Wszyscy się zgadzają na to, że nazwa ta odpowiada rzeczywistości, całe bowiem wygląda jakby róża w pięknym bukiecie, na środku wychylona dla podziwienia kwiatu i pachnideł z niego wychodzących. Było to dziedzictwo ongi sławnego księcia Leona Sapiehy naiwnego i dowcipnego męża, mieszkającego w wspaniałym zamku, przyjmującego szczodrze gości, a między innymi także najznakomitszego króla JM. Władysława IV. z jego miłą małżonką Cecylią Renatą królową polską. Do dziś dnia szczycą się kroniki z tego przyjęcia, opowiadając, że książę ten uczcił Najdostojniejszego gościa przy obiedzie wychyleniem za jego pomyślność kielicha, w którym mieściło się garniec wina. Ten kielich w rodzinie Sapiehów od Zygmunta I. króla polskiego na pamiątkę jego pobytu tu sprawiony, nosił nazwę Iwan, i osobliwsza była przy wnoszeniu jego na stół cer monja; albowiem podczaszy ubrany z lokajami w liberji i przy odgłosie muzyki musiał stawiać tego

1*

bachusa. Lecz przepomnijmy te starożytne zbytki magnaterji polskiéj; pili i bawili się, było bowiem za co, kraj był wolnym, opływającym w dostatki, nie tak jak teraz, że nawet na piwo nie dostaje, bo i od gęby płacić trzeba; wszystko się z wiekami zmienia. Pamiątka jednak dawnych czynów i szczodrych ludzi nie ginie; tak w Różany, chociaż już nie bywają tam tak wielcy i zacni goście, przecie tamtejsi mieszkańce czczą pamięć księcia Leona, dając swoim dzieciom na chrzcie imię Leonów, aby sobie przypomnieli szczodrobliwego dziedzica, który dla zaradzenia nędzy wystawił był trzypiętrowy sklepiony szpichlerz, nazywając go swoją szafarnią, a każdy miał w potrzebie doń przystęp i nie odszedł bez zapomogi do domu.

W owém miasteczku na początku naszego stulecia mieszkał szlachcic, zacny lubiany pan Antoni Przecławski, z swoją nadobną małżonką Krystyną. Był to pan religijny, w wykonaniu spraw akuratny, dla każdego przystępny, wzór pożycia małżeńskiego, dlatego mu też Bóg błogosławił nietylko na fortunie, ale także obdarzył go zawczasu potomstwem. Według polskiego starodawnego zwyczaju sprawił sute chrzciny, popijano za zdrowie nowonarodzonego *Leona*, i nie obeszło się bez toastu na cześć Napoleona I. cesarza Francji. Tak musiało być, albowiem rok 1806 przygotował był ważne dla kraju wypadki; było huczno, buczno, powróciły z tułaczki legjony itp. —

Młody Leoś leżał sobie spokojnie w hebanowéj kołysce, lulali go rodzice, a nic nie wiedziała dziecina, co się w kraju dzieje; nie znał ani Poniatowskiego, ani widział cesarza Francuzów, pokazywała mu tylko matka maszerujących Francuzów na Moskwę; ale chłopczyna nie rozumiał po co i na co. — Tak upływały chwile młodości, pani Krystyna nauczyła synka sama pierwszego abecadła. Nastał czas kształcenia się, na ówczas Warszawa słynęła z nauk, więc zdecydowali się ro-

dzice i oddali syna na edukację do polskiej stolicy, żeby tamże nauczył się nietylko potrzebnych książkowych wiadomości, ale także zakosztował w patrjotyzmie, który zaczynał gasnąć już nieco w zabranéj przez Moskwę Litwie.

Leoś nabrał ochoty do szkół wojskowych, jakoś zasmakowała mu wojaczka, wstąpił tedy po ukończeniu gimnazjum do szkoły artylerji i dobre czynił postępy. Widząc jednak pedantyczne obchodzenie się z wojskowością wielkiego księcia Konstantego, wystąpił z wojskowości i powrócił na łono rodziny. Ojciec nie był przeciwny temu krokowi syna, owszem pochwalił krok jego: „Nabyta nauka się kiedyś przyda, a miałbyś słuchać takiego satrapy, co ludzi topi i tratuje, milsze życie.“ — Syn kontent z przemówienia ojca, oddał się zupełnie życiu prywatnemu. Będąc przystojnym, bogatym, edukowanym, do tego lubownikiem myślistwa, wprowadzony przez ojca do domów obywatelskich, aby się nauczył, jak zwykł mawiać stary pan Antoni: „rutyny szlacheckiéj“ — panicz Leonek zwracał na siebie ciekawe spojrzenia. Niejedna Litwinka byłaby mu przysięgła zaraz wzajemność, ale dziwna, on jakoś nie poznawał się na owych spojrzeniach, nie umiał mowy ócz, nie rozumiał wyrazu ust, a westchnienia ulatywały. Przyczyną zaś téj zimnoty była jego wzorowa moralność, zakorzeniona przez dobre prowadzenie bogobojnéj matki, a ta odejmowała mu odwagę zawarcia bliższych stosunków z kobietami, które się do niego płomieniem zapalały.

Razu pewnego wyjechał był razem z matką ku Słoninowi do *Porzecza*, ładnéj majętności zamożnego dziedzica, pana Kazimierza Wołowicza. Okropnie był kontent z tego zaproszenia, bo się tam miały odbyć na wysoką skalę łowy. — Pan Wołowicz obywatel majętny, słynął z gościnności, wzorowego gospodarstwa i cnót obywatelskich; był lubiany na około, zjechało się

też do niego mnóstwo gości. Aby zaś usunął wszelkie podejrzenie jakiéj politycznéj schadzki, na które Moskale zwracali byli baczne oko, zaprosił ze Słonina oficerów, mirowych, czynowników, słowem czystéj krwi Moskali, mówiąc do żony: I djabłu nie zaszkodzi zapalić świeczkę!

Leon przyjechał z matką wieczorem. Na wstępie powitał ich sam gospodarz; znając stary dom Ginetów, z którego pani Krystyna Przecławska pochodziła, sypał dobrodziejce kadzidła: jaki go zaszczyt spotyka, mając u siebie tak zacnych gości. Po wzajemnych uściskach i przedstawieniu: „mój syn, ukończony artylerzysta z wielkiéj szkoły warszawskiéj,“ wprowadził Wołowicz gości do pomieszkania. Tam znowu przedstawienia, nietylko swéj rodzinie, ale także przybyłym już gościom. Leon zrobił paniom studenckie dygi, starszym matronom ucałował ręce, panom uścisnął dłonie, nie mięszając się wcale, jakby w tym domu był swojskim człowiekiem. Wszczęła się na wstępie pogadanka, a za temat obrano sobie polowanie.

Stary Wołowicz rzekł: „Założyłbym się, że żaden z was Asa w powietrzu nie postrzeli kulą, a mój syn potrafi.“ Leon zaciekawiony zapytał: „A gdzież ten zuch pański, chciałbym go poznać?“ — „Panie! najchętniéjbym go przedstawił i zaprezentował wszystkim gościom, czekam nań jak na deszcz kania. Spodziewam się go z Wilna, już ukończył akademję, moją propozycją będzie, aby przyjął praktykę w cesarskim urzędzie i dorobił się sławy, z takim talentem, spodziewam się, że wkrótce zaawanzuje na mecenasa. — „Chwalebnie,“ odrzekł Leon. — „Tylko mnie niepokoi jego zdrowie, zmizerniał okropnie, dawniéj wyglądał chłopak jak miesiąc w pełni, dziw mu krew nie tryskała z twarzy, dziś ani go poznać; nie rozumiem co to za choroba, radziłem się lekarzy, mówili mi: zdrów, a tymczasem w oczach schnie; musi to być jaka choroba

umysłowa, a boję się jednéj, któréj młodzież teraźniejsza podpada.“ — Leon się uśmiechnął, myśląc: zakochany. — Stary zasię zrozumiał ten ironiczny uśmiech, ruszył ramionami: „Panie, kto wie, czyli nie masz racji,“ i byłby jeszcze więcéj mówił, ale zaprosili do kolacji.

Gospodarz sam zajął się posadzeniem gości przy stole; pani Przecławska prezydowała, z czego się cieszył Leon, że jego matka w takiéj adoracji; Leona zasię posadził przy sobie na szarym końcu mówiąc: „Polubiłem pana, dlatego chcę go mieć po mojéj prawicy, bo sobie dalszą poprowadzimy dysputę.“ — Zajadali goście smaczne zrazy polskie, gospodarz nalał wina, zaintonował „dam zdrowie!“ a młodzież toast powtórzyła. Kolejno pito zdrowie gości, gospodarza, nareszcie stanu wojskowego. — Wołowicz nachylił się nieznacznie do Leona i szepnął: „Ten wiwat wnet im kością w gardle stanie!“ — Leon się uśmiechnął, jednak nie pytał o znaczenie téj sentencji. Wołowicz zasię zapytał: „Czy zrozumiałeś mnie Asendzinku?“ — „Nie myśl pan dobrodziej, aby mi sprawa narodu była obcą, zaniepokoiła mnie tylko ta serdeczność Pańska z oficerami moskiewskimi, bo graeca fides, nulla fides.“ — „Widzę,“ pomruknął stary Wołowicz: „dziś mądrzejsze jajko od kury, zawsze jednak upominam mego syna, aby nie bawił się w szkołach podobnemi myślami, niechaj pamięta, do czego doprowadzają podobne stowarzyszenia,“ i zamilkł, albowiem kapitan moskiewski nadstawiał swoje cienkie uszy, chcąc ułapić nici wątek, aby zań pociągnął starego, jak niejednemu uczynił.

Zreflektował się tedy pan Wołowicz i zapytał kapitana: „Panie kapitanie, czy istnieją w Rosji stowarzyszenia strzeleckie? bo w Niemczech jest pełno owych Schützvereinów, skarżą się wszystkie na nich wilki i zające, bo ich tak wytępiły, że 10 mil uje-

dziesz, a nie zobaczysz zająca.“ — „Na Syberji, rzekł szorstko kapitan, „istnieją te stowarzyszenia, każdy jest strzelcem, boby umarł z głodu nie bijąc dla siebie zwierzyny.“ — Ta mowa zaniepokoiła starego Wołowicza, nie tracąc jednak przytomności, ośmiał się: „to zła perspektywa dla Rosji, jak kiedy powstanie cała Syberja, gotowa zawojować Rosję!“ — Kapitan zagryzł zęby, porwał kielich wina, wychylił, wstał od stołu, a za nim wszyscy ruszyli się goście.

Gospodarz na dobitek zaprosił oficerów do osobnéj komnaty, gdzie zastawiono stolik, i zaprosił do kart, stawiając parę butelek wina koło siebie. Tém ułagodził Moskala, który był zapalonym ferblistą, i zaczyna się akcja: moje, twoje. Z toku rzeczy wypadało, aby dano utargować co kapitanowi. Każdy z partnerów puszczał grosze płynące do kieszeni kapitana, on też nabrał złotego humoru i rzekł: „Na drugi raz ostrzegam pana dobrodzieja, nie ucz młodych ludzi o stowarzyszeniach. Że Polacy konspirują, o tém dobrze wiemy i jesteśmy przygotowani; że Wielki książę Konstanty pragnąłby zostać królem polskim, i o tém wiem dobrze, ale niech wie, że car Mikołaj ma energję, może go spotkać katastrofa cara Pawła, a zresztą zobaczymy...“ — Goście zrobili wielkie oczy, żaden nie powiedział tak, ani siak; gospodarz przypatrzył się na zegarek: „12ta, czas byłoby do spania, bo jutro rano wyjeżdżamy in gremio na łowy, a jak się człek nie wywczasuje, ma zawsze kwaśną minę.“

Po téj mowie rozeszli się goście do przeznaczonych im pokojów. Wołowicz zatrzymał Leona przy sobie mówiąc: „Asindzia zapraszam do siebie, będziemy razem spali, bo mi się pan spodobał, nawetem go polubił.“ Przybliżył się do młodziana i ucałował w czoło. — Wszyscy domownicy i goście rzucili się w objęcia Morfeusza, który tak im pokleił powieki i pozatykał zmysł słuchu, że zaturkotał wózek a nikt nie słyszał, tylko

Leon, bo on jakoś nie mógł zasnąć z powodu, że trochę za twarde usłano dlań na sofie łoże, a księżyc zazierał mu przez okno w oczy. Wtém wchodzi ktoś do pokoju; Leon mając przy głowie na stoliku położoną świecę, skrzesał ognia, zapalił siarnik, a potém świecę. Stary Wołowicz się obudził; stoi na pokoju smukły mężczyzna; ojciec krzyknął: „Witaj Michasiu, moje złoto!“ Syn z ojcem uściskali się serdecznie, potém pan Wołowicz przedstawił Leonowi syna, a synowi akademika warszawskiego. Obaj młodzieńcy podali sobie ręce, i tak po małéj pogadance położyli się znowu na spanie.

Rano po śniadaniu wybrali się wszyscy panowie in gremio na polowanie. Ubito niemało zwierzyny, dwóch rogaczy, siedm lisów, dwa wilki, ptaków tuzin; kapitan tylko spudłował postrzeliwszy siutkę i dowcipny leśny przypiął mu na czapie ogon, z czego się śmiali wszyscy goście, a osobliwie kobiety, zobaczywszy tak udekorowanego rycerza. Moskaluszko zawsze gbur, bo przychodził do pań zosobna, pokazując ten order. Znowu pito przy objedzie i traktowano gości po staropolsku. Po kolacji zagrzmiała muzyka, młodzież ochocza poruszała nożkami z radości, aż się też zaczęły i tany. Było kilka pań, a panien także sporo; Leon przypatrywał się im ciekawie, bo co jedna to piękniejsza Litwinka. Po dzielnym mazurze nastąpił trochę odpoczynek; Leon wziąwszy pod rękę Michasia, wyprowadzili się do osobnego pokoju; tam grali starsi w karty, oni zasię spacerując, mówili półgębkiem do siebie.

„Powiedz mi koleżko,“ zapytał Leon, „kto ta w niebieskiéj sukni?“ — „Ba, gustujesz?“ — „Powiadam ci szczerze, nie widziałem piękniejszéj w Warszawie!“ — „Jestem ci szczerym i otwartym, na cóż masz się palić niepotrzebnie, o niéj myślę już rok drugi, bywam w jéj domu, oni nawzajem u rodziców, rozumiemy się na migi, serca jakoś do siebie gadają, tylko usta nie mają jeszcze odwagi. Byłbym już był uczynił krok

stanowczy, obawiam się tylko pogniewać ojca, który mi ciągle głowę suszy, abym się dosługiwał u Moskala wielkiéj rangi, a przyznam ci się, z gruntu Moskwy nienawidzę.“ — „I cóż myślisz zrobić z sobą?“ — „Ukończywszy akademję, zamyślam zostać hreczkosiejem, takie mi się życie nader podoba, bo mogę pracować dla siebie, dla ludu i ojczyzny.“ — „Chwalebnie, jednéj jesteś ze mną myśli, ja tożsamo uczyniłem, mimo iż mi zapewniano w Warszawie rangę oficera przy artylerji i awans wyższy w krótkości; porzuciłem ten stan, li tylko dlatego, abym nie służył Moskwie.“ — „A więc ściskam cię kolego, jesteśmy jednéj myśli i dążności, doradź tylko, jakimby sposobem przekabacić ojca, aby zniweczyć jego postanowienie.“ — „Daję ci słowo Michasiu, że mu wyperswaduję, ale zaprosisz mnie przynajmniéj za to na wesele, abym prowadził do ślubu tę, któraś wybrał litewską ślicznotę.“ — Muzyka zagrzmiała do kadryla, panicze uścisnęli sobie ręce: „Jesteśmy vis-a-vis, ty pojmujesz Leonku pannę Lidę, ja zasię z moją rodzoną siostrą, która mi sprzyja w zamiarach i postanowieniu.“

I krotofile uprzykrzają się samym lubownikom onychże; po całonocnéj hulance bez ustanku znużyła się nareszcie i młodzież, muzykantom skrzypkom popuchły palce, nastał koniec zabawy i sławnego polowania. Goście wyjeżdżali po jednemu, każdy w swoje strony, do miłego zacisza, mówiąc do siebie: „wszędzie dobrze, a najlepiéj zawsze w domu.“ Leon także siadł ku matce do powoziku, na zdziwienie przysiadł się do nich pan Michaś, chcąc oddać wizytę koledze, którego polubił okropnie. Ta niespodzianka spadła jak mówią z nieba Leonowi, fornal popędzał żwawo cugowce, aż też stanęli w Różanéj.

II.

Wglądnąwszy w polską społeczność owego perjodu, wysuwa nam się bardzo znaczna osobistość na widownię dziejową. Nie był to magnat, wojewoda, albo wódz z Kościuszką porównany, nie; lubo szlachetnego rodu zacnéj familji Litwinów, przecież ubożuchny człowiek co do majątku, ale bogaty w cnoty, bogatszy jeszcze w nauki, a najbogatszy w patrjotyzm; a nim był *Tomasz Zan*, najpierw uczeń, potém profesor, magister filozofji, uniwersytetu wileńskiego. W tym że powiem małym człowieku, umieściła Opatrzność wielkiego patrjotycznego ducha. Ten mąż pojął, że pod wpływem rosyjskich satrapów młodzież w miłości ojczyzny stygnąć nieco poczyna; aby podźwignąć ducha młodzieży do nauki, pracy i patrjotyzmu, umyślił zaprowadzenie braterskiego stowarzyszenia miłośników nauk, wypisując sam jego statuta, które nawet ze strony rektoratu uniwersyteckiego otrzymały potwierdzenie. Na ów czas było w Wilnie przeszło 1000 akademików różnéj narodowości. Z początku nikt nie odgadnął celu téj pięknéj instytucji; młodzież się uczyła, czytała księgi na wyścigi, deklamowała. Naraz oskarżono wspomnione stowarzyszenie, jakoby antireligijnemi śpiewami wyszydzano wiarę; gubernator Rimskoi Korsakow nakazał ścisłe dochodzenie rektorowi Malewskiemu, a ten nakazał rozwiązanie stowarzyszenia. — Zan nieustawał jednak w swoich zamiarach i przedsięwzięciach; wiedząc, że młodzież do nauk się ogromnie zapaliła a jemu wierzy jak Zawiszy, utworzył tajne stowarzyszenie, nadając mu greckie nazwisko *Philaretów*, to jest miłośników cnoty. Jego główną zasadą było kształcenie się w polskim języku i literaturze, w pięknych sztukach i umiejętnościach, i prawie na to samo wychodziło co i przeszłe, tylko ubrano je w innéj barwy suknię.

Twórca podzielił towarzystwo na sekcje, nadawszy każdéj nazwisko jednego koloru tęczy; te siedm sekcyj miały wspólny wydział kierujący całém towarzystwem, a nazwano go *Philomatami*. Tym sposobem spojona młodzież bez różnicy stanu tworzyła między sobą braterstwo, robiła składki na zakupienie dzieł klasycznych, zapomogi dla biednych, a nawet posunięto swoje zamiary do tego stopnia, że na koszt towarzystwa wysłano za granicę najzdatniejszych dwóch członków celem wykształcenia się zupełnego, aby potém zajęli krzesła biegłych nauczycieli. Członkowie czuwali sami nad sobą, nietylko nad nauką ale i nad moralnością drugich. Rozszerzało się też owo stowarzyszenie na wszystkie prawie gimnazja, bo przynosiło zadziwiające owoce. Jednak i to stowarzyszenie zostało odkrytém, spotwarzoném. Niegodziwy profesor matematyki Wyrwicz zrobił donos kuratorowi akademji księciu Czartoryskiemu o tajném stowarzyszeniu młodzieży. Wydelegowany czcigodny profesor Bojanus nie znalazł nic sprzeciwiającego się ani zagrażającego. Philareci zaś zrobili posiedzenie pod prezydencją Zana i rozwiązali się publicznie jako nieistniejący; poprzysięgli jednak sobie wzajemnie, że tajemnica ich nieustanie, tylko uznali ją za wiecznie trwającą, i z płaczem opuścili posiedzenie.

Tak trwało czas jakiś, aż uczeń piątéj klasy gimnazjum wileńskiego, Cezar Plater napisał na ścianach klasy ołówkiem: Niech żyje konstytucja z 3go maja 1791 roku. Gdy tę sentencję przeczytał profesor Moskal, Iwanowicz Ostrowskoj, zaraz doniósł gubernatorowi o spisku młodzieży. Uwiadomiony o tém Wielki książę Konstanty zesłał sławnego satrapę Nawosilcowa, aby wyszukał skompromitowanych. Znalazł ich rzeczywiście, karząc wpakowaniem w zołdaty, 5 uczniów i Platera uwięziono. Zdawało się, że na tém koniec; tymczasem była to pierwsza przygrywka do następnych prześladowań. W czasie wakacyjnym przetrząsano po

Litwie domy i mieszkania niemal wszystkich studentów; na nieszczęście znaleziono u Jana Jankowskiego gimnazjalisty we Swisłoczu spis Philaretów z r. 1820. Zaraz uwięziono wszystkich, między nimi zaległ areszta także Zan. Młodzian Jankowski nie posiadał charakteru stałości, podczas inkwizycji wyplótł co tylko wiedział, wymieniając *Zana*, *Czeczota* i *Adama Mickiewicza* jako głównych kierowników. Natenczas uwięzieniom nie było końca, na całéj Litwie więziono młodzież a nawet i w Polsce. Zan widząc gnijące we więzieniach ofiary, przyjął całą winę na siebie w nadziei, że Moskale przecie resztę uwolnią młodzieży. Moskiewskie szpiegi jednak latali jak wściekli na połów młodzieży, oczerniali przed władzami, że podobne stowarzyszenie niema cechy naukowéj, tylko politycznego komplotu. Car tedy nakazał uwięzić wszystkich kierowników, czyli tak zwany wydział Philomatów, odebrał dekreta czterem profesorom w Wilnie, i nakazał wysłać tychże na Sybir. Zana zawleczono do Orenburga; jedenastu zaś Philaretów do innych miast. Z profesorów godni wspomnienia: Joachim Lelewel, Michał Bobrowski, Ignacy Daniłowicz, Kazimierz Kontrym.

Co się wtenczas w Litwie działo, trudno opisać, matki opłakiwały swoich synów, ojcowie umierali z rozpaczy, kwiat młodzieży gnił w więzieniach, mniéj winni musieli walczyć jak proste żołdaki pod murami Warny z Turkami, mała liczba powróciła na łono rodzin, opłaciwszy się wysoką kontrybucją. — Ta przez godnego podziwu męża stworzona, niewinna instytucja, mająca na celu li tylko wykształcenie i umoralnienie młodzieży, przez podobne sparaliżowanie stała się rzeczywiście zarzewiem prawdziwego spisku i konspiracyj. Sami Moskale obudzili w Philaretach ducha patrjotyzmu, rozdmuchali ogień zapału do walki na śmierć i życie, albowiem młodzież sprzysięgała się teraz nie w celu nauki, tylko w celu zemsty za braci niewinnie

spotwarzonych, nauczycieli zhańbionych. Do stowarzyszenia Philaretów przystąpiła cała Litwa, wielki i mały pan, i sługa, nawet chłopi szczycili się, że mogą uczestniczyć w stowarzyszeniu Philaretów.

Dlatego też, skoro przybył pan Michał Wołowicz do państwa Przecławskich, zagadnął go pan Antoni słowem: „Philaret.“ — Michał się uśmiechnął, uścisnął dłoń gospodarza, wiedząc, z kim ma do czynienia i w jakim domu się znajduje. Michał z Leonem stali się nierozłącznymi przyjaciołmi, ani węzeł krewieństwa, ani miłość dziewicy niełączyłaby była nigdy tak spojnie dwie dusze, jak ów wyraz Philaret, bo takim samym duchem napełniona była wszystka młodzież polska względem swoich nieprzyjaciół Moskali, którzy zabronili światła, jedynéj podstawy bytu i dalszego rozwoju w niewoli. — Moskwa tedy sama rozdmuchała ducha patrjotyzmu w Litwinach i Polakach, kładąc podwalinę do owéj okropnéj wojny w r. 1831. Ztąd czytelnikowi wyjaśnia się usposobienie moralne Leona i Michała, młodzianów w pełnéj sile młodzieńczego wieku; nie myślał jeden ani drugi o zbytkach, pijatyce, romansach, bo stowarzyszenie Philaretów czyniło młodzież cnotliwą. Dlatego Michał licząc lat 24 a dwa lata widując Litwinkę, nie zapalił się żądzą ani nawet śmiał wypowiadać dziewicy tajnie co jego serce czuje. Z tego powodu wziął Leona za pośrednika, aby mu najprzód u ojca, a potém u Litwinki utorował do zamierzonego celu drogę.

III.

Zabawiwszy kilka dni w Różanéj i porobiwszy nowe znajomości, udali się obaj młodzieńcy do Porzecza. Wołowicz stary prawie powrócił był z Grodna, przypatrywał się młodym kawalerom ciekawie, jak księgi czy-

tywali, na polowanie wychodzili, o gospodarstwie dysputowali. „Hm,“ rzekł: „bierzecie się zawsze nie w swoje rzeczy. Jeżeli wam hreczkosiejstwo tak smakuje, na cóż było niepotrzebnie mozolić swoją głowę nad matematyką, fizyką, geometrją, inżynierją!“ — „Przepraszam pana dobrodzieja,“ odezwał się skromnie Leon, „wszystko się przyda, matematyka dla ojczyzny, hreczkosiejstwo dla siebie.“ — Stary zrobił wielkie oczy i pogroził: „Niechże się wam znowu nie zachciewa konfederacyj, bo one zgubiły nam ojczyznę. Krzyczałem i ja wiwat na konstytucję 3. maja, a na cóż się przydało; sparzyłem się na żelazie rozpalonem, teraz na zimne dmucham. Spokój święty, ten nam potrzebny, nie wiesz to Waćpan sentencji: Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur.“ — „A jak sami nieprzyjaciele zakłócają ów spokój, cóż tedy?“ — „Masz Waćpan na myśli Philaretów? żeby był Zan nie popieprzył owego stowarzyszenia polityką, nie byłoby w kraju tyle nieszczęścia, co się go namnożyło.“ — „Ależ ojcze,“ przerwał syn, „gdyby trzech szewców na spół kupili skórę, a widzieli Moskale, jużby ową spółkę poczytali za komplot spiskowy, bo na złodzieju czapka gore! Zan wiecznie żyć będzie w narodzie, za to jedynie, że go nauczył myśleć nad sobą, obudził miłość do oświaty, zachował od zepsucia, które się rozszerza z Moskwy jak morze. Czybym był niepowrócił z Petersburga jak szkielet, jak inni powrócili, co ledwie skórą mają powleczone od rozpusty ciało; czyby nienaprzykrzali się byli już żydkowie z wekslami i niezagarnęła licytacja majątku połowy; czego mamy w sąsiedztwie przykłady? Zan naszym ojcem, naszem odrodzeniem się, on był więcej niż kapłanem.“

„Słusznie, przyznaję Ci po części, tylko nie bierz na gorąco tych rzeczy. Za Moskalami nie jestem, jednak uważam, żeśmy się od urzędów ofiarowanych odciągać nie powinni, bo inaczej Moskwa poobsadza miej-

sca swojemi, my tedy pójdziemy w kąt i kłaniać się musim lada biesowi niepotrzebnie, a gdyby jeden i drugi objął bióro, prędsza byłaby i sprawiedliwsza sprawa dla każdego.“ — „Pogląd pana Dobrodzieja sięga wprawdzie w istotę rzeczy,“ przemówił Leon, „ale nam o więcéj chodzić powinno, niżeli o procedury. Język, czyli mowa, a potém wiara, to dwa punkta, na których naszą przyszłość zbudujemy. Pan Dobrodziéj chce obsadzić urzęda Polakami, Litwinami. Niechby się i tak stało. Młodzian zostawszy czynownikiem, musi urzędować w języku rosyjskim, przyswoi sobie obcą mowę. Moskwa zarządzi nim podług upodobania, przesiedli go w głąb gdzie za Wołgę, a przeniesie ztamtąd czystéj krwi Mongoła na jego miejsce; dwojaka ztąd wyniknie strata: Polak idąc w ruskie ziemie, zruszczeją jego dzieci nie słysząc ani w szkole, ani kościele, ani od rodziców swojéj mowy, zapomną obyczajów i ojczyzny, a powoli porzucą wiarę ojców swoich. Zasię przypędzony tu Moskal przybierze postać baranka, wkradnie się do serca Polki Litwinki, połączy się z nią węzłem małżeństwa, powoli osiędzie na naszych majątkach i dzieci swoje zmoskwici, bo muszą iść według rządowego prawa za wyznaniem ojca.“ — „Okropnie! nie myślałem o tak głębokiéj polityce.“

„Oczywista panie Dobrodzieju i namacalna prawda, widzimy ją wykonaną w praktyce. Czy Wielki Książę na darmo pojął Polkę, albo inni wielcy dostojnicy? nie w innym to celu, tylko aby za ich przykładem postępowali wszyscy urzędnicy od jenerała do porucznika, a tak zmoskwicili kraj cały. Każdy tedy prawy Polak powinien unikać wszelkich związków z Moskalami; naśladujmy naszych chłopków, oni się sami z sobą tylko żenią, nie opuszczają zagród, trzymają staréj sukni i wiary. Dla nas szlachty niech to będzie nauką, niech szlachta pilnuje swéj ziemi, żeni się w kółku narodowém, pielęgnuje dziatwę, uczy języka, swojskiéj historji,

a trzyma się swego wyznania, tym sposobem oprzemy się moskwiczeniu. Patrzmy na Żydów, oni z powodu tego, zawsze żydami, bo żyd żeni się tylko ze żydówką, zachowuje swoje wyznanie i pokolenie.“

Stary Wołowicz przybliżył się do Leona i ucałował go serdecznie, rzekąc: „Oby wszyscy tak myśleli i działali!“ A Leon dodał: „Widzi Pan Dobrodziej, ja także ukończyłem akademję, obiecywali mi rangi, inny możeby się dał zbałamucić, posłaliby go tedy jako kapitana na Kaukaz, tam przewiędniałoby mu życie, z tęsknoty pobrałby się z jaką Czerkieską i tak zmarniał dla narodu; przeczuwałem ten koniec, dlategom porzucił obiecanki, przybyłem na łono rodziny i tu z wolą Bożą zgadzając się, upatrzę jaką dziewicę, a będziemy pracowali na wzór przodków naszych, zachowując tradycje przeszłości!“ — „Czemużeś mi też nie powiedział Michasiu wprzódy,“ rzekł starzec do syna: „jakie łapki na narodowość naszą zastawiła Moskwa, anibym ci był półsłówkiem nie proponował służby rządowej.“ — Michaś teraz ośmielony rzekł: „Nie chciałem pogniewać taty.“ — „Boże zachowaj! zostaniesz w domu, zastosujesz swoją naukę do gospodarstwa i staniesz się podporą mego pokolenia.“

Michaś spojrzał na Leona, ten zrozumiał mowę óczjego, wstał, podjął za ramię koleżkę, mówiąc: „Tak, zosteniemy hreczkosiejami jak nasi ojcowie, niech się inni dorabiają honorów pod chorągwią Konstantego, byle ich nie napędził do Wisły, jak w Wiedniu uczynił przy defiladzie. Pułk już był nad Dunajem i stanął, a on poczęstował pułkownika policzkami, dlaczego nie posłuszny rozkazom inhabera! ale musiał zmykać z Wiednia, boby mu się było oberwało.“ — „Nie wiedziałem o tej sprawce, może jedna z bajek, jak Krasickiego wojna mysz?“ — „Głośno o tem było w Warszawie panie Dobrodzieju, to człowiek choleryk, gorączka, mało mu wylać dziennie na głowę dziesięć ce-

brów wody.“ — „Przydałoby się memu synowi choć połowę,“ ośmiał się Wołowicz; syn poczerwieniał: „z przyczyny?“ — „No, no,“ pogroził Wołowicz synowi: „i ja byłem młodym, dlatego ci przebaczam, a zresztą domyślam się, dlaczego odpychasz publiczną służbę, zmiękczało ci serce do... ale dajmy pokój, przynajmniej i mnie się podoba chociażem stary, a cóż dopiero w 24 latach jak ty.“

Leon się ośmiał na całe gardło, porwał za rękę Michasia i wyszli z pokoju na podwórze. Zobaczywszy starego furmana, który ojca jeszcze wiózł do ślubu, a przy dworze zdarł zęby na usłudze, rzekł doń Michaś „Bojku co ty robisz?“ — „Paniczu! reperuję wózek, a daleka droga, nie żart.“ — „Kto ci kazał, gdzie masz jechać?“ — „Jmość, na jutro mam mieć wszystko gotowe, pojedzie do *Leśna* na odpust, tak mi mówiła, z czegom kontent, bo też tam będę na tém świętém miejscu raz 20ty.“ — „Chodźmyż do mamy, co jéj się znowu przyśniewa?“

Pani Marja Wołowicz, jedna z bardzo zacnych matron, krzątała się w kuchni, wydając rozkazy. Zobaczywszy młodzianów, wzięła ich za ręce, prowadząc do ogrodu, całowała syna, a Leonowi także się w czoło dostało. „Mój najpoczciwszy,“ wyrzekła rozpromieniona „zwyciężyłeś, słyszałam waszą rozmowę i przecie spełniła się moja wola, że stary porzucił myśl urojoną, aby syna nie dał na moskiewskie usługi.“ — „Prawdziwie kochana mamo, Leon umiał trafić w samo serce, za co mu wdzięczny jestem okropnie.“ — „Ależ dzieci! czyż to nie możecie w domu służyć Bogu i ojczyznie, czyliż hasło wielkiego nam Zana nie zagrzeje was do czynów prawdziwéj cnoty? Mojém zdaniem jest, aby każdy Polak i Litwin był na zawsze Philaretą; tak mnie ucieszył ów zwrot przekonania mego męża na lepsze, żem w téj chwili uczyniła ślub, pojadę do cudownéj Matki Boskiéj w Leśnéj i podziękuję za pomyślność mego

domu. Możebyście mi chcieli towarzyszyć, ha!“ — Panicze odpowiedzieli ucałowaniem rąk matronie i w téj chwili pakowali manatki do podróży.

IV.

Kiedy wielki bohater Polski król Jan Sobieski Wiedeń od Turków (1683 r.) oswobodził, w tym samym czasie objawił się obraz Matki Boskiéj w wiosce Leśna koło Brześcia litewskiego, milę od miasta Białéj, w cudnéj na wzgórku okolicy. W trzy lata późniéj wystawił Kazimierz Michałowski, skarbnik Orszański, na têm miejscu murowaną kapliczkę, a ową gruszkę, na któréj ten obraz się objawił, zachowano jako relikwję. Księża Paulini wystawili tutaj wspaniały klasztor (1699), do którego się zbiegają niemal z całéj Polski i Litwy pielgrzymi. — I to nam nie zawadzi wiedzieć, że wioska Leśna szczyci się urodzeniem chłopka Jana Michałowicza, służącego sławnego z dziejów wyprawy Jana króla pod Wiedniem, Grzegorza Kulczyckiego, który zlustrował jako szpieg obóz turecki ze służącym swoim, donosząc królowi o sile nieprzyjaciół i stanowisku onegoż. Sam cesarz wynagrodził Kulczyckiego za tę usługę przywilejem, założenia pierwszéj kawiarni w Wiedniu. — Otóż ten chłopek Michałowicz, po turecku jak jego pan przebrany, modlił się zobaczywszy obóz turecki z podniesionemi rękami, wzywając pomocy Boga rodzicy. Bóg widać wysłuchał modlitwy prostaczka, i w jego rodzinnéj wiosce na gruszy, co była własnością Michałowicza, objawił się obraz. Wielka ztąd jest wiara ludu litewskiego do tego miejsca. — Dlatego nie dziwmy się, że pani Wołowiczowa uczyniła ślub podróży do miejsca tego. Zaprzągnięto nazajutrz konie, i pojechali w trojgu do Leśny. — Po drodze wstąpili do Różany; rodzice Leona ucieszeni, chcieli zatrzymać tak miłych

gości dłużéj u siebie, ale pani Wołowiczowa wyperswadowała im swoją inteligencję, prosząc tylko o towarzystwo syna, z czego byli nader zadowoleni.

Odpust, jak wszystkie tego rodzaju schadzki, odbywał się solennie. Ludu było do 100.000. Każdy prawie z osobną intencją. Młodzi panicze zeszli się z wieloma ze szkół znajomymi, odświeżała się dawna pamięć lat koleżańskich szkolnéj ławki. Między innymi zjawił się tu Wicenty Matuszewicz, urzędnik sądu grodzieńskiego, człowiek bardzo światły i z czasów sławnego klubu Philaretów mąż znakomity. Jaka była jego intencja odpustowa, nie wyjawił swéj myśli, ale że była pewna ani wątpić. Zobaczywszy tych młodzianów, uczepił się ich na przekorę i ciągłą zaczepiał ich dysputą: co tam w słonińskim nowego, czy ludek pobożny, czy w dworach czytywają księgi? Ta mowa naprowadzała ich na różne domysły, nawet Leon szepnął Michasiowi: „miłośnik widzę nauk.“ — Matuszewicz cienki mając słuch, przychylił się do młodzieńców: „Philareta.“ Zrozumieli się teraz, uściskali sobie ręce i pomówili na osobności o stosunku kraju. Matuszewicz ośmielony zapytał: „Ażali panie i panienki nie należą w waszéj okolicy do wielbicielek cnoty?“ Na to pytanie nie umieli odpowiedzieć; zatém Matuszewicz rzekł śmiało: „Wkładam na was obowiązek, obznajomienia tych istót z zamiłowaniem cnoty obywatelskiéj, cnoty religijnéj i cnoty swojéj, bo w naszych stronach to hasło dokładnie rozumieją dziewice.“ — Nie lada było zadanie dla młodzieńców.

Skończył się odpust, przybyli pątnicy do rodzinnych zagród. Michasia parzyła myśl rzucona przez genialnego Matuszewicza: czy znajome panny rozumieją, co to byli Philareci, a czy i one są rzeczywistemi Philaretkami? — Czekał tedy na przybycie Leona, który mu dał słowo, że najdaléj za tydzień go odwiedzi. Podobny okres stawał się mu jednak rokiem, on był nie-

cierpliwy, posłał tedy umyślnego posłańca do Różanéj z prośbą: „Niech natychmiast przyjeżdża pan Leòn, bo urządzam wielkie polowanie.“ — Leon nie zasypiał gruszek w popiele, stawił się prędzéj niżeli spodziewał się był Michaś.

„Wiesz co Leonie?“ rzekł Michaś, „spróbujemy obaj, jak to pójdzie, obmyślimy zawczasu stanowiska, a zatém jedźmy w knieje.“ — „Nie zła rada, postawić nam się na polowaniu wypada, tamtym razem nie ubiliśmy nic, jakoś wobec dam nie po kawalersku; zgoda.“ — I wyjechali konno. Dzień był piękny, jesień uśmiechała się do przechodnia, prawdziwe babskie lato dodawało ciepła. Michaś przebiegł z leśnym wszystkie stanowiska, dowiedział się, gdzie najpewniéj przesmyka się zwierzyna, zatknął znaki a mając przed południem plany te gotowe, rzekł do Leona: „Jesteś dobrym jeźdźcem?“ — „Przecieżem nie spał na ekwitacji w Warszawie.“ — „A no, koleżko wsiadaj i popędzimy do Litwinki.“ — „Ciągnie cię przecie ten magnes,“ ośmiał się Leon, „zgoda!“

Naśladując samego Mazepę, pędzili jeden za drugim, aż się za niemi kurzyło. Nad samym wieczorem, bo słońce gasiło światło swoje, wjechali na podwórze. Między gęstą drzewiną naokoło, stał dom podłużny parterowy, z gankiem szklannym, omajonym dzikiém winem. Dworscy posługacze zobaczywszy gości, przybiegli i potrzymali konie. Michaś więcéj znajomy szedł do drzwi gankowych naprzód a Leon za nim; drzwi się nareszcie otwierają. — Stara Jmość w bialutkim szopowatym czepeczku, mając fartuszek przypasany, otwierała i wykrzyknęła: „Co ja widzę, pan Wołowicz!“ a zobaczywszy drugiego młodziana, zapytała bez zająknienia: „kogóż mam przyjemność powitać?“ — „Mój przyjaciel od serca, pan Przecławski z Różanéj.“ — „Tak, cieszy mnie, proszę panów, bardzo proszę, ucieszą się córki, a panowie ich też pochwalicie, bo odby-

wają lekturę, dzieła Tańskiéj Hofmanowéj na tapecie, ani ich oderwać, tak im zasmakowały.“

W saméj istocie panny przy stoliku i rzęsistéj lampie czytają sobie na głos najnowsze dzieło téj nieocenionéj polskiéj autorki pod tytułem: Familijna biblja. Tak były zainteresowane treścią, że matka wprowadziła kawalerów do salonu, ci stanęli przed niemi, a Lida czytała bez ustanku, aż młodsza panienka krzyknęła: „Lidziu panowie!“ — Panienki porzuciły książki, patrzą się, poznają kawalerów, z którymi się tyle natańcowały noc całą na Porzeczu. — „Ale panowie nie grzeczni, któż widział podsłuchiwać nasze czytanie, aby potém poddać naszą deklamację pod surową krytykę!“ — „Przepraszamy najmocniéj,“ rzekł Leon z powagą, „nie nasza wina, słuchaliśmy starszych. Wielmożna mama Dobrodziejka nas na cichacza tak wprowadziła.“ — „Ej, bo mama zawsze tak nas kompromituje.“ — „Panie darują, nauka nie jest żadną kompromitacją, owszem wielką zaletą, bo nauka jedynym celem narodu, przez nią wzrastamy, mocniejemy, postępując naprzód ku przeznaczeniu nam wskazanemu. Jeżeli kiedy, to dziś muszę oddać hołd cnocie,“ i ukłonił się niziutko panienkom, które także oddygły.

Tém przemówieniem Leona ośmielone panienki nadstawiają same krzesła, mówiąc: „siadajcież panowie, prosimy, prawdziwie żeście znaleźli u nas dziś taki nieporządek. Zosiu, posprzątaj ze stołu te książki i papiery.“ — „I zkądże panowie tak późno powracacie?“ zapytała Lida. — „Pani!“ ośmielił się do przemówienia Michaś, „ani powracamy, ani jedziemy daléj, tylko przyjechaliśmy umyślnie, abyśmy się podzielili odpustem.“ — „A to zabawne, to mnie cieszy, z jakiego odpustu gdzie?“ — „Myśli pani, że należymy do tak zacofanych,“ wtrącił Leon, „żebyśmy nie czcili pamiątek narodowych i religji?“ — „Nie przeczę panie Leonie, ale mnie to nie mało zadziwiło, bo żeście poszli nie z pobożności

ani dewocji, tylko na cenzurę, nie wątpię wcale.“ — „Przepraszamy, ostatnie zdanie nie nas tyczy,“ rzekł Michaś, „pierwsze zasię lubo nie wyszło z głów naszych, jednak czwarte przykazanie wkłada obowiązek na każdego chrześcianina, żeby był rodzicom swoim posłusznym. Mama Dobrodziejka zaproponowała pielgrzymkę de Leśna po zwycięztwie niemal większém, niżeli było Sobieskiego, bo mnie uwolniło od służby wrogów naszych.“ — „Wcale pana Michała nie rozumiem.“

„Otóż pani,“ przerwał Leon, „pan Wołowicz chciał mieć swego syna czynownikiem moskiewskim w nadziei, że kiedyś zawładnąłby jako gubernator nad Litwą, tymczasem przekonałem starego, że podobne marzenia należą do stawianych zamków na powietrzu, uwolnił tedy syna przystając na zwyczaj stary, aby sobie został według starej mody polskim szlachcicem hreczkosiejem; pracując dla siebie, familji i narodu, a strzegąc mowy i wiary, którą wrogowie nam wydrzeć zamierzaja!“ — „A tak, więc zwycięztwo nie lada, wartało odpustowego podziękowania. Nierozumiem tylko ani pojmuję, aby był pan Wołowicz tak zacofanym, by czynić Moskwie z syna swego ofiary.“ — „Tak znowu, Pani, nie jest. Ojciec pana Michała należy do pierwszorzędnych patrjotów, tylko kalkul jego zawiódł myślenie. Jego propozycją jest, aby Polacy objęli wszystkie urzęda, pomimo iż je rozdaje Moskwa, a takby się stali kierownikami kraju; tymczasem nie pomyślał nad tém, co Moskale robią. Oni Polaków przesiedlaią do Moskwy, a Moskali pakują w zabrane kraje; chociaż ich nie zmoskwicza, to rachują na pokolenie. Tę myśl odkryłem panu Wołowiczowi, złapał się za czoło, i dziśby nie dał pod żadnym warunkiem syna do służby ani urzędu wroga.“

„Alboż się panowie nie przydacie dla siebie? spodziewam się, że naród polski ani też litewski nie będzie w wiecznej niewoli. Właśnie czytam o żydach, że ten

naród był 7 razy w niewoli, i zawsze wychodził; toż my popadłszy pierwszy raz, mamy nadzieję, że wyjdziemy.“ — „Gdyby też pani Lida zechciała na siebie przyjąć rolę Estery,“ ośmiał się Michaś, „możeby nas car pierwéj wypuścił.“ — „Żart za gruby pana Michała. Jednak mówię otwarcie, gdyby to zależało od méj osoby, poniosłabym największą ofiarę, bo zaraz dałabym w zastaw życie.“ — Panicze wstali z krzeseł i ukłonili się Litwince: „Chwalebnie panno Lido, nie wątpimy o poświęceniu się naszych pań, a tém mniéj o pani; gdyby Zan usłyszał to przyrzeczenie, zapewnieby pani została prezesową Philaretów.“ — Litwinka popatrzyła się zpod chmury na paniczów; jéj ściśnione usteczka oznaczały pogardę wyśmiewiska z tak błogiego stowarzyszenia; po pauzie rzekła z przycinkiem: „Nie spodziewałam się, aby panowie byli zwolennikami Wyrwiczów. Zan zostanie zawsze bohaterem narodu, a fałszywych oskarżycieli trafiła już kara Boża; Baikoffa raziła już apopleksja, Ławrynowiczowa rozpustna choroba zabiła, Bera zabił piorun, a Botwindko leży już przeszło rok jako łazarz na pokucie, ani pies nie szczeknął na ich pogrzebie.“

Młodzieńcy widząc zadraśnięte serduszko dziewicy, a przekonawszy się, że jest w rzeczywistości zwolenniczką stowarzyszenia przyjaciół cnoty, zaczęli przepraszać: „Ależ pani, tak źle nie myślimy, niech pani daruje, my także Philaretami.“ — Nie, dziewica została od téj chwili zimną dla nich, oddaliła się od stołu, niby zatrudniona krzątaniem się koło kolacji, unikała dysputy. Panicze też porozumiawszy się oczyma, skierowali na inny przedmiot mowę, zaczęli rozmowę z Jmością wypytywaniem, jak popłaca tegoroczne gospodarstwo, jak się chowają krówki, kiedy znowu będą mieli szczęście powitać całą familję w Porzeczu. Nareszcie dano kolacją, mierniutko, skromniutko. Michaś bywając w tym domu, zdziwił się na to skąpstwo, bo kiedyin-

dziéj występowali państwo suto. Odgadnął on w duszy przyczynę, lecz milczał, a jego więcéj jeszcze piekł żal, niżeli pogarda obrażoną pannę Lidę. Po kolacji rozeszły się panny w swoje kąty, niekiedy tylko dla etykiety jedna się po drugiéj przysiadywała na chwilę. Panicze widząc błąd swój nierozważny, pożegnali dom Litwinki i w ciemnéj nocy odjechali. — Do nitki przemoczeni, bo na dedniem napadł ich deszcz z zawieruchą, głodno i chłodno zaledwie na samo południe powrócili do Porzecza.

V.

Pan Wołowicz widząc zmizerowanych paniczów, zaczyna pytać: „A wy znowu gdzie całą noc przebywali?“ Michał milczał. Leon zasię uśmiechał się: „Niech pan dobrodziéj źle o nas nie myśli, kto ślubował Philaretom, ten się nie splami.“ — „Co asendziu mówisz? Philarectwo przeminęło, tylko zostawiło po sobie niemiłe wspomnienia i jęki.“ — „Idea, panie dobrodzieju łaskawy, nie ginie, cnota znajdzie zawsze wielbicieli, oprócz Moskali, którzy nią, a przez to sobą poniewierają.“ — „No i gdzieżeście bawili noc całą?“ — „Michaś zaproponował odwiedziny panny Lidy.“ — „Tak, do biesa, porządna porcja drogi, do tego na siodle. — Czyście zastali przynajmniéj w domu, bo ich trudno zastać, zawsze wyjeżdżają.“ — „Oprócz samego gospodarza wszystkie osoby generis feminini.“ — „I to was nie zaprosiły na nocleg?“ — „Samiśmy temu winni.“ — „Jakżeż można łamać karki po nocy, tam jest piękna oficyna, przespać się było trzeba i wyjechać nazajutrz, nie tłuc się po nocy.“ — „Michaś panie Dobrodzieju zachmurzył niebo, a za to nas też deszcz zlał bez miłosierdzia.“ — „A to znowu co, Michasiu, cóżeś tam znowu strzelił baka?“

„Mój ojcze! kobieta to wiatr, słówkiem więcej się obraża, niżeli czynem; ośmiałem się z Lidzi, żeby przyjęła na siebie rolę Esterki a wybawiła naród z niewoli.“ — „Dziecinnie, nie widzę w tem obrazy, że jest w istocie piękna, ani słowo, nazwę ją cudowną, bo ten przymiot jéj przynależy; żeby serce było równo usposobione z postacią, natenczas klękajcie, onaby była królową Litwinek; tak zaś dalece nie sięgają moje spostrzeżenia, mówią: pierwéj zdołasz połknąć siedm beczek śledzi, niżeli poznać charakter kobiety, czy prawda nie wiem, ale na darmo niepowiedziane. Ojciec uczciwy; matka, znam ją jeszcze jako podlotka, przezacna; jeżeli ma być prawdą, że niedaleko padnie jabłko od jabłoni, więc i córka powinna być dobrą, chyba że czasy i okoliczności skrzywią usposobienie.“

„Ojcze! mnie się zdaje, ona Philaretką.“ — „Nie płeć, wy szkolarze w każdym chcielibyście widzieć Philaretę; co ci się znowu śni? jeszczem nie słyszał, aby się kobiety w podobne komplota bawiły. Dla kobiety kołowrotek, robótki, kuchnia, spiżarnia, to filarectwo, ale polityka do nas należy.“ — „Nie sprzeczam się ojcze, bodaj mnie moje spostrzeżenia nie zawiodły, ale jeżeli rzeczywiście tak jest, dałbym za nią życie! — „Oj młodziki, nierozważne młodziki! a nie wiecie to, i młody osieł ładny? Życiem nie szafuje się tak, jakby nam się podobało, ofiara życia jest wielką, raz tylko żyjemy na świecie, dlatego też idea, za którą życie byśmy ofiarowali, musi być wielką. Nie czytaliście to klasyków, między innymi o śmierci ostatniego króla Ateńskiego Kodrusa, kiedy walczył z Peloponesami? Kiedy oblegli nieprzyjaciele Ateny, a on się dowiedział, że tylko wtenczas będzie ocalona republika, kiedy on zginie, przebrał się nieborak za pastucha, wziął na ramię tobołek i poszedł do obozu nieprzyjacielskiego, a dla zaczepki uderzył swoim tobołkiem w głowę żołnierza, który w złości odwetu powalił Kodrusa na zie-

mię i zabił. Poloponesanie zobaczywszy zabitego a poznawszy króla, uciekli bojąc się, aby w wściekłości nie wypadli Ateńczycy i nie wytłukli ich do nogi. Za wolność ojczyzny dał Kodrus życie. I wiele przykładów pięknych przytoczyłbym wam młodziki. Tak Jeftego córka ofiarowała życie na spalenie za ślub przez ojca przed zwycięztwem Bogu uczyniony. Dido przysięgła mężowi wieczną miłość, i ofiarowała życie, gdy ją naród niewolił w zamężcie. Lukrecja za wstyd utracony także życiem szafowała sama. A cóż dopiero o naszym narodzie! Św. Stanisław utracił życie z przyczyny, że nie folgował rozpuście króla. Wiekopomny bohater Żółkiewski legł na cesarskich polach rozsiekany, lubo mu syn dawał konia do ucieczki, aby zachował honor armji jemu od Rzeczypospolitéj powierzonéj. Życie nie bagatela, aby niém szafować według widzimisię, jak czynią dzisiejsze młokosy, wyzywając jeden drugiego na pojedynek, szafując życiem za głupie czarne oczka. Tu trzeba dopiero wielkiego sądu, czyli te czarne oczka wartają ofiary życia lub nie.“

„Ej tato kochany, bez urazy powiem, Lida warta téj ofiary.“ — „Zkądże, na jakim fundamencie?“ wykrzyknął stary Wołowicz, „czy ona bohaterką ojczyzny, czy co? Dopiero zrzuciła majtki, daléj zapewnie nie była jak w Słonimie, a jeżeli w Leśnéj, chwałaż ci Boże, wyprzedził ją mój fornal, będąc 20sty raz na odpuście.“ Nareszcie dodał z gniewem: „zawsze mieszaniec, on Litwin, ona Ruska,“ machnął ręką, wyszedł z pokoju zostawiwszy młodzianów, niech sobie w duet podmuchają. — Leon zaczął się śmiać na całe gardło, Michał zasię pokręcał wąsika. „Gadajże ze starym, on zawsze zacofany, wypada znowu nowe nastroić nań przekonalne, namacalne baterje, że Philaretka jest prawdziwym ideałem, który na równéj szali waży się z życiem.“

„Mój Leonie! jéj oburzenie się na nas bynajmniéj mnie nie przeraża, owszem dodaje potęgi przekonaniu,

że w czynie jest prawdziwą wielbicielką cnoty, jest zatém Polką w całém słowa znaczeniu, a od niéj mogę się spodziewać nietylko wzajemności miłości, ale także poświęcenia, nieprawda?“ — „Podzielam twoje zdanie w zupełności, tylko się staraj, abyś postępowaniem twojém naprostował o sobie złą opinję, bo na to wychodzi, że cię poczytuje do moskalofilów.“ — „A ciebie nie?“ — „Mnie na jéj zdaniu względem méj osoby zupełnie nic nie zależy, nie będąc nią interesowanym, lubo przyznać muszę, że gdybyś nie ty pierwéj poczynił kroki, rozbijałbym się za tą dziewczyną.“ — „Cóż mam czynić? doradź mi.“ — „Michasiu, ostygnij trochę z pierwszego zapału, nie jedź, ani się pokazuj tamże, ani pytaj znajomych o nią, a przekonasz się, że cię sama przeprosi. Ona po rozwadze nie zniesie tego, że nas nie zatrzymała i pozwoliła na taką ciemną noc odjechać. Słowo ci daję, boć to zawsze kobieta, a wtenczas kiedy najwięcéj szczypie, najwięcéj kocha. Tyś się jéj jeszcze nie oświadczył, prawda? Ona czeka tego momentu z upragnieniem, a niepewność owego kroku czyni ją niespokojną.“ — „Tak martretować dziewczynę, to za wiele.“ — „Niewierny Tomaszu! doświadczaj, a przyznasz mi słuszność; aby ci zasię wywietrzało z głowy, bierz strzelbę na ramię, przejdziemy się.“

VI.

Kongres wiedeński w roku 1815 odprawiony, popełnił błąd polityczny nie do darowania; zamiast uchwalenia samoistnego Królestwa Polskiego, przystał na umizgi obłudnéj Moskwy, połączywszy Królestwo Polskie z Rosją, zapewniając mu jakieś osobne ustawy, niewartające nawet tyle, ile prawo ochrony zwierząt w Anglji dało ptakom wolności. Albowiem drapieżna Moskwa według swéj natury niedotrzymała ani jednego punktu kongresowego traktatu, przez co zwaliła na kraj ogro-

mny ciężar ucisku, pod którym naród prasowany musiał myśleć o oburzeniu się, boć i zwierzę rozzłościć się musi, kiedy go niewinnie pastuch batem smaga. Polska różnemi klęskami w bezrząd wprowadzona, mogła istnieć samodzielnie, mając jądro narodu zdrowe; potrzeba było tylko zostawić dłuższemu czasowi fermentację, fusy byłyby i tak popadły w zgniliznę, a reszta zdrowego szkieletu byłaby ożyła na nowo; niestety zaborcza Moskwa czychała na sposobność, by tylko udławiła Polskę i w części dokonała téj zbrodni. Mówimy w części, bo mimo wielkich swoich pazurów nie zdołała narodowi polskiemu zadać śmiertelnego ciosu, nie doszły te pazury do serca, nie nadwyrężyły mózgu, zachowały mu życie. On żyć będzie, okazując swoje życie tak radosnemi, jako li też płaczącemi chwilami.

Wiadomo nam z historji narodowéj, jak obudził miłość narodu polskiego ku sobie swojém łagodném postępowaniem cesarz Aleksander. Lecz zniknął wkrótce blask podobnych sympatyj, postępowaniem Wielkiego księcia Konstantego zamglony. Odjęcie narodowi w urzędowém stykaniu się mowy, ścieśnięcie oświaty, sprowadziło strach o byt. Poznali się zaraz na pierwszych kłuczkach bystrego pojęcia mężowie, i chcieli zaradzić złemu. Między innymi dwie osoby zajęły wielkie stanowisko, a niemi są: Zan na Litwie i Klementyna z Tańskich Hofmanowa w Warszawie. Oboje natchnieni wyższym polotem ducha, przewidzieli grożące niebezpieczeństwo. Oboje jakby się porozumieli, uderzyli w jedną stronę. Zan zapalał w młodzieży męzkiéj miłość do ojczystego języka, Hofmanowa zasię objęła młode płci jéj pokrewne pokolenie i rzekłbym uczyniła zwrot niesłychany ku lepszemu.

Trzeba nam wiedzieć, że obecny stan narodu pod wszelkim względem był opłakanym. Mowa ojczysta utrzymywała się tylko pod strzechą ubogiego kmiotka, przygniecionego mieszczanina lub zdesperowanego za-

ściankowego szlachcica. Bogatsi zasię nietylko ze szlachty, panów, magnaterji, ale i pieniężnicy bez imienia, wyrugowali język ojczysty z domów swoich. Kto się odezwał, to chyba z musu do fornala po polsku, bo lokajem zazwyczaj był Francuz, koniuszym Anglik, ogrodnikiem Niemiec. Dzieci nie umiały poczciwego napisać listu nie zrobiwszy błędów, za to wszystko parlowało papląc od kołyszczanego dziecka do sędziwego starca po francusku. Do tego przyszło, że nawet nie kupowano towaru niemającego firmy francuskiéj. Kapelusz w Warszawie zrobiony nosił napis: Paris; but i trzewik: Paris. Do śmieszności kursuje jeszcze do dziś dnia powiastka z owych zepsutych czasów: Bonton Fabrik, London Icyk von Łopatowke zrobił tego dubeltówke. — Język, mowa ojczysta, ów najdroższy skarb narodu poszedł w poniewierkę z ust największych jego niegdyś wielbicieli. I duchowieństwo nie było lepsze, nie parlowało wprawdzie, ale za to zanieczyściło język ojczysty latymizmem, makaronizmami rażącemi uszy. Weźmyż teraz germanizmy czyhające na skoślawienie języka naszego i moskwicyzmy w zabranych krajach, a będziemy mieli wyobrażenie o straszliwéj pladze wynarodowienia całéj Polski.

To niebezpieczeństwo przejrzał Zan, przejrzała Klementyna Tańska, i tak niskie urodzeniem i ubożuchne majątkowo osoby porwały się do walki z olbrzymim nieprzyjacielem. Klementyna wyrugowała francuzczyznę, wprowadzając zamiłowanie języka ojczystego przez umiejętne dzieła, wydane dla panienek polskich. Zan oparł się ruszczyźnie, germanizmowi i latynizmowi przez ideę Philaretów. Zaszczepiano miłość do nauk i ojczystych dziejów, smak ojczystéj mowy, wskrzeszając zygmuntowskie czasy, moralność obyczajów, a co więcéj obudzenie podupadłéj wiary. — Był to krok odważny, śmiały, korzystny i potrzebny, dlatego Bóg sprzyjał rozszerzeniu onegoż. Młodzież po szkołach uczyła się

skwapliwie, pensje i zakłady tylko te były odwiedzane i przepełnione, gdzie uczono ojczystych rzeczy. Duch narodu odżył w każdym dworku, w każdéj wiosce mówiono o sobie, opierano się obczyźnie, rugowano zbytek zagraniczny. Słowem rósł patrjotyzm narodu, mimo ucisku germanizmu i brutalności knuta. Taki po części jest obraz Polski w czasie, kiedy wskrzesiciel téj idei jęczał jako więzień w Orenburgu, a dzieci narodu uwijały się, by tylko zaprawiły się do wskazanéj pracy.

VII.

Ojciec panny Lidy był wielkim zwolennikiem Philarectwa, starał się też zaszczepić miłość do nauki i cnoty w dzieciach swoich. Mając ładny mająteczek, oddał dwie starsze córeczki do najpierwszego pensjonatu, a nim był instytut dla panien w Warszawie pod prezydencją saméj Hofmanowéj. Sam rząd powierzył ten zakład téj wielkiéj w cnoty pani, a między wieloma okolicznościami, która samych Moskali do tego kroku skłoniła, była następująca: Klementyna wydała r. 1819 dzieło pod tytułem: Panaska, czyli Wspomnienia dobréj matki. Księga nieoceniona tak co do moralności jako też najczystszéj ojczystéj miłości. Rozchwytano jak złoto 6 nakładów i niebyło domu ani szkoły, żeby nie czytano tego dzieła, nawet tłumaczono na obce języki. Rosjanka widząc ten klejnot, przetłumaczyła go na język rosyjski i dykowała Carowej mieniąc się autorką, za co otrzymała pierścień drogrocenny z dyamantami. Wiedział świat o tej podłocie, dlatego aby po części zagoić zadaną ranę Klementynie, faworytowali jéj Moskale i oddali instytut w jéj ręce przez rząd założony. Hofmanowa należąc do pierwszych gwiazd cnoty obywatelskiéj w narodzie, wiedziała o tem — ale taki posiadając charakter jak ona, przemilczała nawet owe

brudy, pracując szczerze nad uszlachetnieniem przyszłego pokolenia.

Otóż Lida powróciła z takiego pensjonatu do ojczystych progów. Posiadając zalety, tak ciała jak też duszy w stopniu doskonalszym, przyswoiła sobie myśli swojéj wielkiéj mistrzyni Hofmanki, zajęła się tedy w domu własnym miłością pracy naukowéj, czego świadkiem byli dwaj kawalerowie, Leon z Michasiem, zastawszy ją przy czytaniu nieocenionego dzieła: Biblji domowéj. — Ojciec nie posiadał się z radości, należąc do gadatliwych ludzi, wszędzie chwalił się z swoją córką, przez co zwróciły się niemal wszystkich oczy na tę istotę. Lida należała do pierwszych piękności w Litwie, przyznaje to sam pan Straszewicz, opisujący krótki rys Przecławskiego i Wołowicza, nazywając ją cudowną pięknością. Owa piękność niedotyczyła tylko ciała, ale więcéj duszy. Pan Michał Wołowicz poznawszy tę panienkę, zapragnął koniecznie, aby uzyskał jéj wzajemność. Wstęp do tego domu zrobili mu sami jego rodzice, ale wstęp do jéj serca trzeba było robić jemu samemu. W tym względzie jednak czuł się być oddalonym, bo wystrzelił z obrazą niepotrzebnie, zapisując swemi słowy istotkę do stowarzyszenia, przed którym okrywała ją tajemnica. Przeto usłuchał rady koleżki, nie pokazując się na chwilę w tamtéj stronie. Lecz pomylili się obaj grubo. Panienka mocnych zasad religji, głębokiego przekonania o patrjotyzmie, nie myślała wcale o kawalerze.

Po kilku tygodniach przyjechał był ojciec z jarmarku ze Słonima; dziewczątka tuliły się do lubego ojca, obstąpiwszy go na około, jedna całuje rękę, druga ramię, młodsze po kolanach, mówiąc: „Tatko jarmark?“ Uradowany ojciec całował każdą po kolei, wyjmując z kieszeni podarki: „ty masz kulczyki,“ drugiéj daje brożkę, małym pierniczki, „a dla ciebie moja Lidziu mam we walizie.“ Wszystkie były ciekawe, co takiego?

Szeptały: „Lidzia otrzyma sukienkę albo koronki, o których zawsze marzy.“ Ojciec wyjął kluczyk z kieszeni, odmyka; najprzód wyjął perską chustkę, szalem zwaną, dziewuszka się uśmiechnęła, ucałowała ojcu obie dłonie; stary filut zamknął kuferek. „Ej, tatko ma jeszcze coś,“ krzyknęły dziewuszki. „Mam,“ odrzekł ojciec, „ale boję się, aby podarek nie był przyjętym.“ — „I my byśmy od taty nie przyjęły?“ powiedziały panienki. — Ojciec odmyka na powtóre walizkę, wyjmuje księgi; panienki podskoczyły, klasnęły w ręce, rozpromienione wołają: „tatko, tatko kochany!“ Porywają, przewracają, kukają co to nowego. Tytuł wskazywał: „przez Klementynę Hofmanowę.“ Stał się hałas, krzyk formalny, latanie do mamy, uciecha: „mamy najnowsze książki.“

Ojciec nie kłócił téj radości, był spokojnym. Wieczorem zaczęła się lektura. Ojciec przerwał czytanie zapytaniem: „Żadna mię też nie pyta, od kogo te książki?“ — Panienki zrobiły wielkie oczy. — „Otóż moje dziatki, nie spodziewałem się nigdy, aby człowiek młody tak był zapalonym do literatury, jak pan Wołowicz. Chciałem wam zrobić niespodziankę, wiem, że lubicie książki, poszedłem do księgarni, zastaję pana Michała. Ukłonił mi się grzecznie, ja nawzajem podałem kawalerowi rękę. Co pan kupujesz? — Książki. — Jabym też chciał co nowego. — Właśnie, odpowiada mi, zamówiłem najnowsze dzieło nieocenionéj Hofmanowéj, rozebrali już, ledwiem dorwał jeszcze ostatnich egzemplarzy, jeżeli mogę służyć, bardzo proszę dla panny Lidy na przeprosiny.“

Spojrzał się ojciec na córkę; ona się zarumieniła. — „Powiedz mi proszę Lidziu, kiedy cię obraził i czém? może ci uchybił na zabawie, a ty zamilczałaś w twojéj skromności?“ — „Bynajmniéj tatko drogi! Zabawa odbyła się z wielką dyskrecją, tylko panowie nas odwiedzili, kiedy tatko był w Grodnie, a pan Michał za-

stawszy nas przy czytaniu książek, nazwał nas Philaretkami. Zkądże racja wyśmiewania się! Jeżeli nie jest Philaretą, niech nie kala narodowéj instytucji, obrzucając ją błotem kłamstwa, my mu nie wyrzucamy moskalofilstwa, mimo, iż sam się do tego przyznaje.“ — „Nie sposób moja córko! gruba w tym względzie musi zachodzić pomyłka, jego ojciec patrjotą zawołanym, ale mówię ci zawołanym, zagorzałym, syn należy do stowarzyszenia narodowego i pięknie się z zadania wywięzuje. Widzisz, on nietylko członkiem komitetu powiatowego, ale członkiem głównego komitetu Litwy. Nie może być, to pomyłka!“ — „Wszakże mój tato, sam wypowiedział, iż go ojciec chciał mieć czynownikiem moskiewskim, tylko pan Przecławski mu wyperswadował.“ — „Klin, moje dziecko, klin nie lada i nie mały. Muszę ja się szczegółowo dowiedzieć, byśmy się na tych ludziach nie zawiedli, albowiem powierzywszy im tak wielką misję, gdyby oni trzymali z Moskalami, ambaras!“

Po téj wiadomości, która niepokoiła patrjotę, pojechał ojciec Lidy incognito do Różany. Państwo Przecławscy ucieszyli się niezmiernie gościem niespodziewanym. Leonowi zakręciło głowę: po co on tu przyjechał? Każde tedy słówko wyrzeczone ważył i przypisywał mu jakąś tajną misję. Nie omylił się. Gość wniósł ogólnikowo mowę o domu Wołowiczów. Leon tylko się uśmiechał, myśląc w duchu: „zatęskniła.“ — Tymczasem zapytał gość: „Jakież mamy wiadomości z Warszawy, czy sprawa dojrzewa lub nie?“ Leon się zadziwił, ba nawet przeraził. — „Czy pan dobrodziéj słyszał coś niepomyślnego?“ — „Jesteśmy na około szpiegami obsaczeni, mniejsza już o Moskali, oni czynią z obowiązku, gorzéj, że im nasi pomagają.“ — „Co pan dobrodziéj mówi? nie może być, żaden Philareta nie zdradzi tajemnicy, broń Boże, przysięga!“ — „A jak też na oko tylko Philaretą?“ — „Takich niemasz,

stowarzyszeniem patrjotycznem kierują ludzie wytrawni, z poświęceniem, do tajemnicy nie przypuszcza się młodzików; przecie panu dobrodziejowi wiadomo, iż są stopnie, od najniższych do najstarszych. Pierwszy stopień składają patrjoci magnaci, jenerałowie, za niemi obywatele, ci wiedzą tajemnicę; zasię młódź ma wytknięte osobne cele, najniewinniejszem zatrudnieniem związane. Nie spodziewam się przecie Judasza!“ — „A o Wołowiczu starym jaka też w towarzystwie opinja?“ — „Najlepsza panie Dobrodzieju.“ — „Kiedy słyszę chciał oddać syna swego w ręce moskiewskie na czynownika.“ — „Haha! zkądże pan dobrodziéj wie o téj tendencji?“ — „Nie obwijam w bawełnę, wszakeście się wyspowiadali panowie przed moją córką.“ — „Zabawnie! Słuchajże pan dobrodziéj; opowiem będąc naocznym świadkiem téj akcji.“

Po długiéj pauzie rzekł gość: „Tak to? więc wracam honor, ale takem się, powiem szczerze, przestraszył tą nowiną, żem spać nie mógł.“ — „Nie, nie, ręczę honorem, Wołowiczowie są nasi ciałem, duszą i majątkiem.“ — „Nie należę do obłudników, wstąpię do nich po drodze i opowiem im, a raczéj przeproszę za fałszywe posądzenie.“ — „Radzę panu dobrodziejowi, wstrzymaj się od podobnego kroku.“ — „Dlaczego? — „Ja wezmę na siebie pośrednictwo i załatwię nieporozumienie.“ — „Ściskam pana za tę grzeczność. Jednak jadąc, że powiem po pod nos, niepodobieństwem, abym ominął ten dom; dnia wczorajszego musieli mnie widzieć, bo ktoś z państwa chodził po ogrodzie; wyperswaduję, żem w pilnym jechał interesie, nie mogąc poświęcić odwiedzinom minuty, więc dziś uzupełniam.“ — „Tak, tak, nawet gdyby pan łaskawy nie był przeciwnym, towarzyszyłbym mu do Porzecza.“ — „Zgoda panie Leonie.“ I pojechali do Wołowiczów.

Michaś zasię mimo przyrzeczenia koledze, aby został neutralnym, nie mógł zachować onegoż; serce mu

nie dało, nie mógł on z zimną krwią przypatrywać się na wymarzone przezeń męki, które Lida ponosić miała. Skoro ojciec Lidy przyjął ofiarowane księgi, już mu się lżéj na sumieniu zrobiło, za temi księgami nibyto pociągnął go magnes. Nie mówiąc w domu nikomu, ani zwierzając się nawet matce, wyniósł się cichaczem do uwielbianéj Lidy. — Jakież było rozczarowanie, zobaczywszy zimne usposobienie ku niemu Lidy. Gdy ją zapytał, czy się księgi nowe podobają? odpowiedziała z niechcenia: tak. Gdy objawił żal z powodu wyjazdu papy dobrodzieja, mając mu oświadczyć interes z Warszawy ważny, odpowiedziała dziewoja: „Może pan spotkasz się z ojcem w drodze, to sobie pomówi podług woli"; ani się uśmiechała jak dawniéj, ani popatrzyła zpod chmurki, — Co to jest? myśli sobie młodzian: ze żartu widzę przyszło na prawdę! Zebrał tedy wszystkie zmysły do kupy, by rozpocząć walkę: albo-albo!

„Czy wiadomo pani, jaka urosła w Polsce opinja o Moskalach?" — „Cóż mnie obchodzą Moskale, oni sobie, my sobie." — „Na serjo mówię, wkrótce będziemy mieli z nimi do czynienia." — „Pan zapewnie stanie po ich stronie." — „Kiedy tak sądzi pani, natenczas przyjdę tu z tuzinem kozaków i zaaresztuję panią, bo wiem, że należysz do Philaretów." — „Nie wielki heroizm, to i prosty żołdak potrafi." — „Ale zabiorę papę, bo on także kieruje sprawą narodową." — „Wolno, niech pan zabierze nawet wszystkich, ale ręczę, żebym panu pierwsza warem oczy wyparzyła, nimbyś przystąpił do mego ojca." — „Hoho! co ja słyszę, większą pani chcesz odgrywać rolę nad Esterkę... poprawiam, nie Kazimierzową, tylko biblijną."

Panna Lida wpadła w pasję; wyszła z pokoju, zostawiła przy siostrach Michasia i nie wraca. Matka zasię przybiega zapyrzona: „Ślicznie, ładnie, syn obywatelski Moskalami straszy panny, fe!" — Michaś wi-

dząc, że się zanosi na babską wojnę, a z amazonkami trudna sprawa, zaczyna cofać się, obracając w śmiech; przyskoczył do Jmości, pocałował w pulchną rączkę, rzekąc: „Niech pani dobrodziejka daruje, chciałem sobie zażartować, a panna Lida bierze na serjo, i oświadczam, że mi żal; proszę tedy, aby ją dobrodziejka za mnie przeprosić raczyła.“ — „Panie, z nią niema żartów, kiedy idzie o patrjotyzm, masz wiedzieć, że jest wychowanką Hofmanowej.“ — „Ani wątpię, cieszy mnie, takich dziewic potrzebuje Litwa, takiemi szczyci się Polska, przéz takie uśmiecha nam się lepsza przyszłość.“ — Wyjął z kieszeni jakieś pismo na kształt biletu, dał Jmości, mówiąc: „Tu jest dowód, kim jestem; zostawiam go w pańskich rękach, raczy pani dobrodziejka po moim odjeździe rozpieczętować i przeczyta wobec ojca i pańskiej córki.“ To rzekłszy, ukłonił się, wyszedł i odjechał.

Kobiety zawsze ciekawe, nie czekały przybycia ojca, rozerwały pieczęć, czytają. Córka patrzy się na matkę, matka na córkę, milczą. — „Mamo to człowiek zagadkowy, figuruje tu podpis taty, żeby tylko powrócił i dał nam wyjaśnienie, natenczas nie wiem co z nim poczniemy.“ — Czekały tedy niecierpliwie na ojca, on zasię nie wracał, bo wstąpił do państwa Wołowiczów.

Stary Wołowicz ucieszył się z gościa niezmiernie, a niemało się zadziwił, widząc towarzyszącego mu Leona. Od słowa do słowa recytuje gość sentencje zaszłego nieporozumienia nie czekając na wyręczenie Leona, zaczynają się śmiać, brakowało tylko Michasia. — „Gdzie on?“ pyta pan Wołowicz żony. — „Albo ja wiem, jemu strzelba na myśli, jakby już z nią ślub brał; wziął strzelbę widziałam, zapewne polował, a z polowania kto wie...“ i uśmiechnęła się.

Ojciec Lidzi widząc, że się Jmość nań przypatruje i uśmiecha coraz więcéj, zmiarkował o co chodzi, wykrzyknął tedy: „Tak to?“ — „Takby było, panie do-

brodzieju, gdyby...“ — „Oh z mojéj strony szanowni państwo, ani jedno słówko naprzeciw.“ — „A więc,“ wstał stary Wołowicz i uścisnął rękę ojcu Lidy rzekąc: „gdybyście państwo nie byli przeciwni, złączyłyby nas węzły pokrewieństwa, majątek mam, nikomu go nie dam, tylko synowi, posagu nie żądam, anibym proponował broń Boże, panienka nam się nader podoba.“ — „Daję państwu moje słowo, że córka przystanie i my wszyscy, tylko niech słyszę pana Michała, co on na to?“ — „Panie dobrodzieju łaskawy,“ wtrącił się Leon, „przepada, spać nie może, jeszczebym więcéj powiedział, ale...“ — „No, no,“ mruknął stary Wołowicz, „wy młodzi fantazujecie.“

Wołowiczowie uraczyli gościa, zapowiedzieli in gremio odwiedziny, wyprowadzili do wózka, uściskali, stokrotne przesyłając ukłony pani dobrodziéjce. „Lidusię całuję serdecznie,“ wyrzekła matka, „także panienki,“ i bez końca było komplementów, aż furman ruszył przecie.

VIII.

„Co Michasia nie widać, już drugi dzień mija!“ — „Żono! anim myślał, że tak pójdzie gładko; niech tam siedzi, przyswoi się. Że wybrał partję, ani słowo, ale że obudzi zazdrości, ani rady! Sądziłbym, niech się ten interes nie odwleka, bo młodzież gotowa robić awantury, tam kukali już hrabicze i poszli z kwitkiem, panienka edukowana wysoko, łagodna, mądra, cnotliwa, piękna, do tego i fortuny nierzadkiéj, tam gotówki musi być parę kroć, lubo nie żądamy nic, ale wyprawa sama będzie wartała więcéj, niż nasze Porzecze.“ — „Widzisz mężu, to Opatrzność Boska, chciałeś go popchnąć do urzędów, czegóżby się dosłużył u Moskali, stałby się jak wielu zaprzańcem swéj narodowości i języka, a co gorsza wiary, a tak wszystko uratowane. Wielkie Bogu dzięki i Matce Jego!“

Tak sobie mówili ucieszeni małżonkowie, pozierając do okna, kiedy zawita syn ukochany, by mu zwiastowali pocieszną nowinę. Jego zasię nie widać, dlaczego? — Moskwa przeczuwała, że w Polsce wre coś pod pokrywą; bojąc się, aby zabrane kraje, Litwa, Wołyń, Podole nie porozumiały się z Warszawą, zarządziła najsurowsze środki ostrożności. Szpiegów było wszędzie naszpikowanych jak w beczce śledzi, wojska przelatywały po drogach i gościńcach, kordonem zamknięto granicę, aby nawet mysz się nie przecisnęła; jedném słowem przerwano komunikację z Królestwem zupełnie.

Michał tedy jadąc sobie zdesperowany konno, zwiesił na dół głowę nie patrząc się naprzód, aż go zatrzymuje patrol kozacka. Ocucił się i zmieszał trochę. Kozak się pyta: „Zkąd pan jedziesz?“ On wyrzekł nierozważnie: „z Krzemienicy.“ — „Co? pan buntowszczyk, bo tam my już złapali buntowszczyka. Do powiatu z nami.“

Teraz znalazł się Michał w tarapatach, obszukali koło niego rewidując do szczętu, nie znaleźli nic oprócz świstka, na którym była kompozycja kilku wierszyków na cześć ulubionéj Lidy. Zaraz następowało przesłuchanie, gdzie bywał, po co, na co, w jakim celu? Wszystkie zeznania trzeba było poprzeć dowodami i uzyskać zgodność opowiadań, a tu ani raz nie wolno się oddalić z kancelarji naczelnika. — Myślał sobie Michał, gdyby pierwéj indagowali rodziców, jeszcze pół biedy, ale jak się zapytają Lidzi, czy ona moją narzeczoną, przepadłem; jedno słówko zaprzeczające, może mnie zaprowadzić na Sybir lub w zołdaty.

Na rozkaz naczelnika, pojechał czynownik do rodziców Lidzi, celem sprawdzenia zeznań delikwenta. — Zadziwiło to dwór nie mało, gdy zobaczono przed oknami pięciu kozaków i czynownika. — Lidzia mając w kieszeni kartkę podaną matce od Michała, zbladła;

wyskoczyła do drugiego pokoju, pomięła, porwała szklankę wody, popijała i gryzła aż też połknęła. — Śmiało już wraca do pokoju, kędy stanął czynownik, mówiąc: „Państwo w miejscu stać, gdziem kogo zastał, bo przedsięwezmę rewizję. Pani domu niech odmyka szuflady, kredense, kufry po kolei.“ Szukał, trząsł strzępek za strzępkiem, nieznalazłszy nic, usiadł za stołem, wyjął papier i pióro: „teraz do protokołu!“

Najprzód pyta gospodarza: „W jakim celu bywa u państwa Michał Wołowicz?“ — „W celu zawarcia małżeństwa z moją córką,“ odpowiada ojciec. — Lida się zarumieniła okropnie, matka popatrzyła się litośnie i miała już na języku zaprotestować mruknąwszy: „co ple...“ ale mąż spojrzał się ostro na żonę i umilkła. — „Czy nie przynosi jakich pism do państwa, lub książek?“ — „Broń Boże! sam córkom kupuję książki przez Rząd pozwolone.“ — „Proszę mi pokazać swoją bibliotekę.“ — Czynownik przewraca po książkach, na nowém dziele Hofmanowéj zobaczył napis ołówkiem: Michał Wołowicz. — „Jakto, pan mówisz, że nie nosi książek, a te księgi czyje?“ — Lida uprzedza ojca: „Pan Michał Wołowicz był tutaj, napisał ze żartu imię na téj księdze, a onę kupił tato, jako upominek jarmarczny.“ — Jeszcze kilka zadał pytań czynownik, mówiąc: „na tém jeszcze nie koniec, państwo pojedziecie do powiatu do konfrontacji, bo tego ptaszka złapali kozacy, on należy do spisku.“

Ojciec popatrzył się na familję. Lida złożyła ręce i westchnęła. Co tylko dom miał jedzenia i picia, gościł czynownika, zatrzymał na obiad, nareszcie na odjezdne według zwyczaju dał w łapę podarunek Czynownik odjechał zadowolony.

Wszyscy w domu osłupieli. Córka zaczęła ojcu robić gorzkie wyrzuty: „Ażaliż potrzeba większéj kompromitacji, jak mi zrobił tato! czynownik rozbębni po całym powiecie, żem narzeczoną Wołowicza, a mnie

się ani śni o tém.“ — „Córko kochana, chciałbym mieć takiego zięcia jak ów młodzian, wszystkie dotąd na niego rzucone potwarze redukują się do zera. Philaret mówię Philaret, do tego wyższego jeszcze stopnia.“ — „Wiem o tém ojcze, czytałam jego nominację, czekałam tylko na sprawdzenie.“ — „Gdzie?“ — „Tu u siebie.“ — „Pokaż mi.“ — „Kiedy już niemam.“ — „Czyś oddała mu ją dla Boga? jak znajdą, Sybir albo szubienica.“ — „Tato, niema obawy.“ — „Więc mówże dziecko, bo za pierwszą nicią doszliby do kłębka.“ — „Widząc kozaków na podwórzu, Bóg mnie natchnął myślą, żem wybiegła do drugiego pokoju pogryzła i połknęła!“

„Ach córko!“ ściskał ojciec Lidę, „wielkaś, kocham cię za to nad życie; gdyby Michaś wiedział, pewnieby nie przestał uwielbiać cię całe życie swoje! A teraz przyznam ci się, będąc u jego rodziców, zacnych obywateli, jakich szukać w Litwie, przyjąłem ich prośby, których także nie odmówisz i zostaniesz Michasiową żoną.“ — „Ojcze! wola twoja jest wolą moją, tylko ten warunek kładę, niech mi dowiedzie, że jest Philaretą, bo karteczkę podobną z podpisem członków mógł sobie sam podrobić dla oszukania.“ — „Dziecko, jakem żywy, sam podpisywałem tę nominację, wielka rzecz, a teraz niech będzie naszém staraniem, aby wyszedł czémprędzéj z powiatu.“

Michaś jednak tego samego jeszcze wieczora przyjechał do domu narzeczonéj nie wiedząc, co rzeczywiście zaszło. Zdziwił się na wstępie, z jaką uprzejmością go wszyscy witali, a sama nawet Lida mu się przypatrywała. — „Powiedz nam pan, jakim sposobem wpadłeś w ową łapkę i jakeś się wydostał?“ — „Panie dobrodzieju łaskawy, jak się komu nie wiedzie, to na równéj drodze upadnie, mnie się tożsamo stało. Niedosyć, że wyszedłem skompromitowany z domu pańskiego, ale na drodze popełniłem błąd bez namysłu, mówiąc

kozakom, że byłem u narzeczonéj i wpadłem im w łapkę.“ — „Haha,“ zaśmiał się stary, „a daléj?“ — „Daléj panie łaskawy, opatrzność świeciła nademną, żem niemiał przy sobie dokumentu, zostawiwszy go tutaj, bo mnie do nitki obszukali i byłbym padł ofiarą méj nieostrożności; lecz niechże mi też państwo wytłumaczą, czyli nie szukali tutaj?“ — „Jeszcze jak!“ — „A mój dokument?“ — „Już go pan nie zobaczysz?“ — „Chwała Bogu, żeście go spalili.“ — „Gdzie tam, żebyś pan wiedział, jak zniszczonym, i kto pana uratował, a przy tém i nas wszystkich, tobyś nie raz, ale całe życie dziękował.“ — „Ciekawym?“

Ojciec wskazał na córkę, Michaś wstał, pospieszył i pocałował w obie dłonie pannę Lidę: „Dozgonnie wdzięczny przyjaciel od serca.“ — Lida się uśmiechnęła. Michaś zasię: „Pani teraz daruje, że nie jestem Moskalofilem.“ — „Poważam za to.“ — „Ej co masz w bawełnę obwijać,“ ośmiał się ojciec. — Lida się wykręciła i uciekła do pobocznego pokoju rozpromieniona. — Ojciec zasię: „Spodziewam się, że pan Michał nie zawiedzie naszego oczekiwania, przyjąłem pańskich rodziców propozycję, a teraz oświadczam w imieniu mojéj Lidzi, że i ona podziela. Co Bóg złączył, niech człowiek nie rozłącza; kontent jestem, że w panu znajdę poczciwego zięcia,“ i podał Michałowi dłonie.

Michaś osłupiał, zkąd się to wzięło. Krew mu uderzyła do głowy. Z drugiego pokoju przesunęła się Lida i przebiegła do matki. Michał nabrał otuchy, wybiegł także, aby podziękował za wzajemność swojéj narzeczonéj.

IX.

Dnia 29. listopada 1830 roku w nocy przypuścili Warszawianie szturm na Belweder, i zajęli go. Sławną

szkołą podchorążych kierował naówczas pułkownik, bohaterski starzec bez nogi, Sowiński. Gdy uczniowie posłyszeli ręcznej broni strzały w nocy, powstali wszyscy i chcieli rozbić bramy celem połączenia się z patrjotami. Sowiński nie był na ten akt przygotowanym; rzucił się starzec do nóg młodzieży, wołając: Zaklinam was na Boga, nie bądźcie płochymi, zaczekajcie do rana, jeżeli w samej istocie naród powstaje, więc ja pierwszy stanę na waszem czele! — Młodzież zanadto kochała swojego przełożonego, zaufała jego słowom, ale też i Sowiński dotrzymał słowa. On prowadził idąc na czele przez miasto z całą szkołą podchorążych, a naród widząc siwiutkiego kulawego bohatera, wołał w zapale: Niech żyje Sowiński! — Nie mogąc chodzić, z powodu, że w batalji pod Mozaizkiem utracił był nogę, kula go gniotła i zawadzała; lud w zapale porwał go na ramiona i zaniósł do pomieszkania.

Hasło powstania w Warszawie przeraziło okropnie Moskali, i rozniosło się lotem błyskawicy po całej Polsce. W Litwie jednak jeszcze nic nie wiedzieli, bo komunikacja była zupełnie przerwana, do tego taka ostrożność zaprowadzona, że nie wolno było zjeżdżać się panom szlachcie i księżom do siebie bez wyraźnego pozwolenia czynowników. Patrjoci tedy nie mieli z sobą innej komunikacji, tylko schodzili się przebrani w lasach za rębaczy drzewa, furmanów i podobnych wiejskich posługaczy.

Ojciec Przecławskiego przyniósł był słyszaną od czynownika znajomego w Różanie tajnie mu udzieloną nowinę: „w Warszawie rewolucja.“ Zaraz syn pojechał do Michasia; ten zamarzony do ostateczności o zaślubinach z Litwinką, oczekiwał tylko chwili, kiedy mu napisze ulubiona: gotowa wyprawa. Rzeczywiście zastał go Leon prawie nader ucieszonego, bo Litwinka oznajmiła, że od jego woli zależy oznaczenie dnia ślubu. „Wiesz co,“ rzekł do kolegi, „w sam raz przyjeżdżasz,

proszę cię za dróżbę.“ — Leon mu się przypatrzył: „jeżeli na ojczyzniane wesele, zgoda, na twoje osobiste będzie dosyć potém czasu.“ — „Co mówisz?“ — „Tak mój koleżko, zgotowało się w Warszawie, co było przysposobioném, wykipiało zawczasu, nie wiem co począć mają nasi patrjoci, a zatém bez namysłu pojedziemy do Słonima.“

„Jakże się dostaniemy, kiedy szpieg za szpiegiem goni, na każdym kroku wpadniemy w podejrzenie.“ — „Michasiu, wydobyłeś się raz z kozy przez idealną miłość, radź teraz, abyśmy się znowu tam dostali.“ — „Co mówisz, w najkrytyczniejszéj chwili?“ — „Serjo mówię, musimy się dostać do kozy, aby nas ztamtąd patrjoci uwolniwszy polubili.“ — „Marzenie! Na chwałę nie rachuj, jeżeliś patrjotą, bądź bez chwały nim, jaką jest moja narzeczona. Wiesz, ile narobiliśmy jéj przykrości, narzucając jéj patrjotyzm. Ona mimo że jest patrjotką, przecie nie chciała się z tém chwalić, coby jéj wobec nas było do twarzy. Słuchaj, przebierzemy się za parobków, naładujemy zboża na jednę furę, na drugą drzewa, pojedziemy do miasta, tam napijemy się w karczmie, pomówimy z chłopami, co oni myślą, jakie mają wiadomości, będziemy także u naszego prezesa, naradzimy się i koniec.“

Propozycja Michała spodobała się Leonowi. Dwóch furmanów wiozło więc towar jarmarczny, ani się ich zapytały warty, a tém mniéj włóczęgi kozacy, co za jedni? — W Słonimie powzięli dokładną wiadomość o ruchu w Polsce, ale także i tę informację, żeby koniecznie porozumieć się wypadało: czyli teraz, czyli też późniéj mają powstać Litwini.

Wielu patrjotów zeszło się na umówiony czas do lasów Sapiehowszczyzny koło Izabelina. Wszyscy niemal przebrani za wieśniaków. Rada w radę co tu czynić. Jedni mówili: czekajmy, drudzy: powstańmy, inni znowu: porozumiejmy się z Warszawą. Kto tedy ma

być delegatem? Ten się waha, ów odciąga, trzeci powątpiewa. Staje młody Wołowicz: *Ja pójdę!* — Strząsnęli ramionami niektórzy, inni znowu zachowali się spokojnie perswadując: 120 godzin drogi wpośród przeszkód do przebycia niepodobnych, zaniechaj waćpan téj myśli!

„Nie, bracia, poszlijcie drugiego za mną na przekonanie, na kontrolę, a dowiecie się, co Wołowicz potrafi.“ — I tutaj nie znalazł się nikt ze starszyzny, coby się podjął téj kontroli. Rzucili losy, padło na Leona Przecławskiego. — „Przysiągłem,“ rzekł Leon, „posłuszeństwo stowarzyszeniu patrjotów, a zatém obieram drogę przez Wołyń; Wołowicz zasię musi w przeciwnym kierunku próbować szczęścia swego.“ — Na tém skończyli patrjoci swoją sesję pod jodłą w lesie, rozjechawszy się milczkiem każdy do swojego zakątka.

Michaś z Leonem idąc milczeli, nieodzywając się do siebie. „I cóż Leonie, jakże myślisz, dokonamy owego dzieła?“ — „Wątpię.“ — „Nie bądź pesymistą, mnie dwojaka miłość do téj podróży zagrzała; o pierwszéj nie potrzebuję ci wspominać, boś równy ze mną patrjota, ale druga, ta mnie zagrzała wulkanem.“ — „Z przyczyny?“ — „Nie spodziewałem się nigdy usłyszeć tego z ust dziewicy, co mi nakładła w uszy Lida. Nalegałem na zaślubiny, rzekła mi: Jeszcze czas, nic nam nie ucieknie, ale spełnij pierwéj czyn, który zdobi prawego Polaka, idź do Warszawy, bo tam będziesz na 29 listopada potrzebny. Teraz mi złazi łuszczka z oka bez operacji, my patrjoci nie wiedzieli terminu wybuchu, a ona!...“ — „Czemużeś mi dawniej nie wyjawił téj myśli?“ — „Nie mogłem, związała mnie swojém słowem, uściskiem ręki i pierwszym ognistym pocałunkiem. Nie wierzyłem temu, ona od tychczas stała się ponurą. Dzisiaj muszę wstąpić na pożegnanie, opowiem co zaszło między nami, że i ty idziesz do Warszawy.“ — Taką pogadankę prowadząc z sobą, jechali cichaczem nocą, aż stanęli u Lidy.

Stare psiska, stróże czujne zaczęły na nich grać; stróż się obudził, biegnie do bramy: „kto tu?“ — „Puszczaj Mateuszu!“ — „A panicz! zaraz, źle panicz trafił, nie zastanie panienki.“ — „Gdzicż odjechała?“ — „Daleko.“ — „No powiedz.“ — „Do Merecza, do cioci.“ — „Masz redutę, tu mi kazali, abyśmy natychmiast udali się ku Warszawie, szkoda, człowiek nie wie dnia ani godziny; cóż ty Leonie na to? mamy wstąpić i nocować?“ — „Interes ojczyzny przewyższa wszystkie osobiste, jedźmy dalej a Mateuszowi powiedzmy, żeby państwu nie mówił nawet, żeśmy tu byli.“ — „Nie źle radzisz, mógłbym się wyjęzyczyć przed Jmością, onaby płakała, a płaczów kobiecych nie lubię.“ — Zaklęli tedy Mateusza: „nie gadaj, kto tu był taki, jak cię się będą pytali o harmider w nocy, powiedz: wlekły się na zwiady kozaki, czy tu kto nie nocuje.“

Młodzieńcy spięli konie ostrogami, przyjechali na dedniem do Porzecza. Stary Wołowicz spał sobie smacznie, przewróciwszy się na bok drugi. Michaś ubrany po chłopsku, wstępuje do sypialni ojca ze świecą. Obudził ojca, stanął nad nim: „Ojcze! Jesteś Polakiem, wiesz jakie na nas ciężą obowiązki; hasło mamy, ojczyzna woła! ja jako prawy syn zastąpię i ciebie, a zatem bywaj mi zdrów. Jadę, bo ludzie moi czekają już gotowi.“

Stary nie mógł przemówić słowa: „ależ co mówisz Michasiu, hm, poczekaj, nie tak gorąco.“ — Michaś uściskał ojca, ucałował mu ręce, nogi, ukląknął: „*Tato* proszę błogosławieństwa na drogę, bo i Leon idzie z nami.“ — Ojciec ściska syna za głowę rozczulony, mówił coś ale młodzieńcy nie słyszeli, taki szum powstał w ich głowie. Wstali i wynieśli się za drzwi. — Leon ucałował na dworze Michasia: „do zobaczenia w Warszawie!“ — Każdy pojechał w inną stronę.

X.

Nad Niemnem przy wbiegu doń małéj rzeczki, leży w cudnéj okolicy rozległe miasteczko *Merecz*, sławne z dziejów polskich ważnemi wypadkami. Tu bowiem zgasł 10. maja 1648 król Władysław IV; tu zgasło także ostatnie pokolenie najsławniejszych magnatów książąt Wiśniowieckich, z księciem Michałem 1744 r.

Więcéj nas nie interesują inne wypadki Merecza — jak tylko jedna daleko za miastem prawie nad urwiskiem rwiącéj rzeki położona niska chatka, samotna, przy któréj nie było ani ogródka ani drzewinki, stała tedy jako bękart wypchnięty od macierzy. Maleńkie okienko o jednéj szybie dawało widok ciasnéj izdebce; wszyscy mieszkańcy niemile patrzyli się na tę kletę, nikt też tam nie wstępywał, chyba żydzi, łapserdaki, zaszargani, zabłoceni husyci, z przyczyny kupna rybek na szabas, owego specjału prawem Talmudu przepisanego; albowiem tam mieszkał rybak, człowiek już obstarny, brzydki jak nieszczęście, a brzydsza jeszcze jego małżeńska połowica, sucha jak spruchniała sosna o pomarszczonéj twarzy oliwkowożółtéj, istny portret czarownicy. Mieszkańcy nie bez przyczyny nazywali ją tyką. K r y w e j, bo tak nazywał się rybak, czy pochodził jeszcze z dawnych familij K r y w e j t ó w, kapłanów pogańskich, co czcili ogień i węże, czyli też przypadkowo tak nazywano jego familję, niewiadomo; dosyć, że starowina chodził zawsze skrzywiony ponad rzekę ze siecią, przynosił do domu rybki i sprzedawał świeże, wędzone, suszone. Cały rok nie miał innego zatrudnienia, bo nie posiadał gruntu ani zagrody; z rybek żył, okrywał się i swoją połowicę.

Było to porą zimową, mróz pościnał po części rzeki, na polach gdzieniegdzie widać było tylko małe pateczki śniegu, a po drogach gruda. Dwóch ludzi biegło z miasta Merecza ścieszką ku domkowi rybaka.

Zobaczywszy ztamtąd wychodzącego żyda, wstrzymali się trochę, ale żyd ich już zobaczył, nie było sposobu uniknienia jego spotkania się. „Gdzie, dokąd idziecie?“ pyta Izraelita. — „Do Krywy.“ — „Niema go w domu.“ — „Nic nie szkodzi, to musi być tyka.“ — „Ta czarownica?“ — „Nie bluźń żydzie, nie widziałeś nigdy, aby kogo czarowała, ona katoliczka, do kościoła chodzi, a nie do bóżnicy jak ty.“ — „Fiu, fiu, przemądre ludzie, a czy ona wam sprawi interes bez niego, hę?“ — „Wielka rzecz, jeżeli suchych rybek nie ma, to się obejdzie.“ — „Tak, bywajcie zdrowi,“ i odeszło żydzisko.

Dwaj ludzie przybyli do chaty rybaka. Rybaczka rzekła: „Spotkaliście się z Herszkiem?“ — „Z faktorem? A ino!“ — „Moi ludzie proszę was, wracajcie do miasta, dajcie nań pozór, on się tu nie po rybki kręci.“ — „Zkądże te poszlaki?“ — „Nie pytajcie, ale idźcie do miasta i miejcie go na oku, wspomnicie moje słowo, dziś wieczór zaczyna się szabas, wszyscy żydzi będą się modlili do miesiąca, a on do djabła.“ — „Dajże nam rybek suchych, abyśmy darmo ztąd nie poszli.“

Kobieta otworzyła skrzynię, wyjęła suchych rybek, dała podróżnikom, oni wzięli do rąk i tak niosąc szli do miasta. Niektórzy mieszczanie widzieli spotykając się z szewcami niosącymi rybki suszone w rękach; naśmiewali się, mówiąc: „oblepiona smołą ręka nie czuje mrozu, dlatego w gołych rękach niesie ryby.“ Żydzi tosamo szydzili: pierwszy raz kupił szewc rybkę, jak z nią paraduje, aj waj, niech jeszcze wyżéj pokaże: mam ryby. Szewcy poszli sobie do swoich mieszkań — nikt ich już nie widział.

Noc była dosyć jasna, gwiazdy się na wyścigi migotały, mnóstwo żydostwa wyległo na pole i odprawiało nabożeństwo do księżyca. Koło takiej grupy żydów przechodziła się patrol wojskowa, nic nie mówiąc; żydzi mają przywilej na świecie największéj swobody religijnéj; niech im rząd wydaje jakie chce paragrafy,

oni umieją omijać takowe. Do jednéj grupy żydków przybliża się człowiek, szarpie żyda znajomego za hałat: „Herszka niema!“ — „A niema.“ — „Gdzież on? czy nie żyd jak i wy, aby się modlił z wami!“ — „On się modlić lubi do burmistrza, byle mu Moskal nie wypłatał figla.“ — „Do prawdy?“ — „Stara rzecz, burmistrz a Herszko, to jedna ręka, tylko pst!“

Szewc oddalił się. „Wiesz co?“ rzekł do towarzysza, „mam trop, poczciwy Szmul powiedział mi o Herszku niepocieszną nowinę, na to wychodzi, co już oświadczyła tyka.“ — „Rozumiem; chodźmy tedy do Krywy, bo czas“ — Biegną szewcy tą samą ścieszką w nocy i wpadli znów do domku rybaka.

W małéj izbinie tliły się smolówki, rzucając blade światełko na około, w kącie siedziała zatulona postać. Rybaczka przywarła drzwi, postąpiła kroków kilka, sparła rękę na ramieniu siedzącéj w kącie osoby: „Wstań! Ci uczciwi zaprowadzą cię do wikla, tam będziecie czekali aż przyjadą na koniach, rozumiesz; bardzo się dobrze trafiło że szabas, przeklęte żydziska przestaną przecie jeden dzień szpiegostwa.“ — „Mylisz się rybaczko, właśnie dlatego przychodzimy w nocy, bo Herszko nie trzyma szabasu, nie był na modlitwie, popłużyła psia wiara.“ — „To mnie niepokoi, zatrzymajcie się troszkę, albo Mateuszu idźno jeszcze raz do miasta na zwiady, załgaj się do Herszka po skóry, bo on ma ten towar na składzie, że masz obstalowane buty na niedzielę, a przez sobotę musisz je zrobić koniecznie.“ — „Dobra rada, wyborna.“

Mateusz pobiegł do miasta w nocy, puka do Herszka, bo szabasówki w mieszkaniu gorzały; żona wyszła, otwiera i pyta: „Co chcecie?“ — „Jest Herszko?“ — „Nie, poszedł do pana burmistrza.“ — „Tak, nie święci szabasu.“ — „Co wam do tego?“ odpowiedziała Solma, „i wy tułacie się w niedzielę, gdzie się wam podoba. Cóż chcecie?“ — „Mam interes, ale kiedy go niema, przyjdę po szabasie,“ i odszedł.

Biegnąc szybko nazad, oświadcza rybaczce: „niema Herszka, radzi z burmistrzem o naszéj skórze; tymczasem nic nie wyradzą, zabierajmy się prędzéj bo czas.“ — „Idźcie z Bogiem, niech was patronowie nasi mają w swojéj opiece, Krywe ma spryt, spuśćcie się nań a pomagajcie wiosłować doskonale.“

Dwóch szewców prowadziło szybkim krokiem ścieszką nieznajomego; nic nie mówili z sobą, tylko patrzali się, wytężając źrenicę na tę i ową stronę, bo księżyc niknął nad horyzontem gdzieś tam w przepaście świata. Przybyli ku wiklu, stoi postać. Szewc podwoił kroku, „zatrzymajcie się,“ rzecze, „ja sunę naprzód, ostrożność nie zawadzi.“ Przybliża się do do téj postaci, zapytuje: „kto tu stoi?“ — „A człowiek!“ — „Swój lub obcy?“ — „Swój!“ — „Macie konie gotowe?“ — „Gdzie nasz pan?“ — „Wnet tu przybędzie, nie turbuj się nic.“ — „Jakże się nie turbować, kiedy z nami źle.“ — „Co takiego?“ — „Wyśledzili nas w tych krzakach, trudna przeprawa w nocy przez wodę, bo kordonem stoją objeżczyki nad brzegami rzeki. Cofnęliśmy się tedy i koniecznie wypada zrobić drapaka w inne strony.“

Szewc w towarzystwie tego rajtara wrócili się ku tamtym dwom. Rajtar zobaczywszy swego pana, uściskał go serdecznie: „O paniczu nasz kochany, uciekajmy ztąd, bo za nami śledzą Moskale.“ — Stanął pan, poziera się na szewców i rzekł: „Nie wiedziałem, że Merecz zasmrodzony szpiegami; gdzie konie?“ — „Są w wiklinie.“ — „Przyprowadzajcie je natychmiast, najprzód zrobimy satysfakcję rybakowi, on musiał nas zdradzić, kiedy nie przybył na termin oznaczony; on musi być w związku ze żydem.“ — „A wy obywatele ufacie naszéj sprawie?“ — „Panie,“ odezwał się szewc Mateusz, „przysięgamy zemstę szpiegom!“ — „A zatém idźcie naprzód i z daleka lustrujcie, kto wnijdzie do rybaka; my tu będziemy stali na pogotowiu, jeżeli zoba-

czycie, niechaj jeden z was skoczy i gwiżnie w nasze kierując echo strony, ja to zrozumiem i przypadniemy konno łapiąc szpiegów na uczynku.“ — „Dobrze panie!“

Czekają i czekają w wiklu godzin kilka, nareszcie rozległ się gwizd. — „Chłopcy na konie, broń gotowa, dalej!“ i cwałem jadąc, otoczyli domek rybaka. Małe światełko wychodziło z okienka; dwóch szewców i 5 rajtarów wchodzi do chaty.

Jakież zdziwienie było Michasia! Stara rybaczka poprawia szczypki smolne, aby światło dawały; na środku stoi dygocąca Litwinka. Michaś uścisnął i pocałował rękę swej narzeczonej: „Lido! zdradzeni jesteśmy, niepodobna przez wodę przeprawa, tam pilnują kozaki!“ — „Właśnie w tym celu przybyłam, bo poczciwy rybak lustrując brzegi, zoczył tych zbirów, dał im wódki i powiedzieli mu żołdaki, że mają się przeprawić powstańcy w Augustowskie, czekają na nich, aby ich pojmali.“ — „Cóż tedy mamy czynić?“ — „Prawy mąż nigdy nie rozpacza, bo go zdobić powinna odwaga. Wysłałam rybaka, niech zrobi znaki na brzegach wody, gdzie najpłycej pojedziecie w imię Boże i przejedziecie szczęśliwie na tamtę stronę.“ — „Słowo twoje zacna Litwinko jest mi święte, tylko czy my tu bezpieczni?“ — „Niemam gdzie postawić koni,“ odezwała się rybaczka, „chyba niech wjadą tymczasem do sieni, ludzie się zagrzeją, a mój powróci, to sobie pojedziecie; właśnie szabas, żadne nie pokaże się do nas żydzisko.“

Znowu czekają wszyscy nad dwie godziny, zaczyna dnieć. Rybaczka wyszła na pole, poziera za mężem. Wlecze się stary Krywa, skłopotany. On zobaczywszy gości, zapłakał gorsko nad niemi: „Ach Boże, te przeklęte szpiegi przychodziły po ryby, a im trzeba było głowy pourywać; kordon obstawiony, niema przeprawy przez Niemen.“ — „Nie turbuj się Krywe,“ rzekła Lida: „Odwaga zdobi rycerza; — Michasiu w imię

Ojca żegnam cię, wsiadaj na koń z pachołkami, pędźcie nad rzekę, dopóki spite spoczywają objeżczyki.“

XI.

Michał Wołowicz ani się pożegnał z narzeczoną, już był na koniu z pięcioma pachołkami, wyruszyli tą samą ścieszką do wikliny, a za nimi Krywe mając sieć rybacką na drągu pod pozorem łowienia rybek na śniadanie. — Długo patrzała się Litwinka w tamte strony; dobrze zadniało, zaszumiały wiatry, od miasta widać było idące wojsko. Pyta się rybaczki: „W którą stronę prowadzi droga, którą się wojsko porusza?“ — „Prosto na Niemen ku przewozowi.“ — „A więc pójdą przez wikla?“ — „Tak, panienko.“ — „Dla Boga! Matko Boska ratuj!“ wykrzyknęła załamując ręce: „Rybaczko biegnij, niech się wracają w te tu strony.“ — „Nie turbuj się panienko, mój tam jest, on ma spryt, alboż nie służył pod Kościuszką! stary wojak, skoro zobaczy żołnierzy, wskaże im drogę.“

Dwie kompanje rosyjskie czystéj krwi Moskali spieszyły rozsypując się w tyralery. Widziała Litwinka, jak obsaczali wikla, konnica zasię stała w pogotowiu na brzegu Niemna. Spłoszeni powstańcy popatrzyli się, dowódzca rzekł: „Chłopcy w imię Boże! daléj przez rzekę!“ Spiął konia ostrogami, wszyscy sześciu pędzą nad wysoki brzeg rzeki. Moskale obsaczają ich ze wszystkich stron i napędzają sami nad wodę w myśli, że niepodobieństwem, aby z tak wysokiego brzegu skakali do głębiny na złamanie karku, gdzie śmierć niechybna. Nie! Wołowicz wybrał ostatnie, raczéj zginąć w nurtach Niemna, niżeli jęczeć w niewoli. Skoczył z koniem z brzegu do Niemna, za nim buch drugi, trzeci, czwarty, piąty. Oficer moskiewski zawołał: „A warjaty, tak ginąć niepotrzebnie!“

Tymczasem na głębinie wody pokazują się głowy koni, za chwilę widać jeźdźców, płyną konie pomiędzy kry lodu stękając, aż się dostały na przeciwny brzeg w Augustowskie. Konie otrzęsły z siebie wodę, jeźdźce zmoczeni jadą przez piaski powoli, a za nimi świszczą moskiewskie kule. — Tak uciekli z niebezpieczeństwa im grożącego, z wielkim podziwem samych Moskali, którzy myśląc, że żywcem złapią swe ofiary, a one bezpiecznie umknęły.

Publiczność miasta Merecza dowiedziawszy się o tym wypadku, nie posiadała się z radości. Burmistrz jeden siedział smutny, jakby struty, bo otrzymał był ręką kobiecą pisany list: „Na hak ze zdrajcami!“ Obtoczył się żandarmami, wysłał we wszystkie zakątki szpiegów, w mieście przedsięwzięto rewizje, kto taki przechowuje podejrzanych ludzi. — Zgraja psiuków rozleciała się w asystencji żandarmów po domach na rewizję, trzęśli, szukali, brali kosztowności, pieniądze i drogie rzeczy; lament się stał, a nikt nie umiał powiedzieć, jak się nazywa ów bohater, który dwom kompanjom wojska umknął z oczów, ryzykując życie swoje. Dwóch tylko szewców wiedziało; poczciwi rzemieślnicy, których się nieraz wstydzą pany, a bez ich pracy w żaden sposób obejść się nie mogą, ci stali się prawdziwymi przyjaciołmi Wołowicza.

Ten młody człowiek w pierwszym szale miłości, chcąc się pożegnać z narzeczoną, przybył wśród największych trudów, tylko nocami jadąc, do Merecza z pachołkami swoimi około północka. Ani podobieństwem wjeżdżać do miasta. Idzie tedy sam za furmana przebrany i widząc światełko u rybaka, wszedł tamże. Stary Krywej siedział sobie jeszcze paląc tytuń, żona jego chrapała. Michał zapukał: „Otwórz!“ — Wyszedł Krywej: „Co chcesz żydzie, ryb niema.“ — „Nie jestem żydem, czas nagli, ojcze, ludzie mi zeziębli i konie, kiedyś rybakiem, przeprowadź nas przez Niemen.“ —

„Więc wy swojscy ludzie.“ — „A tak ojcze.“ — „Zkąd?“ — „Nie pytaj.“ — „Oh! przeciem żołnierz Kościuszowski, wiedz panie, że tu lud jak mur za Polską stoi, tylko żydzi szpiegami Moskali.“ — „Więc mogę się spuścić na każdego.“ — „Do każdéj chaty można wleść bezpiecznie, aby tylko żyd nie widział, wszyscy Litwini nasi. Odpocznij sobie mój panie, a jeżeli co potrzebujesz z miasta, jestem na usługi.“ — „Kiedy tak, więc uwiadomijże w téj chwili panienkę u państwa W. bawiącą, oświadczając: Jedzie narzeczony do Warszawy; nic więcéj.“ — „Zgoda panie łaskawy, wyjątek stanowi, gdyby mnie złapano, bo za mną szpiegują okropnie, mając mnie w słusznem podejrzeniu, że przeprowadzam na tamtą stronę. Tymczasem możesz pan bezpiecznie iść po swoich ludzi, ulokujecie się w sieni, popasiecie konie, zjecie co Bóg dał, a nadedniem wjo do wikliny, by nas bies jaki nie wytropił.“

Krywej pobiegł szybko do miasta; była północ, wszystko spi oprócz straży; a więc niepodobieństwo dostania się do panny. Puka on do mieszkania szewca Mateusza. Otworzył przerażony: „Co za interes?“ — „Bardzo ważny, powracam nazad do domu, a Mateuszu masz mi uwiadomić pannę Lidę, że u mnie jéj narzeczony.“ — „Jakże się załgam, czy niema jakiego listu, biletu lub znaku?“ — „Masz bilet, list, znak na końcu języka, łopatą ci do głowy kłaść nie będę, kiedy swojski człowiek.“ — „Rozumiem, wykonam na makowe ziarnko polecenie.“

Wczas rano nie mógł się wybrać Mateusz z domu; przeszkodził mu żyd, który przybył w zmyślonym interesie obstalowania sobie butów, a tymczasem chciał wyssać z szewca, czy mu nie wiadomo, co w cichu radzą szewcy względem Polski: „bo i my,“ rzecze żyd, „chcemy się przyczynić Polakom z pomocą.“ — Ino że nie wyjęzyczył się Mateusz, ale żona spojrzała nań przenikającym wzrokiem; on zrozumiał tę mowę ócz

towarzyszki i zamilkł mówiąc: „Nam z Cesarzem dobrze, a kiedy żydom źle, niech się rewoltują z Polakami.“ — Mateusz stawał się coraz to więcej niecierpliwym, żona tożsamo, poznał ich usposobienie faktor i dosiadywał naumyślnie. Żona tedy niewiele myśląc, wzięła chustę na siebie, mówiąc: „idę do kościoła, Mateuszu pilnuj domu.“ — Żydowi było podejrzanem, dlaczego ta kobieta tak się zarumieniła, pożegnał Mateusza, wyszedł, nie spuszczając kobiety z oka. Nie spodziewając się, że ma za plecyma szpiega, Mateuszowa ominęła kościół i wpadła do kamienicy. — Żyd uważał pilnie, przedzwonili na południe, a ona jeszcze nie wychodzi. Co to jest? myśli sobie, zakręcił się do kamienicy, zobaczył posługaczkę i pyta: „czy jest u państwa szewcowa Mateuszowa? mam do niej interes.“ Sługa bez namysłu rzekła: „była rano, ale poszła z panienką, gdzie nie wiem, bo wyszły zatyłkami.“ — „Z jaką panienką?“ pyta żyd. — „A z panienką, która tu przyjechała, bardzo poczciwa, bo nas każdego obdarowała pieniądzmi, niech jéj Bóg da zdrowie.“

Żyd mając taką nić, biegnie na policję, kto przybyły się zameldował od państwa W. — Nikt, odpowiada policja. — Leci do szewca Mateusza, żona w domu, jego znowu niema. — Przemyślny faktor poczuł, że się coś święci, był na tropie, a nie mógł się połapać. Jakżeby się był połapał, kiedy szewc zaprowadził pannę Lidę do swojego kuma szewca Jana, a ten miał jéj wskazać drogę do rybaka.

Tymczasem zaszła rewizja u państwa W., sługi wyrecytowały: Panienka poszła z szewcową. Przeto policja śledziła zaraz za Lidą, mając ją w podejrzeniu o konszachty spiskowe; albowiem na ów czas każde uchybienie podciągano do zbrodni państwowych, i tym sposobem mnóstwo niewinnych ofiar aresztowano, bez sądu posyłano w głąb Rosji, majątki konfiskowano, słowem popełniano nadużycia, które określić nawet trudno, do czego moskiewska może zdążyć podłota.

Szewc Jan wywiedział się przez znajomych poufnych, że policja kazała śledzić za Lidą, dlatego przebrał ją w szaty własnej córki, a ostatnią wysłał na wieś z poleceniem niewracania, dopóki burza nie przeminie. — Właśnie zjawił się też Krywa, nie mogąc się doczekać podjętej misji. Szewcy go zobaczywszy, upewnili: Dopiero wieczorem możemy dać pomoc jaką swojemu człowiekowi. — W tym celu wybrali się, jak nam wiadomo, do rybaka i spotkali się z Herszkiem. Żyd wychodząc od rybaka, zoczył obcego tam człowieka, dał znak policji, ona też gotowa do takich towarów, czekała zaczajona, i dała znać wojsku. — Stało się. — Wojsko, jak wiemy zrobiło swoje, popisując się niedołęztwem; Wołowicz z ludźmi przepłynął do Augustowskiego. Nieszczęśliwa Lida została u rybaka.

Herszko udając, jak gdyby o niczem nie wiedział, przybiegł znów po rybki do Krywy, zastając dziewuszkę zatuloną, pyta się rybaczki: „Gdzież wasz mąż?“ — „Łowi ryby.“ — „Dziś mroźno.“ — „Darmo, jeść się chce.“ — „A ta dziewucha także na ryby czeka?“ — „Tak, to córka szewca Jana, szuka ojca, polazł gdzieś i może sobie popija.“ — „Tak,“ uśmiechnął się żydek. Lida widząc te szydercze usta, rzekła bez trwogi: „Może ojciec ułowi jakiego suma, bo mi się śnił.“ — „Prawda,“ znowu rzekł żyd szyderczo, „teraz sumy latają przez Niemen, to mu się jeden dostanie.“

Gdy tak dysputują, wchodzi szewc jeden i drugi, a za nimi Krywa. „Cóż nowego?“ pyta Herszko, „znowu na suche rybki?“ — „Teraz na mokre,“ odparł szewc Mateusz, „możebyś poszedł z nami Herszku, a pomógł ułowić, ha!“ — Lida popatrzyła się na szewca, pokazała palcem na szyję. Zrozumiał szewc, przybliżył się do żyda, uchwycił: „Szpiegu! pójdź z nami na rybki!“ — Herszek się przelękł. Krywe mu na to: „z tego samego brzegu skoczysz bestjo do wody, co i tamci skoczyli.“ Zawiązali szmatą łeb, porwali i wleką. Żyd się sza-

moce. Nic nie pomogło, zawlekli go nad brzegowe przepaście Niemna: „Skakaj bestjo!“ A gdy nie chciał dobrowolnie, zepchnęli go do wody, jeno się zapieniła. I przyszli nazad do Krywy. Już nie było co robić; Lida poszła z szewcami, jako córka przybrana.

Tymczasem w mieście stał się rozgłos: „znowu jakiś powstaniec skoczył do wody, ale niewiedzieć, czy przepłynał Niemen.“ — Rozciekawieni mieszczanie pytaja cichaczem jeden drugiego, kto był taki? Dowiaduja się, że tym bohaterem Herszko. — „Co, Herszko miałby uciekać do powstania?“ Kiwa jeden i drugi głową. Ta nowina dolatuje uszów burmistrza. Moskal zezieleniał z przestrachu: „Zdradzi mnie, już po mojém życiu!“ Krzyczał na głos do żony. — Woła tedy żonę Herszka, krzycząc wściekle: „Jewreje, sukinsyny trzymacie z Lachami, gdzie twój mąż?“ Kobieta Solma przelękniona nie wiedząc jeszcze o niczém, rzekła bez namysłu: „Poszedł szpiegować Krywę, bo on powstańców przeprowadza.“ — „Tak, a sam skoczył z brzegu do wody i przeprawił się na tamtą stronę; to mi tak wierny za moje pieniądze!“

Kobieta osłupiała. „Panie burmistrzu, to być nie może, nie wierzę, aby mój Herszko puszczał się na wodę, on się boi okropnie wody, kto wie, jeżeli mu co złego nie uczynili szewcy tutejsi.“ — „Jakto, szewcy także spiskują?“ — „Nie poprawię sumieniem, ale mój brat chodził za skórkami do wsi, tam zastał szewcównę, koło niéj chłopów ze 20, ona im rozprawiała o wolnicy, kto co ma niech bierze a bije Moskali.“ — „Nie może być.“ — „Tak mi mówił mój brat Szmul pod hajrem.“

Natychmiast kazał burmistrz więzić szewców. Siepacze wpadają w nocy do domów szewieckich i bez pardonu wiążą. Krzyk, hałas, lament. — Taka zgraja policyjna zapukała także do domku szewca Mateusza. Szukają wszędzie, pytają: gdzie Mateusz? — Pojechał

z córką na skóry do Grodna, odpowiada żona. — Nie powiedzieli, w jakim celu przybyli, i odeszli. Tymczasem w mieście lament; niemal wszystkich szewców zabrano do kozy, oprócz Mateusza i Jana, tych niema. — Za nimi śledzi policja. Niech sobie głowę psuje, kiedy poczciwy weteran Krywa przepłynął na łódce z nimi i Lidą przez Niemen w nocy w celu dostania się do Warszawy!

XII.

Przecławski obrał znowu przeciwnego kierunku drogę w celu zdążenia do Warszawy. Ani się zatrzymał w Różany, wyjechał prędko; rodzice dziwili się temu nagłemu odjazdowi. — „Co to ma znaczyć?“ przemówiła pani Przecławska do męża, „czytałam w gazecie, że wojska Moskwa koncentruje spiesznie ku granicy.“ — „Zaświeci się kozerka, ołowiane dzwonki będą trymfem,“ odrzekł pan Przecławski. — „Co pleciesz, co? Rewolucja zgubiła nas, czy ma dogubić Polskę do reszty?“ — „Na wiatr nie mówię, przed tobą trudno aby się był zwierzył syn swojéj misji, wolał się nie pożegnać, popłaczesz troszkę, a na ostatku będziesz mówiła pacierze, aby go Bóg miał w swojéj opiece, albowiem daleko do Warszawy, a granica obsadzona.“ — „Myślisz mężu, żem nie Polką, a czyż się nie godziło uklęknąć przed matką, niechby na drogę pobłogosławiła? Wszakem go wychowała dla ojczyzny.“ — Przecławski ucałował swoją Jmość rozczulony: „Przebacz, na niego padł los, on jako posłuszny syn wystawia się na niebezpieczeństwa, Bógby mu pomógł tylko przesmyknąć się przez granicę. Dzisiaj zamyśla dostać się do Woronówki, ztamtąd łatwiéj będzie do Sielca, a Konstantowa sprytna kobieta wyszle go na Wołyń, przesmyknie się do Galicji a już jakby był ocalonym.“

W saméj istocie matka przewidziała ową drogę,

lecz nieprzewidziała niebezpieczeństwa. Leon przybył do Sielca jako przebrany moskiewski czynownik. Na nieszczęście pod Sielcem, trzeba się przeprawić przez rzekę Jasiołdę. Kilku przewoźników siedziało w karczmie czekając na jakie łapowe, bo cały dzień jakby zaklął ludzi, nikt nie szedł ani jechał. Zresztą zimno dokuczało niezmiernie, kry niosła spieniona woda. — Przyjechawszy na prom, woła furman przewoźników. „Kogóż wieziesz Hryńku?“ pytają. — „Albo ja wiem, kazali mi państwo z Michalina, abym zaprzęgnął konie i za pańskie jechał do Sielca, czy mi coś ten pan da, nie wiem. Jeno po moskiewsku do mnie zagaduje, lubom Rusin nie cierpię Moskali, bo nam wleźli okropnie za pazury!“ — „Ho! kiedy tak, to mu zaśpiewamy parę rubli, niech Moskal płaci.“

Przewoźniki przybiegli. — „Panie teraz niebezpieczna przeprawa, kra gęsta płynie, gotowa nam przewrócić prom, albo nas zasryszyć na środku wody, pierwéj musimy zrobić trop przerębami lodom, potém spróbujemy sami, a jak oczyścimy drogę, możemy puścić się z panem, tylko nie wiemy wiele pan zapłaci?“ — „Ja jestem urzędnik, mnie się za darmo przewóz należy!“ — „Darmo umarło mój panie! dawniéj Moskale wydziwiali co im się podobało, ale teraz my będziemy z niemi,“ odrzekł chłop śmiało. — Leon się popatrzył nań z zadziwieniem: „Co wy z Lachami trzymacie, ha?“ — „Kto na lepsze ciągnie, z tym trzymamy,“ mruknął chłop na drugich. Przewoźnicy skupili się, a zuchwały przewoźnik rzekł: „Samego pana przewieziemy, Hryńko niech się wróci z wozem i końmi, boby się potopiły.“ — „Nie może być, ja dziś chcę zajechać do Kobrynia.“ — „Jak się panu podoba, my się dla głupich parę groszy topić nie będziemy.“

Leon krzyknął na chłopów: „Sukinsyny, ja carski sługa.“ — „Niech będzie jaki chce, my nie ryzykujemy życia, a gospodarza szkoda, aby mu zagubić chudobę. W

Sielcu najmie sobie pan forszpan i pojedzie.“ — Leon przystał na propozycyę chłopów przewoźników, wyjął 2 ruble, dał woźnicy Hryńkowi. Przewoźnicy się popatrzyli i szepnął jeden do drugiego: „Ma Moskal pieniądze, niech tylko fura odjedzie.“ — Dosłyszał téj szeptaniny Leon i rzekł: „Hryńku nie odjeżdżaj aż ja się przeprawię przez rzekę.“ Hryńko poskrobał się po głowie, powoli wsiadł na wóz, podciął konie i ucieka. Leon odgadł, że się podrywka święci i rzecze śmiało: „Zaraz was aresztuję, wy macie coś złego na myśli!“ — „No no, siadaj pan na prom do biesa, nie bój się!“ — Leon wyjął po 2 ruble i dał każdemu; chłopi się ukłonili: „Wsiadaj pan! do wioseł!“

Leon wsiadł. Chłopi sterują zamiast do brzegu przeciwnego, gdzieś na dół ku wiklu. Leon poznał niebezpieczeństwo: „Ludzie co wy zamyślacie?“ — Dwóch tęgich przewoźników złapało go pod gardło: „Spowiadaj się teraz ty moskiewski szpiegu, za kim jedziesz? kogo szukasz? bo cię utopimy!“ — „Ależ dla Boga, ja jestem swojski, jestem Polakiem, uciekam do Warszawy, bo tam już biją Moskali!“ — „Alboż to prawda? wy się zaczajacie na Polaków jak rybak na ryby, daléj chłopcy wrzućmy pod lód Moskala!“ Naraz zobaczył Leon z przestrachu wszystkie gwiazdy na niebie: „Oh! moja matka, mój ojciec kochany, nie będą wiedzieli, że taką haniebną ginę śmiercią. Oh! już też nigdy nie zobaczę Leśna i téj cudownéj Matki Boskiéj!“ — „A to zkąd ty?“ — „Z Różany, Przecławskiego syn.“ — „Czemuż się przebierasz za Moskala?“ — „Bo uciekam, aby mnie Moskale nie poznali.“ — „Przysięgaj, my to sprawdzimy.“

Przybili do wikla ku brzegowi. — „Pędź Jurku za Hryńkiem, my go znamy, jak go dogonisz, niech przyjeżdża i zaświadczy, czy to Polak lub Moskal przebrany.“ — Trzech przewoźników obstąpiło Leona, pilnują, a czwarty poleciał za jego furmanem. — Po kilku

godzinach przychodzi Hryńko z przewoźnikiem. Pierwszy świadczy, że tego pana wziął z dworca we Wronowie na rozkaz dziedzica: „ale zkąd on tam przybył, nie wiem, za pańskie kazali go odwieść do Sielca, co też uczyniłem.“ — „Więc tak zrobimy, pan u mnie zostanie, w méj chacie, tam widzisz, a z Hryńkiem pojedzie jeden do samych Wronczyc i dowie się kto jesteś, bo jak szpieg moskiewski, ani cię djabeł z wody nie wyciągnie.

Na dzień następny rozwiązała się zagadka z Leonem. Stary przewoźnik mu rzecze: „Młodyś paniczu a niedoświadczony. Moskale się znają po węchu, jeżeli cię zobaczą wojskowi lub czynownicy w mundurze urzędnika, gotowi zapytać, zkąd, gdzie, po co jedziesz? czémże się wykażesz? masz pismo lub paszport powiatowy? Ten sam żyd, co paniczowi sprzedał mundur, gotów zdradzić przed policją lub żołnierzami. Jestem stary wojak Poniatowskiego, dodam panu rady i przeprowadzę szczęśliwie do Polski, tylko musisz się nauczyć najpierw naszego języka, musisz wiedzieć nasze znaki, bo my tu już niejednego przeprowadzili po pod nos idąc Moskalom, a nic nam nie zrobili ani poznali.“

Przez dwa dni siedział Leon u polskiego weterana, który przebrał go za parobka i obaj wyjechali z odstawą zboża z Sielca do Kobrynia. Jadąc na dwie chłopskie fury spotykali na szosie z Brześcia litewskiego prowadzącéj, stopy wojska, żandarmów, urzędników moskiewskich, nikt się nie zapytał, kto jedzie. Żandarmi tylko zapytali raz: dokąd? — „Jedziemy z odstawą do Kobrynia“ rzekł stary, „ja mam 15 worków pszenicy, syn 10.“ — W Kobryniu sprzedali tę pszenicę, nakupili siana, napakowali na wozy, skręcili na lewo i znowu kto zapytał: gdzie jedziecie? Odpowiedzieli: do Dywina, odstawiamy siano. — W Dywinie posprzedali siano, konie, wozy, wieczorem wynieśli się ku Samarze do ziemi Wołyńskiéj. Tu zaczęła się mozolna przeprawa przez bagniste okolice rzeki Prypeci. Chłop jednak na-

turalnym swoim rozumem przewyższył oczekiwania i usunął przeszkody. W miasteczku kupił na tandecie odzienie pogranicznego strażnika, ubrał w nie swojego pana i kazał się prowadzić jako złapanego przemytnika. Na drodze spotkali się z żołdakami: co to takiego? pyta oficer moskiewski. Leon umiejąc po rosyjsku doskonale powiada bez wyjąknienia: „Złapaliśmy przemytnika, który rzucił z torbą swoje towary i uciekał, moi towarzysze porwali corpus delicti, ja zasię pogoniłem za drabem, złapałem, okułem i prowadzę do powiatu. — „Horoszo, horoszo,“ wykrzyknął oficer mówiąc: „jeżeli chcesz, dam ci nawet eskortę.“ — „Dobrze,“ odpowiedział Leon, „dwóch żołnierzy wystarczy.“

Tak się też stało. Ów przemytnik prosi, aby go rozkuto, żołnierze nic nie mówią, Leon się pyta: „mam go popuścić? przecie nas trzech do biesa, to nam nie ucieknie.“ Rozkuto tedy człowieka, który sam sobie kupił te łańcuszki, i teraz niby z wdzięczności ukłonił się nisko żołdakom, obiecując w pierwszéj karczmie kupić wódki. — Tak prowadził całą eskortę Leon powoli pierwéj już umówionemi drogami. Spotykali żandarmów, wojsko, objeżczyków, wszędzie odbywała się jednaka historja: „prowadzimy schwytanego delikwenta do powiatu,“ i na tém koniec. Szli sobie bezpiecznie. Zdybała ich noc, zakręcili umyślnie do karczmy, aby sobie odpoczęli, posilili się, ogrzali, a w potrzebie i przenocowali. Leon kazał wódki, popili sobie żołnierze; kazał gotować mięśną kolację, na co przystali ochoczo żołnierze; jedzą, piją, rozgrzali się na dobre; kazuje on zgotować czaju, częstuje szklanica za szklanicą, aż się żołnierzyska spili, leżąc na posłanéj słomie bez duszy. Mając od nich wyssane wiadomości, jak się nazywa pułkownik, major i jego oficerowie, wiedząc dokładnie ich nazwiska, a nawet kuknąwszy do pugilaresu kaprala, przeczytał sobie dokładnie zapisane kompanji nazwiska. Naradza się tedy z chłopem, co czynić.

Wpada mu koncept; popisał na karcie donosów, gdzie się mają zgromadzać powstańcy, fałszywe nazwiska, dał do zanadrza spitym żołdakom, cichaczem w nocy pozdejmowali z nich odzienie, powdziewali im swoje, ubrali się jako żołnierze, porwali karabiny, obudzili karczmarza: „Słuchaj, abyś nie wypuścił tych dwóch ludzi, pod gardłem ci nakazujemy, którzy leżą na ziemi, zamknij dom i oświadcz im rano: Nie wolno się wam ruszyć, dopóki nie przyjdzie wojsko, boście wy szpiegi, żołnierze poszli do komendanta.“ — Karczmarz człek bojaźliwy, rozespany, słysząc taki ostry mandat zagrażający mu życiem, zamknął izbę gdy wyszli mniemani żołnierze, wziął klucz ku sobie do łóżka i spał teraz czujnie. Gdzie tam, ani się żaden nie budzi, tylko furczą na nosach, przewracają się do bialuteńkiego rana. Wstaje nareszcie jeden, poziera po sobie, ani wierzyć oczom może, że ma chłopskie na sobie odzienie; drugi patrzy z podziwieniem i na siebie i na kolegę, pyta karczmarza: „a gdzie tamci?“

„Cicho,“ rzekł karczmarz ostro, „ani się ruszajcie z miejsca, wnet tu przybędzie sołtys z chłopami, abyście mi nie pouciekali.“ — „Co?“ zaczynają żołnierze krzyczeć, „tyś nas obdarł z łotrami.“ — „Oho, cicho wy szpiegi, wpadliście raz w klamkę, na Sybir z wami, niech się wam nie zachciewa rewolucji.“ — Jeden krzyczy, drugi hałasi: „my prawdziwi żołnierze, a tamci łotrowie.“ — „Ani mur mur, idzie sołtys!“

Przybył chłop tęgi; wielki, mając kosztur w ręku, pyta: „Co wy za jedni? macie paszport? — „Ja jestem podoficer,“ jeden odpowiada, „a ten prosty żołnierz ruski, mamy na to papiery.“ — Wyjmuje z zanadrza pugilares, zdziwił się jednak, bo takiego nigdy nie miał; otwiera, tam różne pisma, listy, zatrzęsły mu się ręce, co to się stało. Sołtys zmiarkował ową bojaźń, złapał za pugilares rzekąc: „My się tu przekonamy co wy za jedni, tylko do pana mirowego was zaprowadzę

z temi papierami.“ — Żołnierzyska się certują: my żołnierzami, tamci nas okradli, wziąwszy nasze mundury i broń. Karczmarz patrząc się na fizjognomję potwierdza tożsamo, że mu się tamci inaksi zdawali, ale kto wie? — Tak ulatuje czas, zbliża się ku południowi. Karczmarz i sołtys prowadzą podejrzanych do mirowego, aby przejrzał papiery. Mirowy czystéj krwi Moskal, przeziera, czyta, daje także do przejrzenia swojemu pisarczykowi, wykrzyknął: „Szpiegi! Natychmiast ich aresztuję, bo ważne odkrywają się rzeczy, za co zostanie sołtys wynagrodzony.“ — Żołnierzyska krzyczą: „Ale Wasze błahorodje, my żołdaki!“ — Krzyknął mirowy: „Mauczy sukinsyn! szpiegi!“

Wszczęła się niemała pogadanka i swar między żołnierzami a mirowym, karczmarzem i sołtysem; żołnierze opowiadają całą scenę i odwołują się na swojego oficera we Włodzimierzu, jak wyruszył z żołnierzami na patrole do tych okolic, i kazał im transportować delikwenta. Mirowy posłał natychmiast sztafetę; jota w jotę zgadzało się opowiadanie owych złapanych szpiegów z potwierdzeniem oficera; a nuż przyszli Moskale na trop, że ich oszukano okropnie, i zaczęli śledztwo, gdzie kto widział dwóch żołnierzy idących ubranych według formy tutejszego pułku. Wszystkie śledztwa doprowadziły do tego, że pod Kladową kazali się na promie przez Bug przewieść dwaj żołnierze, mający na celu śledztwo za szpiegami, którzy się znajdują w téj stronie i płużą ku Chełmnowi. — Ba! tak było w rzeczywistości. — Leon za pomocą dowcipu chłopa przezwyciężywszy wszystkie przeszkody, przebył Bug koło Kladowéj, gdzie mu i objeżczycy omamieni w przeprawie pomagali, — i udał się ku Lublinowi, a z tamtąd bezpiecznie do Warszawy.

XIII.

Warszawa była widownią wielkich ruchów ludu. Z jednéj strony formowano wojska celem obrony pod Moskwą, z drugiéj znowu strony powstało towarzystwo dobroczynno-patrjotyczne celem niesienia pomocy rannym rodakom nieszczęśliwym. Nigdy nie zapomni naród dwóch imion, co błyszczą jak owe najdroższe perły, zawinięte w koronie cierpień narodowych, a błyszczą czynami, przed których wspomnieniem musimy schylić nasze czoło — niemi są: Klaudyna hrabina z Działyńskich Potocka i Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Te dwie Polki dokazały czynów, na jakie się tylko ludzkość zdobyć może. Pierwsza młodziutka nadobna, bogata mężatka ucieka przez granicę z mężem Bernardem Potockim z Poznańskiego, posłyszawszy o powstaniu, ofiaruje swój majątek dla biednéj ojczyzny, skupia swą dobrocią serca setki dam w kółko dobroczynne, szyją bielizny, skubią szarpie, pielęgnują rannych własnemi rękami, karmią wśród głodu; nie odstrasza ich okropna zaraza cholera, one się krzątają jak robocze pszczółki wśród niewygód, niewyspania po ulicach i szpitalach, stając się więcéj niżeli Samarytankami. Takie poświęcenie się kobiet podniecało też zapał walecznych mężczyzn, młodzieży i starszych.

Bohaterski Wołowicz wystawiwszy życie swoje na niebezpieczeństwo śmierci, po owéj szczęśliwie dokonanéj przeprawie pod Mereczem, spieszył konno z pięcioma towarzyszami zuchami, swojego ojca fornalami, przez Augustowskie ku Warszawie. Jeszcze nie była Moskalami zasypana polska ziemia, wojska narodowe stały dumając co to będzie, czekając tylko na skinienie wodzów, aby je prowadzili ku obronie ojczyzny. Na wieść: uciekł tyran Konstantyn, dyktator Chłopicki narodem kieruje, spieszyły pojedyncze oddziały ku

Warszawie. Ku takiemu oddziałowi przyczepił się Michał Wołowicz i przybył także do Warszawy.

Czyż mógł spodziewać się tego, aby tu zobaczył swojego znowu przyjaciela? Przebyli oni tyle trudów, strachu, niewygód, i przytém nieraz takiego głodu, żeby się był chwycił kamienia, niestety i tego zabrakło więcéj niż chleba, bo śnieg pokrył naumyślnie ziemię, a oni z wytrwałym chłopem po dwa dni ślęczeli w lasach lub kniejach, nim się ruszyć było daléj można, albowiem Moskwa na widmo ruchu w Warszawie poruszyła wszelkie sprężyny ostrożności, aby się ani na Wołyniu ani na Litwie nie rozwinęła akcja. Prawie pod Belwederem spotkał się Leon z Michałem. Jakże serdecznym był ich uścisk a przyjacielskie powitanie!

„Michasiu,“ rzekł Leon, „po weseluś?“ — „Hoho, mój przyjacielu, żebyś wiedział, kto mi drużbował?“ — „No, na serjo mówisz?“ — „Jakżeby nie, uśmiechnął się Michał, „jeżeli chcesz poznać moich drużbów, pokażę ci ich zaraz, bo ze mną przyjechali, tylko starosta mój niestety i młoducha, Bóg raczy wiedzieć?“ — „Nie trzymajże mnie na terminie, powiedz bez ogródki, czyś po ślubie, bo słyszałem, żeś w tym celu pojechał na Merecz.“ — Michał wziął pod rękę koleżkę i zaprowadził na miejsce, kędy zapisywano do legjonu litewskiego, mającego formować się niezawodnie. Czterech zuchów fornalów z dworu Wołowicza stało umundurowanych. Leon poznał parobczaków i podał im dłoń.

„Wiesz co Leonie,“ rzekł Michał, „jakie my nad Niemnem odprawili wesele?“ i tu mu opowiedział całą scenę. — „Dla Boga,“ założył ręce na krzyż Leon, a Michał rzekł: „Przyjacielu, to są nasi najwierniejsi towarzysze, jednak boli mnie serce, co się z Litwinką stało, i z poczciwymi Mereczanami. Nigdym się nie spodziewał, aby dziewica tyle miała zimnéj krwi i odwagi. Przyjechawszy do Mereczu zastałem wojska 2 kompanje i konnicy niemało przeznaczonéj li tylko na

samo patrolowanie. Każda ścieżka, każda droga, każdy hotel, niemal każdy dom był pod kontrolą, kto doń wchodzi i wychodzi. Litwinka wiedząc od ojca, jakie moje było przeznaczenie, chcąc mi utorować drogę, naprzód pojechała do Mereczu, napisawszy mi bilecik, że tylko przez to miejsce można przeprawić się bezpieczniéj do Polski, bo tam rzemieślnicy, ludzie znoju i pracy, należą do Philaretów, zagrzani przez zabiegi Matuszewicza, głównego grodzieńskiego patrjotę. Zdziwiłem się, nim przybyłem w te okolice a zobaczyli nas wieśniacy, każdy się nastręczał z usłużnością kładąc palec na usta, jako oznakę, że należy do ludzi sprzysiężonych. Umieściwszy się w wiosce po jednemu, pobiegłem piechotą ku Mereczowi, ale zobaczywszy patrol wojskową, zawinąłem do małéj chatki rybackiéj, ani się spodziewając, że moja narzeczona Litwinka właśnie tego rybaka przeznaczyła, aby mnie przez Niemen przeprowadził. Niestety, zdrajców jest wszędzie pełno, a do nich należał szpieg żyd, który wytropił Litwinkę, że często do domku rybaka zaziera, z tego powodu stała się ona punktem dozoru policji, i byłaby nim przybyłem padła ofiarą, gdyby nie szewcy, którzy ją u siebie ukryli przebierając za własną córkę. Rybak czynił wielkie wysilenia, aby nam brod przez Niemen przystępny wskazał, żyd jednak widać szpiegował jego kroki nawet podczas szabasu. Gdy rybak ukartował nasze przeprowadzenie, zostaliśmy otoczeni przez dwie kompanje wojska i napędzeni na wysoki spadzisty brzeg Niemna, zkąd skakając, można sobie na pewne pokręcić kark i połamać nogi. Wybrałem ostatnie niżeli niewolę. Skoczyłem z koniem, te zuchy za mną, i przepłynęliśmy szczęśliwie. Przemoczeni do nitki, pędzeni strzałami, uszliśmy przecie w Augustowskie zarośla. Niestety szukam, macam koło siebie, niemam torby, najważniejszego mego dokumentu, co zawierał dwa argumenta, pieniądze i powierzoną mi misję. Wracam na

koniu cichaczem, patrzę się, czyli na brzegu Niemna wojsko stoi. Ani żywéj duszy. Patrzę się po pod Niemen, w miejscu, kędy się z wody konie otrzepały, znajduję moją torbę całą, podnoszę takowa, a dolatuje mnie głos kobiecy: Michasiu, Michasiu! Obzieram się, stoi na brzegu Litwinka, kiwnęła chusteczką, dosłyszałem tylko słowo: Już nigdy nie zginiesz, Bóg z tobą! będę się wiecznie za tobą modliła. Co się w méj duszy działo, niemam wyrazu na to miotane mém sercem uczucie. Chciałem mówić, krzyknął na mnie rybak: uciekaj, bo pędzą konni Moskale; drapnąłem, oni zaś gdzie się podzieli, Bóg raczy wiedzieć przyjacielu drogi."

„Ha, no Michale, kiedy takie odbyłeś wesele, zaczniemy podobno tany," ośmiał się Leon, „kiedyś zapisany do legjonu, i jabym chciał należeć także." — „Ba, mój kochany, nie koniec na tém, musisz pójść ze mną do naczelnego wodza i potwierdzisz zeznanie patrjotów całéj Litwy i Żmudzi." — „Czy nie byłeś jeszcze?" — „Jakże miałem pójść bez dokumentu?" — „Przecie znalazłeś torbę swoją." — „Znalazłem raz ale po drugi już z nią się nie zobaczę." — „Dlaczego?" — „Bo mi ją ukradli w Warszawie, pal kaci torbę i pieniądze, gorsza informacja i plenipotencja, żeby się nieszczęsnemu w ręce nie dostała." — „Ależ nie baj, co było dziegciem wysmarowane, już umknęło, a swojski jak znajdzie, niechże użytek do władzy zrobi, tém lepiéj." — „Ja z mojéj strony nic nie utraciłem, pójdziemy razem do naczelnego wodza i wyjaśnimy całą sytuację."

Jak uradzili, tak uczynili, poszli tedy do Generalissymusa, uzyskawszy wprzódy przez zaufanych mężów posłuchanie. Zdziwił się Chłopicki, zobaczywszy tych zuchów: „Jeżeli tak lud litewski usposobiony, jak panowie powiadacie, niezawodnie mu poszle rząd narodowy pomoc swoją," była odpowiedź wodza, „wszakże

już się formuje legjon litewski, zaczekajcie trochę, pójdziecie z nim na czele.“ — Tak było w samėj istocie. Leon z Michałem ukontentowani, wyszli od Chłopickiego rozpromienieni nadzieją wybawienia Litwy. Legjon ów formował się wprawdzie, ale leniwo; tymczasem gotowali się do wielkiéj batalji, która się odbyła rzeczywiście pod Grochowem.

Leon z Michałem chcieli koniecznie zostać ochrzczeni krwią patrjotyzmu. Namówili się potajemnie w Warszawie, pobrali szable i lance, i przyłączyli się do Polaków walczących pod Grochowem jako woluntarjusze. Widząc ten zapał polskiego wojska, tę pogardę śmierci i pewność sił swoich, rzekł Leon do Michała: „Przyjacielu, czyż niepodobny duch panuje na całéj Litwie? gdyby nasi Litwini wiedzieli, jak Moskwa w skórę tutaj dostała, zapewneby powstała jako jeden mąż i wypędziła tych Mongołów do Azji za Amur daleko.“ Michał patrjota, jakich mało, wejrzał w niebo i westchnął sobie: „Ojczyzno Litwo moja powstań!“

Dziwne przeczucie człowieka! W tym samym czasie nadeszła wiadomość do Warszawy, że samo chłopstwo wzięło bez wystrzału *Troki* na Litwie i 500 Moskali się na łaskę poddało. W saméj istocie tak było. W miasteczku Trokach odbywał się jarmark, Matuszewicz konsyljarz rządu w Grodnie, jeden z gorliwych patrjotów zebrał 80 zuchów uzbrojonych tylko w kosy, piki i kije, i z tą garstką wpadł na jarmark do Trok, wyszedłszy na beczkę, uciął sobie ognistą do ludu mowę, któréj skutek był taki, że co żyło wszystko włościaństwo zatarasowało ulice podnosząc atak na załogę, która takiego strachu nabyła, iż bez wystrzału się oddała na łaskę i niełaskę; dopiero z magazynu zabrał Matuszewicz broń, uzbroił nią lud, a tak powstali wszyscy patrjoci na Litwie, co ożywiło Polskę niemało.

Na wieść: powstała Litwa! zatrzęsła się Moskwa, a ocuciła więcéj Warszawa. Rząd narodowy w War-

szawie nakazuje natychmiast wołać do siebie owych litewskich delegatów. Rozbija się za nimi po Warszawie policja, szuka ich przy legjonie litewskim, tu są zapisani, a ich niema. Gdyby się był kto spodziewał, a zajrzał do pani Hofmanowéj, zobaczyłby był, jak się Litwini przypatrywali rojowi panien i kobiet, magnatek i mieszczanek, które równém prawem powodowane ludzkości, podejmowały prace wskazane im przez wielką mistrzynię. Stowarzyszenie dobroczynno-patrjotyczne liczyło w Warszawie przeszło 400 kobiet, podzielone na 12 sekcyj, a każda sekcja miała opiekunkę nad sobą, która czuwała nad powierzonemi sobie paniami. Statuta wyszły z głowy nieocenionéj patrjotki, pani Hofmanowéj, poddawały się im prawie wszystkie obecne damy z gotowością i dokazywały że się wyrazimy cudów na polu miłosierdzia, równających się cudom odwagi żołnierza polskiego na polu walki przed nieprzyjacielem. — Michaś zagrzany miłością narzeczonéj, chciał koniecznie poznać bliżéj tę wielką matkę, która wychowała tak patrjotyczne pokolenie, jaką była jego Litwinka. Mając po batalji Grochowskiéj nieco wolnego i swobodnego czasu, namówił Leona: Chodźmy do pani Hofmanowéj.

Zdziwiła się Hofmanowa zobaczywszy przedstawiających się jéj Litwinów. Wpatrzyła się nareszcie w oblicze Wołowicza: „Pan dokazał pierwszéj sztuki w odwadze, teraz znowu zapewne drugiéj dokaże.“ — „Zkądże pani ma takie że śmię zapytać wiadomości?“ — „Generalissimus chce pana posłać z uwiadomieniem do Litwy; rozbijają się za nim po Warszawie, a pan tutaj.“ — Wołowicz się zmięszał trochę, co zobaczywszy Hofmanowa, wyrzekła: „Jakaż ciekawość a raczéj interes sprowadziło panów do mnie?“ — „Pani,“ przerwał Leon, „jesteśmy Philareci, a chcemy poznać tę, która nam wychowała narzeczone w cnocie.“ — „Zabawne, panowie śnicie o miłości, a przecież pierwsza miłość należy dzisiaj ojczyźnie, kiedy się ze snu obudziła.“ —

„Tak źle z nami nie jest, pani łaskawa,“ przerwał Wołowicz, „właśnie dla miłości kraju przebyliśmy trudności, a tę odrobinę czasu, co nam dnia dzisiejszego zbyło, chcieliśmy poświęcić na poznanie pani, z przyczyny, bo jaśniejesz tą samą co nasz Zan cnotą.

„Nie podchlebiajcie panowie, są tu większe osoby urodą, mieniem, familją znakomitsze, a wymienić muszę niestrudzoną młodziutką hrabinę panią Bernardową z Działyńskich Potocką, ona jest duszą towarzystwa, a zawstydza nas, że przyjęła na się wzór siostry miłosierdzia, pielęgnując rannych od rana do nocy. Oby wszystkie ją naśladowały Polki i Litwinki, czułabym się wtedy szczęśliwą.“ — „Pani! i u nas w Litwie zatkwiła praca twoja, jabym tu zapewne nie był, gdyby nie rozkaz mojéj narzeczonéj, która jest jéj wychowanką!“ — „Zabawnie, możeby mi pan zechciał wymienić jéj nazwisko?“ zaśmiała się Hofmanowa, „i pan nie wie, gdzie ta Litwinka?“

Wołowicz zrobił wielkie podziwu oczy. — „Gdyby panowie zabawili z godzinę, możebym ją przedstawiła, bo właśnie posłaną jest na Krakowskie po szarpie nam potrzebne.“ — Michaś się zadziwił, chciał coś przemówić, ale przybyło sześć pań do mieszkania Hofmanowéj, pobladłych, zestrachanych. Ona wyrzekła: „Darujcie panowie, czas nagli, wy tymczasem udajcie się natychmiast do naczelnego wodza, bo macie dla Litwy odebrać instrukcje.“

Szli obaj zadumani. Michaś rzekł: „Leonie, chyba siódmy cud świata, że tu przybyła moja narzeczona; gdybym mógł wyśledzić tę istotę raz przed śmiercią, lżéjby mi się na sercu zrobiło. Po co? na co? z kim? są zagadki, których nie rozumiem. Lecz usłuchnijmy Hofmanowéj, musi ona posiadać głęboko rozgałęzione wiadomości, kiedy nam mówiła, że naczelny wódz ma nam dać instrukcje.“ Poszli tedy obaj do naczelnego wodza.

Warszawa oprócz wojska regularnego, miała także

gwardję narodową celem bezpieczeństwa i obrony miasta, utworzoną po części z notablów, czyli mieszczan w liczbie do 8.000, po części zasię z innych mieszkańców a nawet i żydów, mających swój własny oddział, a liczba téj drugiéj gwardji dolatywała do 16.000. Ową gwardją dowodził mąż zasłużony, Antoni hrabia Ostrowski. Mimo energji jenerała, chcącego zaprowadzić subordynację wzorową, przecież nie było podobieństwem, aby utrzymał tak różnego gatunku i wiekiem i wychowaniem i kondycją różniącego się żołnierza, w karbach, aby się nie dopuścił ekscesu. Najwięcéj do tych śmiechów dawał powód oddział żydowski, za którym więcéj chyba pauprów leciało, gdy się wyruszył, niżeli on liczył ludzi.

Właśnie ciągnął ten oddział przez miasto i masa pauprów za nim wyśmiewających się z komendy oficerów. Wołowicz z Przecławskim nadchodzą na ten zgiełk, stanął oddział, oficer płata szablą po karkach owych pauprów, wołając: Nie bój się pani! — Michaś zmięszał się, widząc zapłomienioną panienkę niosącą szarpie w dużém zawiniątku papierzaném, a za nią jakiś człowiek niosący duży worek, w którym paupry porobiły z despetu dziury, że się szarpie sypały. Starowina się ogania, klnie nareszcie na zgraję, panienka się obziera, woła na oficera, a ten idąc w pomoc, smaga despetników. — Wołowicz poznał rybaka z Merecza i idącą swoją narzeczoną, porwał za rękę Leona, który się nieco zagapił, wpatrując się w żydowski legjon, którego świat podobno nie widział od czasu zburzenia Jerozolimy.

„Leoś, moja Litwinka!“ Skoczyli obaj poznawszy panienkę. — „Dla Boga, co tu pani robi sama?“ — Zmięszała się nieco, nareszcie wskazując na rybaka, rzekła: „Mój stróż anioł, nie pozwoli zrobić krzywdy.“ — Michaś zadziwił się okropnie, z jednéj strony był kontent, z drugiéj znowu jakaś opanowała go tęsknota. „Dokąd idziesz Lidziu bez ojca i mamy?“ — „Tys

moim ojcem, matką Michale i wszystkiém od chwili, kiedyś wykonał moje życzenia!“ — „Wiem, moja droga! lecz powiedz, jakim dostałaś się tutaj sposobem, od czasu jakeśmy się skinieniem chusteczki nad Niemnem pożegnali.“ — „Długa historja mój drogi, opowiem ci później, chorzy na szarpie czekają, dziś możemy się zobaczyć późnym wieczorem u pani Hofmanowéj, proszę bądźcie łaskawi panowie a przybądźcie, bo mnie wasz widok interesuje.“

Litwinka poszła w swoją stronę, Michał zasię z Leonem do jenerała w celu odebrania instrukcyj. W saméj istocie, co im oznajmiła pani Hofmanowa, sprawdziło się. Rząd narodowy po odebraniu z Litwy wiadomości o ruchach narodowych, dał Litwinom przez ich posłów Wołowicza i Przecławskiego następującą instrukcję:

Oświadczcie ustnie mężom zaufania, że w celu wsparcia powstania na Litwie, przybędą dwa angielskie okręta do portu Polangi naładowane amunicją, bronią i tamże zatkną kotwicę. Obydwa okręty wywieszą niebiesko-żółtą flagę we dnie, a jako odpowiedź porozumienia się ze strony patrjotów wywieszona być ma biało-czerwona chorągiew. W nocy zasię będzie na okrętach tego samego koloru co wyż powiedziano na maszcie wywieszona latarnia, a Polacy puszczą tylko do góry rakietę.

Wołowicz z Przecławskim wysłuchali tego rozkazu i odeszli z mieszkania naczelnego wodza.

XIV.

Odgadnięcie przyszłości należało zawsze u wszystkich narodów do najciekawszych zagadek. Grecy nazywali trudniące się osoby tém odgadywaniem Sybillami. Takich sybill bywało niemal w każdym narodzie i wieku niemało. Sławny pisarz Marek Warro opisuje do Cezara Juljusza 10 sybill istniejących na ziemi, które opie-

wały przyjście Zbawiciela świata, a były niemi same niewiasty czystych obyczajów, cnotliwe panny. I tak wymienia sybillę perską 1246 lat przed narodzeniem Chrystusa żyjącą, Sybillę Libijską żyjącą w Afryce równocześnie z perską, Sybillę Delficką, która żyła przed trojańską wojną i inne, a wszystkie te prorokinie poganki napełnione duchem wieszczym, opowiadały światu przyjście Zbawiciela. —

Otóż i w dzisiejszych czasach ta wiara w proroctwa nie ustaje. Niema narodu, gdzieby się nie znajdywały osoby patrzące w przyszłość mocą umysłu, mocą wiary, mocą natchnienia, a nawet wpadając w ostateczność mocą szarlatanerji oszustwa. — I Warszawa nie była wolną od Sybill; równie jak cała Polska, miała ona tak prawdziwe Sybille, jakoliteż oszustki kabalarki; a że się im sprawdziły przypadkowe ich przepowiednie, zasłynęły między ludem z cudowności.

W naszéj Polsce płatają się wędrujące Cygany, a niemal wszystkie cyganki trudnią się kabalarstwem. Lubo nie przypuszczamy, aby prosta nieoświecona cyganka mogła odgadywać przyszłość życia i z nim połączone przygody, bo jéj nieznajome stosunki wyższego towarzystwa, a mniéj oświecone nie troszczą się zupełnie o jutro; — przecież zdarzają się wypadki, że cyganki kabalarki przepowiedziały niejednemu szczęście lub nieszczęście, a ziściła się przepowiednia do joty. Nie zastanowimy się na tém miejscu nad przyczyna prorokarstwa, badanie podobne należy do innéj gałęzi umiejętności, a nie do powieściopisarstwa, mówię tylko epizodycznie, że czém ludzie bliżéj żyją z naturą, tém snadniéj odgadują naturalne skutki i przyczyny, czego świadectwem są dzicy ludzie, do których zawsze i cyganów zaliczamy, albowiem lubo się o świat cywilizowany ocierają, przecież zawsze żyją wolno, zbliżając się do praw natury pierwotnego człowieka. — Cyganka wróżyła Napoleonowi upadek, cyganka księciu Ponia-

towskiemu śmierć od sroki; cyganka wróżyła też niejednemu Polusowi przed i w samą rewolucją 30 roku.

Zjawiła się taka cyganka na Krakowskiém przedmieściu w Warszawie. Każdy zaciągnięty do szeregów narodowych, jak tylko zawitał w progi stolicy a dopadł czasu, leciał na wyścigi i szukał wróżki cyganki, by mu coś o przyszłości powiedziała. Stara cyganka pozierała tylko na rękę, rachowała kreski i pletła o przyszłości smalone duby; mało który nie zostawał w niebezpieczeństwie, każdy wychodził zwycięzko z rangą i fortuną. — Przecławski dowiedział się był także od młodzieży że bawi tutaj cyganka wróżka, która niejednemu przepowiadała wawrzyny wojenne, i wielu ich się wkrótce w batalji Ostrołęckiéj doczekało. „Wiesz co,“ rzekł do koleżki, „pierwsze niebezpieczeństwo przebyliśmy śmiało, dziś nam nakazują, abyśmy nazad wrócili do Litwy z donosem tak ważnéj dla naszego kraju pomocy.“ — „No i cóż chcesz tém powiedzieć?“ rzekł Wołowicz zachmurzony, „pójdziemy i basta, nie podlega żadnéj wątpliwości.“

„I nie zatrzymasz się Michasiu, abyś przynajmniéj pożegnał się z narzeczoną?“ — „I tego sobie odmówię mój kochany.“ — „Ale wiesz co, przyszłość podróży i losu naszego zamglona, nie zaszkodzi, abyśmy przedarli się przez tę niepewności pomrokę, dopomoże nam zasię wróżka.“ — „Co? czyś fanatyk? przyszłość moja w ręku Boga a nie w ręku cyganki, nie pleć!“ — „Kiedy ona wielom przepowiedziała.“ — „Banialuki? założyłbym się, że mówi tylko ogólnikami, a te można sobie tłumaczyć na tę i ową stronę, alboś się nie uczył sentencji rzymskich kabalarzy: *Ibis redibis non morieris in bello.*“ — „Ej Michasiu, prawda że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła, ale cóż nam szkodzi, przecie nam się za to nic nie stanie.“ — „Mniejsza, idź sam, tymczasem skorzystam z czasu, pomówię z Litwinką, ale dzisiaj niech pożegnamy Warszawę.“ —

Przecławski pobiegł tedy za cyganką, Wołowicz za Litwinką.

W brudnéj izbinie Krakowskiego przedmieścia mieściła się osławiona kabalarka; byłać to już wiekowa sucha kobieta, przyodziana w białą płachtę, mając czarną chustkę zawiązaną na głowie, żylaste pokazując ręce i wzrok ponury, przenikliwy. Za to otoczenie jéj składało się z młodych osóbek płci pięknéj, szczerzących białe ząbki do przychodniów, a rozumiejących mowę ócz doskonale. Żaden też gość nie wszedł wprost do mieszkania cyganki, nie zapytawszy się tych brunatnych Nymf: Tu mieszka kabalarka? albowiem się zawsze kręciły i wierciły, to poprzed domek, to w sieni, czekając na przychodniów i pytając się, w jakim przychodzą interesie. Przecławski prowadzony przez towarzysza broni z legjonu litewskiego, przybył także na próg domku kabalarki, kiedy mu z niechcenia zastąpiła drogę hoża i bardzo ładna dziewczyna; krucze kędziory spadały jéj po śniadém ramieniu, wielkie czarne iskrzące oczy błyszczały powabem, a uśmiechające się usta z białemi jak alabaster ząbkami poufałość znamionowały. — „Czyśmy trafili do kabalarki?“ zapytał Przecławski. — „Tak jest panowie, ale teraz wnijść nie możecie, bo tam wysoka znajduje się osoba; proszę tymczasem do małéj mojéj izdebki, dopóki gość nie wyjdzie.“

Przyjęli jéj propozycję, weszli do izbiny niskiéj o jedném okienku na podwórze prowadzącém; tam był stoliczek mały, na nim kilka talij kart, niskie w kącie łóżeczko grubym nakryte wełnianym kocem, i nic więcéj. — „Czy sama tutaj mieszkasz?“ — „Nie, jest nas troje, mój luby, ja i nasze dziecię.“ — „Co, ty zamężna?“ — „Tak.“ — „I taka młoda?“ — „Nic nie szkodzi.“ — „Gdzież twój mąż?“ — „Poszedł w dalekie strony, wziąwszy dziecię na plecy.“ — „I tyś pozwoliła?“ — „Cóż robić? dla Polski poświęcam wszystko.“

— „Cóż ciebie jako cygankę Polska obchodzi?“ — „Daje mi przytułek i życie, tum się rodziła, tu umrę i moje dzieci“ odpowiedziała cyganka. — „Ciekawy jestem, gdzie poszedł, powiedz mi, jestem Litwinem, a możesz mi zawierzyć.“ — „Panie! byli tutaj tacy, którzy się przysięgali na Obraz Boga rodzicy, a przecie wiem, że trzymają z Moskalami, wyłożyłam karty i przekonałam ich, że tak.“ — „Czy także umiesz wróżyć?“ — „Tak samo jak moja matka.“ — „No, więc wróż mi moją przyszłość.“

Cyganka wzięła jednę talję kart, potasowała, kazała zebrać Przecławskiemu 3 razy, położyła po 7 w trzy rzędy i patrzyła się raz na karty, drugi raz na gościa, i uśmiechała: „Pana szuka młodziutka osoba, chcąc mu ofiarować swoje serce; lecz znaczy mu się droga, na której kapłan z nieszczęścia go wyratuje.“ — „Temu moja Jmość nie daję wiary, najprzód, że nie przywięzuję do kobiety żadnego szczęścia na świecie, a powtóre żenić się ani kochać nie myślę, mając zupełnie inne zamiary. Co się tyczy podróży, ta mi się wprawdzie znaczy, ale wolę wybierać kulę, niżeli pomoc obcą, albo jak mówisz jakiego popa, którego z gruntu nienawidzę.“ — „A jakbym też więcej powiedziała?“ — „Nie zabraniam, mów, co ci się podoba!“ — „Nie zajdziesz do Litwy, bo Moskale już wiedzą o twojej misji.“

Przecławski spojrzał się na cygankę: „czy istotnie?“ — „Tak się znaczy, więcej zdrajców i szpiegów niżelibyście się byli spodziewali!“ To wymówiwszy, wskazała palcem na ścianę przyległej izdebki, kędy stara cyganka z nieznajomym wielkim gościem cichutko siedzieli. Przecławski zmiarkował tę mimikę, i rzekł do towarzysza: „Wiesz co mój Wacławie, idź natychmiast do pani Hofmanowej, tam oświadcz Wołowiczowi, aby natychmiast przybywał tutaj. Nie odstępuj go ani na krok, rozumiesz? A gdyby się chciał coś wywiady-

wać, bez ogródki powiedz: Wzywam cię w imieniu Litwy, i koniec."

Wacław pobiegł, zastał wprawdzie Hofmanową, ale Wołowicza nie. „Od onegdajszéj chwili, nie widziałam tych dwóch Litwinów," odrzekła z podziwieniem, „wiem, że ich wódz naczelny posłał na powrót do Litwy z poleceniem; ażeby się jeszcze w Warszawie plątali, nie rozumiem." — Przybiegł tedy Wacław do mieszkania cyganki i oświadczył: „Michała niema, a o Litwince także nie wie Hofmanowa, bo zniknęła, nie wiedzieć, dokąd i na co; czy z kochankiem uleciała, Bóg raczy wiedzieć." — Młoda cyganka patrzyła się tylko na Leona przenikliwie; zaczęło się ropotanie stołkami u staréj cyganki, a więc teraz rzekła im młoda: „Możecie pójść panowie."

Leon wybiegł prędko, chciał widzieć gościa bawiącego u kabalarki; ale ten zatulony w płaszczu, ledwie mu było widać nos, czapa zakrywała zupełnie czoło i biegł szybkim krokiem. Leon pędzi za nim krok w krok gęsiego. Z początku nie obzierał się nieznajomy, w samém mieście podniósł przecie głowę do góry. Leon kuknął: „Aha, tyś to? i śledził za nim do samego mieszkania. Wraca potém nazad do cyganki.

Stara cyganica siedzi przy Wacławie, młoda także wpatrując się w jego oblicze. Leon zmiarkował, że coś ważnego mówili z sobą, bo naraz zamilkli, jakby makiem zasiał, a oczy latające, niespokój znamionowały. — „Zkądżeś pan?" zapytała cyganka Leona. — „Jestem i zostanę zawsze Litwinem." — „Pan masz misję do ojczyzny od naczelnego wodza." — „Zkądże wiesz wróżko?" — „Jakażbym była wróżka, gdybym tego nie wiedziała!" — „Czy myślisz, że zajdę szczęśliwie?" — „Wątpię," odpowiedziała stara kabalarka. — „I cóż mi na przeszkodzie?" — „Podaj pan rękę, powiem."

Długo wpatrywała się stara cyganka w rękę Leona, nareszcie rzekła: „Lubisz modlitwę?" — Leon się

uśmiechnął. — „Wiedz, że ona cię zdradzi, lecz módl się szczerze, ona ci poradzi.“ — „Nie na wykręty kabalarko! powiedz mi otwarcie, kto był u ciebie przed chwilą, bo inaczéj nie ujdzie ci bezkarnie!“

Cyganka się zatrwożyła, ton ostry Leona zelektryzował kobietę, przypatrzyła się ponuro i po cygańsku przemówiła parę słów do córki. Nareszcie rzekła: „Do mnie przychodzą różni ludzie, wielcy i mali, panowie, szlachta i generałowie, a mówię im bez ogródki. Nawet był u mnie pan Sowiński a on ma wielkie znaczenie, nie chciał wierzyć mowie mojéj, a ona się potrosze już sprawdziła; mamy wojnę, szkoda go, on zginie w batalji. Dziś zasię widziałeś pan Jankowskiego, powiedziałam mu prawdę, odszedł niezadowolony, a powtórzę panu, com powiedziała: Poniżasz braci, będziesz wywyższony, dotykniesz nieba, lecz będziesz stracony...“

„Pleciesz samemi ogólnikami kobieto, z twego postępowania widzę, że na dwóch stołkach siedzisz, służąc Bogu i mamonie, czyli po naszemu, Polsce i Moskwie, wysłałaś zięcia w misji, masz mi powiedzieć, dokąd i po co, inaczéj... ty już rozumiesz, co znaczy!“ — „Ani pana ani jego groźby się nie boję. Nie tyle mi Jankowski naobiecywał, abym interes jego popierała; popieram go zasię w sposób, że wnet zakosztuje ciemnicy, bo mu się światło sprzykrzyło. Rozumie pan?... A teraz oświadczam panu, idź, dokąd cię wysłannictwo przeznaczyło i pamiętaj mowę moją.“ To rzekłszy, podniosła się cyganka, wzięła za rękę młodą i obie wyszły zostawiając gości samotnych.

„Cóż na to Wacławie?“ — „Nie rozumiem, co baba plecie.“ — „Ale ja ją rozumiem mój kochany, namnożyło się w Warszawie zdrajców, to cała historja. Nie mam czasu konferowania z patrjotami, tylko kładę na cię obowiązek, opowiedz Sowińskiemu i Ostrowskiemu, cośmy słyszeli: niech śledzą za Jankowskim i jego towarzyszami; ja tymczasem poszukam kolegi, gdzie

on po darmo płuży.“ — „A jakże, czy cygankę zostawimy bez wynagrodzenia?“ — „Słusznie masz, staréj nie dajmy nic, ale młoda warta pochwały, że nam sekret wyjawiła, mąż jej szpiegiem za pieniądze i temu i temu służy, ale ona warta pochwały, jéj imię zawsze nam będzie święte.“

Leon wyjął parę dukatów, wbiegł do izdebki cyganki i wsuwa jéj do ręki. Cyganka się uśmiechnęła: „Przydadzą się panu na drogę!“ — Ta grzeczność jeszcze więcéj zainteresowała Leona. „Musisz przyjąć ty poczciwa!“ — „Philaretka nie może, a wiem żeś Philaretem. Nie myśl, aby w duszy cyganki nie mieszkała poczciwości cnota, tyś Litwin i ja Litwinka“ — „Co tu robisz?“ — „To samo co i ty, a daléj nie pytaj; oświadcz jednak Wołowiczowi, że się nie zobaczy z swoją narzeczoną aż po skończonéj misji, albowiem mąż mój jest jéj towarzyszem, a ona przybrawszy imię moje, zdąży zapewnie na miejsce przeznaczenia“.

Leonowi wszystkie mrówki przeszły po głowie. Co począć? czy badać daléj cygankę, czyli nie? bo mu się zdawało, że ona więcéj wie, niżeli jemu powierzono tajemnic narodowych. Kiedy tak, zapytuje nareszcie cyganki: „Powiedz mi, czy umyślnie przyszedłem do ciebie, czyli przypadkowo?“ — „Śmieszna naiwność. Od czasu waszego przybycia jesteście pod dozorem, liczą wasze kroki, cedzą mowę, nawet i kabalarki przepowiednie były wam umyślnie podsunięte dla zaostrzenia fantazji. Ale jeżeli nieprzyjaciele nasi mają tysiąc wybiegów wyśledzenia kroków spiskowców, to my mamy 10 razy tyle uczciwych, którzy nas ostrzegają o niebezpieczeństwie; a pan Wacław zaświadczy, żeśmy go wybrały na plenarném posiedzeniu naszém, celem wyśledzenia kroków waszych, i po przekonaniu się rzeczywistém, że jesteście Philaretami wprowadził pana do tego domu, byśmy go ostrzegły o grożącém niebezpieczeństwie.“

„Co nam zagraża?“ — „Wszystko i nic. Więcéj nie możecie utracić nad życie, ale sprawa narodowa może zyskać z waszéj przytomności bardzo wiele. Polska potrzebuje koniecznéj pomocy Litwy, uznali to biegli strategicy, powstanie narodowe ma jedynego sprzymierzeńca Litwę, misja tedy wasza ogromnéj doniosłości, a paraliżują takową ci, co na sterze stoją Rządu.“ — „Niepodobieństwem.“ — „Tak a nieinaczéj. Z ust Jankowskiego wiem, że Chłopicki zamiast odwagi odwołuje się do wspaniałomyślności Cara. Skrzynecki nieczynny, bo mu zatkali zausznicy nadziejami usta, a reszta jawnie z wrogiem konszachtuje. Lecz dosyć, pan niech natychmiast jedzie, już wóz dla niego gotowy, Jeżeli się przedrzecie przez Augustowskie, nie zgasła nadzieja, jeżeli zasię nieprzyjaciel już o waszéj misji uwiadomiony, natenczas wszelkie spóźnienie zgotuje nam zgubę.“

„Niechże mi też przynajmniéj powie pani godne swoje imię, którebym wiecznie chciał zachować w pamięci.“ — „Będzie panie Leonie na wszystko czas, zresztą jeżeli panu na mojém imieniu zależy, oświadczam otwarcie: córka rybaka.“ — Leon się przypatrzył cygance, która z uśmiechniętą miną pobiegła do przyległéj izdebki; a po małéj chwili zobaczył Leon Litwinkę narzeczoną przyjaciela Wołowicza. — „W imię Ojca,“ żegna się Leon, „czy pani z nieba spadła, czy się przemieniła, czy była cyganką lub cyganka ją przyprowadziła!“ — „Niema czasu do stracenia panie Leonie, czas nagli, jedź pan natychmiast, bo fiaker już czeka.“

„Ależ pani, gdzież Michał, czyście mówili z sobą? same dla mnie niespodzianki... niby kabalarki, niby cyganki, a tu coś rozjaśnia mi się przed oczyma, coś nowego, czego zupełnie nierozumiem.“ — „Panie Leonie misja... rozkaz... i nic więcéj.“ — „Teraz już rozumiem,“ i ucałował rękę Litwinki żegnając się czule. — „Do widzenia panie Leonie, nie zapominaj tylko wróżby.“

Leon wybiegł z domku kabalarki, tuż stał fiakier wołający: „wsiadaj pan, wsiadaj, byśmy się nie spóźnili.“ — I ta mowa była zagadkową dla Leona; pomyślał sobie: i ten widzę wtajemniczony; zapytuje tedy: „Dokąd mnie wieziesz?“ — „Pan nie wie?“ — „W samėj istocie.“ — „Więc się pan dowiesz.“ — „Ale mam moje rzeczy, tych za żadne pieniądze nie zostawię w Warszawie.“ — „Wiem, masz pan pistolety, szable, te zabierze pan Wołowicz; nie bój się, nie zginie panu nic na makowe ziarno.“ — Fiakier podcinał konie i zawiózł pana brata do samego Prasznica. Działo się akuratnie 7. kwietnia wspomnionego roku.

Przecławski się zdziwił, że o tyle mil za Warszawą znajdzie kolegę swojego w mieście, kędy go mnóstwo patrjotów odprowadziło. Zobaczywszy Wołowicza, zapytał zdziwiony: „A czyż naśladujemy Robinzona do biesa, że się tak na migi zjeżdżamy? niby to robimy sekret z naszėj misji, a o niėj wiedzą widzę nietylko Warszawianie, ale nawet wróble na dachu!“ — „Przyjacielu! nie mogłem się doczekać na ciebie, pospieszyłem sam w misji; żeś przydążył do spółki, tėm lepiėj, ale powiedz mi, gdzie tak długo bawiłeś?“ — „Wszakże ci wiadomėm.“ — „Mówiłeś, że się udasz do kabalarki, ja szukałem wiatru po świecie, nie znalazłem mego serca, więc zadysponowałem podwodę, która mnie tu odwiozła.“ — „I nie widziałeś Lidy?“ — „Broń Boże; szukałem tu i owdzie, tu była, tu jėj niemasz; naturalnie w obowiązkach wielkiego posłannictwa, nie wiele myśląc, zabrałem moje manatki i wyjechałem.“ — „A moich nie wziąłeś?“ — „Ani mi się śniło, dopytywałem się wprawdzie, lecz mi oznajmiono, iż kazałeś takowe przesłać w naznaczone miejsce.“ — „Wiesz ty, że Litwinka śledziła nasze kroki, i ją poznałem u kabalarki przebraną za cygankę.“ — „Pleciesz niestworzone rzeczy.“

„Bez żartu, podobnobyśmy się byli już rozstali,

gdyby nie ona, zreszta są jéj słowa: Idźcie natychmiast do Litwy, bo od rychlejszego powstania jéj zależy przyszłość Polski. Polacy już nie mogą rachować na żadną obcą pomoc, oprócz Litwy, a nawet we własném łonie wyrodziły się dziwolągi, niewierzący w świętość sprawy, a do nich należy sam Chłopicki i inni wodzowie.“ — „Znowu klin! Tyle mnie Leonie nie zatrważa jéj manewr, że óbiera różne metamorfozy moja narzeczona, ile nowina, że w narodzie rozdwojenie i zdradzona misja nasza! Cóż czynić? A tém jeszcze więcéj, gdzie twoje rzeczy bez wiedzy się podziały? zapytajno się woźnicy, on widzę podejrzanym, nie wygląda zupełnie na woźnicę.“

Leon pobiegł do wózka, dorożkarz ośmiał się na zapytanie: czy nie masz moich rzeczy, i dodał surowo: „Nie troszcz się pan, my się więcéj o was troszczymy, wszystkie pańskie rzeczy w walizie, natychmiast opuszczajcie to miasteczko, bo wam grozi niebezpieczeństwo“ — „Kto jesteś poczciwcze?“ — „Na nic się panu ta wiadomość nie przyda, wypadało mi wczoraj być cyganem, byłem nim; dziś jestem dorożkarzem, a za godzinę będę znowu czém inném, rozumiesz?“ — „Więc musisz znać się z Litwinką?“ — „Niestosowne dla mnie zapytanie. Ten, co się z nią zna, już jest tutaj i ma przeznaczenie równe z panem, abyście się przedarli przez Augustowskie koło granicy pruskiéj i dali znać Litwinom, czego żąda od nich Polska.“

W téj chwili przybliża się Michał i woła: „Leonie, uciekaj, policja.“ — Leon zeskoczył z dorożki, dorożkarz także. Leon z Michałem palnęli w jedną stronę, a dorożkarz w drugą. Przyjaciele zasię i znajomi, którzy odprowadzali byli misjonarzy litewskich z Warszawy do tego miejsca, wynosili się pojedyńczo, aby nie wpadli w podejrzenie, bo właśnie nadeszły eskorty moskiewskich kozaków, wąchających za spiskowcami i przypatrujących się każdemu w oczy.

XV.

Rybak z Merecza przeszedł był Niemen z Litwinką, jako przybraną córką, szczęśliwiej niżeli bohaterski Wołowicz; bo przepłynał na czółnie, choć potém musiał się na chwilę tułać w Augustowskiém, nim się dostał do Warszawy. Około Adamowic niestety napotkali Moskali. O parę set kroków jechali kozacy. Litwinka szepnęła: „Zginęliśmy.“ — „Nie, moje dziecko, bierz kij do ręki, i prowadź mnie ciemnego żebraka, ja pójdę za tobą, gdyby cię się spytali, zkąd? powiedz bez ogródki: wybraliśmy się na odpust do Augustowa, ja córka prowadzę ciemnego ojca, który przy wojsku służył i utracił wzrok, francuskie kartacze mu twarz poszarpały.“ — Litwinka prowadziła tedy starego niby ojca, który utykał po drodze; a ona mu ciągle gadała: tu błoto, tu rowek, tu idą ludzie. — Kozacy pędzą, dziady usunęły się z drogi, a ciemny zaczyna prośbę po rusku: Zmiłujcie się panowie, obdarzcie ciemnego wojaka nieszczęśliwego jałmużną. — Wachmistrz przybliżył się z koniem i pyta: Jak się nazywasz? — Iwan Hryńko. — Zkąd rodem? — Z Adamowic. — Przy jakiém służyłeś wojsku? — Przy Pawłowskim Jego Imperatorskiéj Mości, pod Smoleńskiem utraciłem wzrok od kartaczów francuskich. — Wyjął Moskal z kieszeni parę kopejek i dał żebrakowi; wszyscy też żołnierze na rozkaz przełożonego podali mu po kilka kopejek i pojechali daléj, — a dziady szły sobie spokojnie, lustrując każdy zakątek, co się w nim porusza, czyli wojsko narodowe czy też Moskale. Od téj chwili zasmakowawszy w torbie żebraczéj, udawali dziadów i dosyć pomyślnie, i tak szli sobie wesoło i śmiało ku Łomży. Tu po wielu nocach znaleźli nocleg bezpieczny w małéj pod lasem chacie. Dwie tylko kobiety, jedna już wiekowa staruszka, a druga młoda wieśniaczka krzątały się w domu zajęte robotą, kiedy wprowadziła młoda

dziewczyna starego ciemnego: „Proszę o nocleg,“ rzekła uprzejmie do wieśniaczki, „ojciec ciemny, kaleka, dalėj iść nie może.“

„Zkądżeście?“ — „Od Knyszyna.“ — „Daleko idziecie?“ — „Do Łomży, a potém na cudowne miejsce na Bielany za Warszawę.“ — „Cóżeście tam widzieli koło Knyszyna?“ — „A cóżby, wszędzie stara bieda,“ — „I więcéj nic?“ — „A cóżby ciemny widział?“ odezwał się żebrak. — „Ale wasza córka nie widziała tam Moskali?“ — Córka wyjęknęła: „tam dalėj to są, ale tuśmy się nie spotkali z niemi.“ — „Ej nieprawdę mówisz, albo widać ztamtąd nie idziesz, bo pod Knyszynem i Tykocinem stoi ich jak mrowia, a dziś przyszli także do Łomży.“ — „To źle moja matko,“ rzekł ciemny. — „Aj źle, to źle, Boże zmiłuj się nad nami, co będzie dalėj!“ — „Wszystko będzie dobrze, moja kobieto, tylko prośmy Boga o przemienienie.“ — „Ledwie jedno Bóg przemienił,“ odrzekła z westchnieniem kobieta, „najedliśmy się strachu, ale teraz za trudno żądać cudów.“ — „I czegóżeście się przelękły?“

„Bo tak Bóg nieraz nawiedzi człowieka cudzém nieszczęściem; ani nam się śniło, przybyła do nas jakaś włóka. Przeczuwałam, mówiłam do syna: nie nocuj, nie trzymaj obieżyświatów w domu. Gdzie tam, on zapalony za Polską, nie słuchał; aż tu puka do okna w nocy. Obudziłam się, patrzę do okna, tu mi się zaświeciły bagnety, aż ścierpłam. Zesunęłam się z łóżka, obudziłam zięcia, on ocucił zasię Litwaka. Szepcemy: co robić? skryć się nie podobna, udajmy tedy, że mocno śpiemy, a Litwinie zbieraj się, zaprowadzę cię do stajni, gdzie stoi koń twój. Usłuchnał mnie, powoli wlazłam do sieni, otworzyłam drzwi do stajni, nie zgrzypły, bom je we dnie jeszcze była podlała smalcem, aby chodziły lekko, wbiegłam nazad do izby, idę ku oknu i pytam: kto tam puka? — Otwórz! odzywa się głos. — Nie otworzę, bo nie wiem kto taki, czy nie jakie złodzieje?

— Wybijemy okno! — Trudna rada, mielibyście okno wybijać! wyszłam, otwieram drzwi do sieni, stoi 5 żołnierzy. Co panowie chcecie? — Nie pytaj, co my chcemy, tylko zaświeć. — Skrzesałam ognia, zapaliłam szczypków parę, oni weszli do izby, ja budzę zięcia, córkę i dzieci, ci wycieraja oczy, jakby się im o niczém nie śniło. Pytają tedy żołnierze: gdzie ów zbieg, którego trzymacie dzień trzeci u siebie? — W imię ojca, przeżegnałam się, do nas nie zawita chyba dziad jaki po jałmużnę, a ktoby nas nawiedzał, to dziki, lisy po kury i wilki, a więcéj nikt. — Nie wymawiaj się kobieto, tylko powiedz otwarcie, kto u ciebie jest. — Jeżeli mi panowie nie wierzycie, szukajcie nawet w komorze. — Otwieraj!

Kobieta szuka klucza, nie może znaleść, krzyczy na synową; kędyś klucz zaroniła? Ona się tłumaczy: nie byłam przez tydzień w kumorze od czasu, jakeśmy zabili wieprza i pochowali słoninę. — Żołnierze nalegają, a tu klucza niema. Jeszcze większe padło na nią podejrzenie, obziera wszystkie graty i ręce się zatrzęsły staruszce. Moskale mruczą sobie pod nosem: nie ucieknie nam. — Nareszcie odemknęła kobieta komorę, w któréj zupełna panowała ciemnota; grat stał przy gracie, tu jakaś przykryta beczka, znowu skrzynia, w kącie kupa rupieci i starych łachów. Trzęsą, odmykają, patrzą, niema żywéj duszy, nawet śladu o myszach, bo wielkie paście rozstawione w trzech miejscach stały na straży téj niepotrzebnéj gawiedzi, wabiąc na ponętę i skracając im życie. Zdziwieni pytają nalegając: Nie sposób aby zniknął ten człowiek, któregoś przecie trzy dni przetrzymywała, albowiem od wczoraj wieczór nikt nie wyszedł z twego domu. — Co mówicie, co? chyba wam ludzie nabajali niestworzone rzeczy.

Okuto kobietę, synowi związali w tył za plecyma ręce, niewiasta młoda płacze nad maleńkiém, bo się jéj przebudziło w kołysce. — Mów, gdzie masz schowa-

nego szpiega! nalegają, nareszcie posypały się na ich plecy nahajki. — Krew ciekła z bioder biednéj staruszki, syn przewracał do nieba oczy, bo go zaczęto męczyć okropnie. — W takim krzyku i zamęcie wpada z szablą w ręku tęgi mężczyzna, płatnął jednego żołdaka, w sekundzie drugiego, rąbie a rąbie; jeden ledwie wybił z przestrachu okno i ucieka, za nim drugi i trzeci, a dwóch leży bez rąk na ziemi. Na dworze staje się wrzawa, ino świszczą mieczowe cięcia. — Wy łotry, krzyczą otwarcie, napastujecie niewinnych ludzi. — Moskale się poddali: powiązali ich i poprowadzili do lasu.

„Od tego czasu nie wiem, co się z' niemi stało, ani też widziałam tego zucha Litwina, co jechał z pachołkami do Polski na wyścigi. Był to strach nad strachy, gorszy od śmierci, Boże mnie zachowaj od podobnéj sceny. Dlatego odrzekłam się: Nie będę nocowała już póki życia mego nikogo!“ — „Poczciwa staruszko,“ rzekł żebrak, „dam ci niemało pieniędzy, wartasz, boś ocaliła mego syna!“ — „Jak to? nie może być, on panicz, jego pachołki opowiadali nam o wielkim majątku na Litwie, on się miał żenić, porzucił weselisko, bo mu pilniejsza żołnierka, a wy ciemny żebrak?“ — Rybak wstał, nachylił się do ócz gosposi: „przypatrz się na moje oczy, czym ślepy? A na moją dziewuchę popatrz się, niech ci odsłoni swoją szyję, czy ona prosta chłopka? Takich ludzi, jak ty wynagrodzimy sowicie, nie bój się, ani lękaj.“

„Tak, o rany! to pan jego ojciec? i wy się panoszku smyczycie za Polakami? Oni biją Moskali na kapustę, a mój syn jak może, to im pomaga.“ — „Ciekawym?“ — „Ledwie dziś przylazł, popłuży ku Knyszynowi, aby się dowiedział, jak wielka siła ich tam stoi, porachuje armaty, i pocwałuje ku Ostrołęce do swoich, będą mu radzi.“ — „Tak to? chwalebnie, powiedz mi tylko, powtarzam, jakim sposobem dostał się Michał

Wołowicz do ciebie?“ — „Jużciśby sam nie trafił, ale mój syn kręci się wszędzie i poznaje po oczach, kto co wart. Biegł sobie z Augustowa, koło Burzyna napotkał pięciu ludzi, którzy przez pola na koniach jechali. Swój zawsze swego znajdzie; przymówił się do nich: Gdzie wy jedziecie? wpadniecie Moskalom do gardła, bo tu stoją. Oni się go pytają: którędyż ucieekniemy przed nimi. Szepnął im: za mną! i przyprowadził w nocy do domu. Panicz z koniem stał w mojéj stajni, reszta zaś po sąsiadach; tak przez 3 dni stała wiara, bo Moskwa kręciła się i szpiegowała. Nieszczęście chciało, dojrzał żyd ładnego w mojéj stajni konia, bo był przyszedł na kupno cielęcia, a moja synowa zagapiła się, że go do stajni zaprowadziła; tak téj saméj nocy przyszło 5 Moskali, by porwali ofiarę. Inaczéj się jednak stało, pan Michał poprowadził Moskali do lasu, do dziś dnia o nich nie wiem, bo ani ci, ani owi nie wrócili.“

Litwinka wyjęła parę dukatów i wsunęła do ręki kobiecie, która się z radości rozpłakała. „Wiesz co staruszko, potrzeba nam twego syna, aby nas daléj przeprowadził, gdzież on jest?“ — „Zaczekajcie na chwilę, popłużył do Łomży.“ — „Czy go nie złapią Moskale?“ — „Wyście przemądrzy, żeście udawali ciemnego, on was przeszedł w wybiegu, bo o szczudle chodzi.“ — „Taki filut!“ — „Nawet nosi długą brodę, a umie tyle pieśni śpiewać, że mu sami Moskale dają jałmużnę. Zpod Knyszyna przyniósł do 50 rubli i śmiał się.“ — Ta pogadanka załagodziła zły humor kobiety, wyrzekła tedy: „zanocujcież, ale ostrożnie.“

Wieczór późno przybył tęgi mężczyzna do chaty, rzekąc na wstępie: „Matko! tylko na chwilę zabawię, muszę iść na całą noc, nic nie pomoże; Moskwy się wali, ani rady, aby wiedzieli nasi, co się święci!“ — „Zaczekajno troszkę, mamy gości, rozumiesz?“ — „Jakimże sposobem do nas się dostali, kiedy więcéj s[illegible]

gów niżeli w beczce śledzi.“ — „Zacny Izydorku,“ odezwał się rybak, „jestem ci wdzięczny za Michasia, powiedz mi tylko, czy on już w Warszawie?“ — Ta mowa zelektryzowała Izydora, przetarł oczy, poprawił światełka, przypatrzył się siwoszowi: „Ejże, niech z Bogiem spoczywają nieprzyjaciele nasi, ale się podobno nie najem więcéj w życiu strachu co z nim; do saméj zaprowadziłem go Warszawy.“ — „A więc kiedyś zaprowadził syna, zaprowadź proszę cię ojca i córkę.“ — „Za żadne dzisiaj pieniądze; Moskwy wszędzie jak śmieci.“ — „A tobie nic nie mówią?“ — „Mam sposób!“ — „Wiem, że udajesz dziada, a ja go udać lepiéj mogę.“ — „W jaki sposób?“ — „Udaję ciemnego, a córka mnie prowadzi.“ — „Za śmiała historja, ona młoda, gotowe się na nią rzucić żołdactwo; Moskal nie pyta, zatém niech ona u mnie zostanie, matka moja poprowadzi ciebie, ona siwiutka, pan siwy, wam ujdzie, ja znowu na szczudłach, i tak powędrujemy na Bielany.“ — „Jakimże sposobem córkę przeprowadzisz?“ — „Na to moja głowa, ani jéj włos z głowy nie spadnie, tylko cierpliwości.“

Wyszła tedy grupa żebraków z téj chaty nadedniem, przeprawili się przez Narew i górami leźli omijając szosę prowadzącą z Białego Stoku ku Modlinowi, albowiem nią spieszyło z Litwy wojsko cara na potłumienie powstania. Tak pobocznemi drogami zaszły dziady aż do Warszawy. Izydor znany z patrjotycznego poświęcenia, rozeznajomił przybysza z komitetem narodowym, a rybak z matką Izydora jako staruszkowie otrzymali ważne zlecenie, wyszpiegowania adherentów Moskwy.

Dlatego staruszka przebrała się za cygankę, w celu prorokowania publiczności sposobem kabalistyki. W tym celu urządzono tajną narodową policję, a wyrocznią téjże była cyganka. Z różnych też towarzystw zgromadzali się do niéj ludzie w celu dowiedzenia się o przy-

szłości. Naturalnie sama kobieta nie wiedziała stosunków i usposobienia wielu familij, tajna tedy policja mając na kogo poszlaki, rozgłaszała publiczności: ten należy do zdrajców, ten zginie, bo jasnowidząca cyganka przepowiada. Izydor zasię, Litwinka i rybak byli owemi inspirowanemi duchami, co o wszystkiém wiedzieli, co się święci w Warszawie, opowiadali cygance, na tego powiedz to, na owego owo. — Zdziwiona publiczność wierzyła téj kabalistyce i masami nawiedzała lichą hałupinę cyganki na Krakowskiém; znosiła podarunki pieniężne, a te znowu obracano na cel dobroczynny patrjotów nieszczęśliwych pod protekcją komitetu dam czyli towarzystwa dobroczynności zostających. — Jak wielu innych, tak widzimy Leona u kabalarki, on nie poznał ludzi, oni zasię wiedzieli o jego misji do Litwy razem z Wołowiczem, dlatego ułatwiali misjonarzom wszelkie ku temu celowi drogi.

Ani się spodziewał Leon, kto go odprowadził do Prasznica, a tym fornalem był Izydor, który na rozkaz komitetu bezpieczeństwa w Warszawie przyjął polecenie odwiezienia misjonarzy Litwinów przez Prasznice koło pruskiéj granicy. Jednak na pierwszym kroku zaszła była przeszkoda; Moskwa gromadząca coraz liczniejsze korpusa ku Warszawie, zagnieździła się w Augustowskiem jak szarańcza; do tego zdenuncjowały tajne szpiegi Dibiczowi jenerałowi moskiewskiemu, że Rząd narodowy wysłał do Litwy misjonarzy, aby pobudzili Litwę do powstania i pomocy. Zaraz tedy rozpierzchli się w Prasznicu: dorożkarz Izydor ku Warszawie, Wołowicz zasię z Przecławskim umknęli piechotą z miasta.

Zaledwie obaj ostatni uszli milę drogi, spotykają chłopa, którego fizjonomia dziwnie do ich duszy przemawiała. „Zkąd człowiecze idziesz?“ zapytał Wołowicz. — „Od Lipy.“ — „Cóż tam nowego, niema Moskali?“ — „Wracajcie panowie, niepodobieństwem.“ — „Dlaczego?“ — „Wszędzie tego śmiecia bez liku, do-

szedłem do Kolna, dalej ani rusz, na każdej drodze, ba nawet na każdej ścieszce pełno, do tego na śniegowym tropie wytropią każdego, ledwiem umknął, wymigawszy się tym sposobem, że mnie przewoźniki chłopi przyjęli za tamtejszego, niech im Bóg da zdrowie.“ — „I w jakim chciałeś się dostać dalej interesie?“ — „Posłał mnie jenerał Skrzynecki do Litwy.“ — „Tak, a więc bracie czego nie dokazałeś, my dokażemy.“ — Chłop strząsnął ramionami: „Boże wam pomagaj, chyba że na skrzydłach polecicie, bo po ziemi niepodobna.“ — „Wracajże poczciwy do Warszawy, idź do wróżki i powiedz, żeś nas widział koło Lipy, niech oni tam robią swoje, rozumiesz?“ — „Dziękuję za polecenie.“

Chłop spieszył na wyścigi do stolicy, zdał sprawozdanie z misji, że niepodobieństwem dostać się do Litwy, za co otrzymał częściowe tylko wynagrodzenie, i po wielu korowodach pobiegł na Krakowskie do kabalarki. — Młoda cyganka zapytała na wstępie: „Czego chcecie?“ — „Mam zlecenie od dwóch panów, których spotkałem w drodze, oto znak.“ — Cyganka uścisnęła grubą rękę wieśniakowi: „powiedz kochany, czy tam bezpieczno?“ — „Oj nie, ani myśli, oni zginęli na mój głupi rozum, bo Moskwy jak prochu wszędzie.“ — Ta nowina zaniepokoiła wielce cygańską rodzinę; ani się spodziewała publiczność, że dnia następnego nie znajdzie kabalarki; jakby wymiótł, pustką zostawili pomieszkanie i wynieśli się — dokąd? to się później dowiemy.

XVI.

Dziś jeszcze powtarza młodzież ochocza pieśń narodową: „Grzmią pod Stoczkiem armaty,“ a ona powstała z dokonanego czynu bohaterskiego jenerała Dwernickiego, który 14. lutego 1831 r. wyparł pod Stoczkiem moskiewskiego jenerała Geismara z przeważa-

jącemi jego siły, odebrawszy mu 11 armat, całą amunicję i obóz. Od tego czasu w dniach 20 oczyścił lewy brzeg Wisły zupełnie od nieprzyjaciela. Sandomirskie i Lubelskie przyjęło z uniesieniem bohatera. Z początkiem kwietnia zrobiwszy fałszywy manewr, niby wracając się przez Wisłę, oszołomonił tém Moskali, bo ci widząc go maszerującego do wsi Zwierzyńca, myśleli, że za słabe mając siły cofa się, i posuwali się powoli za nim pod jenerałem Tollem. A tu sprawdziło się na Moskalach i ich jenerale Tollu, którego nazwisko oznacza nieuka albo warjata, że ogłupieli. Moskale ujrzeli Dwernickiego dnia 9. kwietnia już nad Bugiem, i tu mu zastępywał drugi jenerał moskiewski z 12.000. Dwernicki jednakże przeszedł Bug i pobił pod Styrem nieprzyjaciela, odebrawszy mu 12 armat. — Ta wieść o wielkiém zwycięztwie, gdzie czterech Moskali walczyło na jednego Polaka, napełniło kraj cały niesłychanym entuzjazmem. Duch narodu odżył, podniosła się jego sława, zostrzała ochota, spotęgowało się poświęcenie. — Właśnie nadeszła owa nowina do Warszawy; pierwsza ją usłyszała Litwinka z ust saméj Hofmanowéj, do któréj była pobiegła, aby zasięgła rady w celu ratunku wysłanych przez Augustowskie Litwinów, znajdujących się w niebezpieczeństwie wpadnięcia w ręce siepaczy. — „Na upór lekarstwa niema,“ odpowiedziała jéj Hofmanowa; „wysłaniec nasz ostrzegał ich przed niebezpieczeństwem z téj tu strony, nie chciano mu dać wiary, a mojém zdaniem najpewniejsza byłaby droga do Litwy przez Lubelskie i Wołyń, które oczyścił nasz bohater Dwernicki od nieprzyjaciela. Teraz wielki czas, by Litwa wszystka powstała.“ — Mowa Hofmanowéj rozgrzała serce Litwinki. Opuściła dom swéj nieocenionéj mistrzyni, i z żalem pobiegła na Krakowskie, aby się naradziła z rybakiem. On starowina sam tylko pozostał jako stróż niewinnéj dziewicy podziwiając jéj trudy i nieopisane poświęcenie.

„Ojcze,“ rzekła z uśmiechem, „odwrót się nam szczęśliwy znaczy!“ — „Dokąd?“ — „Do Litwy.“ — „Wszakże wiemy, że niepodobieństwo.“ — „Inną nam Dwernicki otworzył drogę, cały lewy brzeg Wisły wolny od Moskali, bohater Stoczka już przeszedł Bug, na jego skinienie powstanie Wołyń, a - równocześnie musi się ruszyć Litwa. Zatém przez Lubelskie dostaniemy się bezpiecznie na Wołyń pod osłoną naszych żołnierzy, ztamtąd łatwa przeprawa ku Brześciu Litewskiemu, a ztamtąd do całego kraju. Moje Philaretki czekają tylko na skinienie, dodadzą otuchy, zagrzeją serca bitnych synów, by nieśli pomoc Polsce nieszczęśliwéj!“

„Ostatnie chwile życia niech poświęcę słusznéj sprawie,“ rzekł starzec z wzruszeniem, „chodźmy tedy w tamte strony, ale szkoda młodzianów, że marnie zginą.“ — „Nie troszcz się o nich, Izydor należy do rzadkich ludzi, więcéj pewnie sieci nie zastawią na nich, ile my mieli przed oczyma, a przeciem dostała się szczęśliwie do Warszawy.“ — „Inaczéj było z początku, a inaczéj teraz, wątpię, aby Izydor doszedł nawet do rodzinnéj chatki, Moskwa bierze bez litości czy z bronią lub bezbronnego mężczyznę.“ — „Już my temu zaradzimy, tylko spieszmy do Litwy.“

„Jestem gotów,“ rzekł starzec, „nająłem stare szkapy, niewartające na pozór jak mówią szeląga, bo je żydowska wychudziła ręka, ale jak takim jasnokościakom damy żeru, dwojaką osiągniemy korzyść, najprzód pojedziemy suto, powtóre choćby nam nieprzyjaciele zastąpili drogę, nie złakomią się na hetki.“ — „Słuszna mój poczciwy.“ — „Tylko, moja cnoto, powiozę cię jako matkę, musisz się wyprzeć twego panieństwa.“ — Panienka się zatrwożyła, nie umiała odpowiedzieć na zapytanie. Stary rybak rzekł litośnie: „Nie bój się twego anioła stróża, poświęcę za ciebie moje życie, umyśliłem tedy, abyś wiozła dziecię z sobą

ułomne, udając, żeśmy byli w Warszawie u doktorów, aby wyleczyli kalekę.“ — „Co za koncept!“ — „Uda się, tylko przyjąć musisz na siebie tymczasem troskliwość matki.“ — „A gdzież dostaniemy podobnego dziecięcia “ — „Już mam zamówione.“ — „Cóż z nim zrobiemy dalej? — „Przecie go nie zamordujemy, bośmy chrześcianie, a Litwę stać jeszcze na to, by wyżywiła sierotę.“ — „Chodźmyż tedy czémprędzéj do miejsca zamiarów twoich.“— „Wieczorem, bo we dnie nie można.“

XVII.

Za Lublinem płynie rzeka Wieprz; wózek prosty chłopski potaczał się od strony zachodniéj szosą niby ku Lubartowu, ale skręcił na prawo drogą ku rzece. Na wózku siedziała wiejska kobieta, dosyć w brudne ubrana odzienie, tylko dziecko na rękach było obwinięte w białe prześcieradło i płakało na upartego; woźnica zasię stary w czapie baraniéj na głowie, podcinał szkapy, by prędzéj biegały, bo na promie stojący przewoźnicy wołali: „A spieszno się, bo samego jednego potém przewozić nie myślimy, woda wielka!“ — Wózek stanął, dwóch żołnierzy polusów stało na warcie, czuwając nad przejazdem ludzi, a raczéj, czyli nie zobaczą przednich straży nieprzyjaciela. Zbliżywszy się do owego wózka, zaczęli się śmiać: „Co ty ojcze, możeś był w Warszawie na wyścigach konnych? twoje szkapy musiały uzyskać pierwszą premię?“ — Woźnica się zachmurzył: „Wolne żarty z mojéj biedy.“ — Jeden zasię kuknął na wózek i przypatrzył się kobiecie w oczy: „Daleko jedziecie?“ zapytuje. — „Do Horoszenki.“ — „A kto ten człowiek, co was wiezie?“ — „Mój mąż.“ — „Haha,“ roześmiał się żołnierz; „a którędy prowadzi droga do Horoszenki?“ — „Możnaby

jechać na Ostrów, Parczów, Horodyszcze, ale my pojedziemy prosto do Włodawy, bo tam jest sławny doktor, będziemy u niego wprzódy, potém ponad Bug pojedziemy do domu.“

Żołnierz zaczął kiwać głową, dziecko zlękło się promu i wody, tak że się rozbeczało. Żołnierze przewieźli się przez Wieprz, narzucając się kobiecie: „bądź dobrą kobieto, przysiedniemy się trochę do ciebie na wózek, bo my także dążymy ku Włodawie.“ — Koło Sernikow skręca furman na lewo. „Po cóż tam?“ zapytują żołnierze. — „Mamy interes do jednego w téj wiosce chłopa, może zabawiemy dłużéj.“ — „Nie szkodzi, że pojedziemy z wami,“ odpowiadają żołnierze. — „Jak waćpanom się podoba.“

Przyjechali tedy do wieśniaka; furman zostawił na dworcu żołnierzy, konie, wóz i żonę, wbiegł do chałupy i długo nie było go widać. Nareszcie wyszła nie młoda już chłopka, wzięła dziecię od kobiety na rękę, pomogła jéj zleść z wozu i poprowadziła za sobą do mieszkania. Wyszedł nareszcie wieśniak, wziął konie za lejce i krzyczy na szkapy: cioho! Żołnierze pozierają po sobie i idą za furą. Wieśniak wyprzęgnął konie, wprowadził do stajni, wyszedł znowu, zaczął szukać po słomie we wozie, wyjął jakieś zawiniątko, poniósł do izby, a żołnierze idą za nim. Wieśniak staje w progu: „Co wy za jedni?“ — „My jesteśmy polscy żołnierze z pułku Dwernickiego.“ — „Dokąd idziecie?“ — „Do Włodawy.“ — „To tam Dwernicki stoi?“ — „A tam.“ — „Chodźcież do izby, zaraz ja tu sprowadzę sołtysa, aby was nauczył, gdzie Dwernicki stoi.“ — Zołnierze się jakoś ociągają, chłop złapał za ramię jednego: „ale chodź, nie bój się, boś psiawiara szpieg moskiewski;“ otworzył drzwi do izby i wepchnął go; drugi mu umknął.

W izbie stary furman za pomocą syna gospodarskiego powiązał złapanego zbira w powrozy, usadowił

na ławie i zaczęła się indagacja: „Wy polscy żołnierze? Od Rydigera korpusu nieprawda? psubraty?“ — Żołnierz się trzęsie, widząc tajemnicę zdradzoną, i gałęź przeznaczoną na wieczny odpoczynek: „Darujcie mi życie, błagam, proszę, mam żonę, mam dzieci, jestem ojcem nieszczęśliwym, Moskwa mnie wzięła do wojska.“ — „Zkąd jesteś?“ — „Z Litwy, z Porzecza.“ — „Kto waszym panem?“ — „Pan Wołowicz.“ — „A ten drugi kto?“ — „On z Michalina także Litwin.“

„I to wy psubraty wybraliście się na szpiegostwo, przebierając się w polskie mundury?“ — „My sami nie, tylko tak pan jenerał nakazał, wszak pełno wszędzie w każdéj wsi i wiosce, co tu znajdują się polscy żołnierze rozproszeni, są to moskiewskie żołdaki, aby wyśledzili siły Dwernickiego i jego załogi.“ — „A więc łotrzyku na gałęź z tobą; niema kapłana, spowiadać się już nie będziesz, krótki proces, na wierzbę z tobą.“

Stary rybak, chłop, syn jego i parobczak złapali zbira, jeden za ręce i głowę, inni za powiązane nogi, i wynoszą z domu. Koło zabudowania był rzęsisty ogród, grubych wierzb przy płocie gęstych sporo. Już go ciągną do góry, myrda i tłucze się nogami, woda się z niego z przestrachu leje, bełkocze przez zawiązane usta niezrozumiałe słowa: „tyś... poznałem... ona zamęczyła Wołowicza.“ — Kobieta z dziecięciem na ręku przypatrywała się téj operacji, usłyszawszy te wyrazy, porzuciła dziecię na ziemi, przybiegła do nich, krzyknęła: „puśćcie go, bo on wyjawi jakąś tajemnicę.“ — Zadziwili się wszyscy i spuścili go z powrozem na ziemię, kędy spadł na śnieg jak kłoda.

„Coś poznał? kogoś poznał? kto zamęczył Wołowicza?“ zapytała kobieta. — Po długiéj bezprzytomnéj chwili wyjęknął: „Pani zamęczyłaś panicza Michała i mnie teraz kazałaś.“ — Wszyscy wytrzeszczyli na kobietę oczy, nierozumiejąc zgoła, o co chodzi. — „Kto ci to powiedział? zkąd takie masz wiadomości?“ —

„Od mego brata, głośno ptaszki o tém śpiewają: panna Lida narzeczona naszego panicza ukąpała go w rzece, że chciał przystać do Polaków“; są jego słowa. „Służyłem od młodości we dworze, lubiłem więcéj dobrego Michasia, niżeli rodzonego brata. Gdyśmy przed dwoma laty pierwszy raz byli u Litwinki pokryjomu, zwierzył mi się panicz, że ją pragnie pojąć za żonę. Ej paniczu, odpowiedziałem, zanadto wymuskana, nie będzie dobrą panią! Ośmiał się panicz, mówiąc mi: co ty wiesz! Porwali mnie do wojska, przybyłem z Mohilowa ku Brześciu, dałem znać do domu, przybył brat i opowiedział na moje zmartwienie, że pod Mereczem utopiła Lida panicza. Włosy mi powstały na głowie, żal okropny. Co prawda, poprzysiągłem sobie, że jak ją kiedy zoczę, zamorduję. Poznałem cię tedy, ty morderczyni mego panicza, porzuciłaś wstyd, nosisz już bąka na rękach, jednegoś zamordowała i mnie jeszcze teraz chcesz. Ludzie!“ krzyknął na włościan: „łapcie tę zbrodniarkę, ona nie prostą kobietą, ona Litwinką, najęła sobie widać człeka, aby ją przewiózł, ona gotowa zamordować starego pana naszego“.

Wieśniacy ziemi podlaskiéj, należący zawsze do najprzychylniejszych sprawie narodowéj, a oswojeni przez rybaka, że przewozi misjonarkę polską do Litwy, dali z początku pomoc przeciw szpiegom moskiewskim. Lecz teraz słysząc takie słowa z ust żołnierza, zaczęli szemrać: „Łapmy tych i tych, niech się rzecz jasna wyświeci, najprzód pójdźmy z niemi do księdza, on mądry, wyrozumie, co na tém fałszu lub prawdy.“ — Lida się teraz zmięszała okropnie. Kto mógł rzucić potwarz na nią, jakoby utopiła narzeczonego? Rybak widząc nieżarty, zaczyna łagodzić wieśniaków. — „He, he,“ odpowiada chłopek: „kto wie co wy za jedni? niech tylko nadjadą rajtarzy z Lublina, bo już sołtys posłał na koniu, żeśmy moskiewskie śmieci przytrzymali, wyśpiewacie wy tu wszystko aż miło.“ — Te

słowa napełniły z jednéj strony Lidę promykiem nadziei; z drugiéj jednak strony zaniepokoiły bardziéj, bo jeden żołnierz przebrany uciekł, a ten mógł sprowadzić w te tu strony łatwo Moskali. — Chłopi wprowadzili wszystko czworo do izby, wnet przybyło więcéj wieśniaków na straż. Dziecię kaleka zaczęło lamenta i nieznośne krzyki. Stary rybak widząc dziewicę pobladłą, ścisnął mu żal serce. Wstał i rzekł do moskiewskiego żołdaka:

„Jak ci imię?“ — „Jakób“, odpowiedział żołdak. — „Jakóbie, byłeś kiedy w Mereczu?“ — „Albo raz.“ — „W jakim interesie?“ — „Nie w swoim, ale z nieboszczykiem paniczem u krewnych panny Lidy.“ — „Długoście tam bawili?“ — „Raz przez 2 tygodnie.“ — „Nie słyszałeś kiedy o rybaku?“ — „Tylko tyle, że nianka bawiąc dziecię, straszyła go: cicho, cicho, bo cię brzydka porwie rybaczka.“ — „A więcéj nic?“ — „A nic.“ — „Otóż słuchajże mnie, ja jestem owym rybakiem z Merecza, co przeprowadziłem pana Wołowicza przez Niemen z pięcioma parobkami, wymienię ci ich nawet po imieniu: Sawa, Patryka, Teodat, Andrejko i Prokło. Nie znasz ich?“ — „Jakżebym ich nie znał, kiedy Sawa i Patryka moi krewni.“ — „Widzisz, oni są w Warszawie, a pan Michał poszedł znowu gdzie mu kazali jenerałowie, żyje do dziś dnia, i muszę otwarcie wyznać przed ludźmi tutaj, żebym był tych ludzi nie przeprowadzał przez Niemen do Polski, gdyby nie ta pani, która mnie usilnie prosiła; ją i ich przeprowadziłem szczęśliwie, a nazad odprowadzam tę panienkę do domu ojców, aby się jéj na drodze nic złego nie stało. Dziecię zasię, owa kaleka, to jest kupione umyślnie w Warszawie, aby pod jego osłoną mogła przebyć przez wojska obsadzonéj granicy. To jest moje sumienne zeznanie, powtórzę je nawet przed naszymi nieprzyjaciołmi jako prawdziwe, błagając dla niéj przebaczenia, a dla mnie śmierci.“

„Kiedy taką prawdę mówisz,“ rzekł żołnierz, „zostańże tu na zastaw, a ja odprowadzę pannę do pana Wołowicza; gdy mi pan potwierdzi tę prawdę, powrócę tutaj, i obwiesicie mnie na wierzbie, żem się dał namówić na moskiewskie szpiegostwo; jeżeli zasię pokaże się nieprawda, utopię tę pannę razem z jéj bąkiem, niech odpokutuje zbrodnię swoją.“ — „Mądryś ty bratku, ale my nie głupi, abyśmy was puszczali,“ odrzekli chłopi, „mówcie sobie do ócz smolone duby, wyście się oczami widać porozumieli.“ — Chłopi nie czekając już więcéj, powiązali wszystkich, wsadzili na ów wóz i pod eskortą powieźli do Puław, kędy polska stała załoga.

Kamień młyński spadł z duszy Litwinki, ale z drugiéj strony gniotła pierś zgryzota, że się nie udała misja. Przyjechali tedy nad rzekę Wieprz, prom stał na przeciwnéj stronie, a jeden przewoźnik jeździł sobie chybko po wierzchu wody, łowiąc na podrywkę ryby. Wołają na niego, on usłyszał i pędzi: „Co chcecie?“ zapytuje. — „Przewoź! czémprędzéj, mamy Polaków.“ — „Za nic w świecie, uciekajcie gdzie kto tylko może, niema godziny jak przyjechało 50 kozaków, stanęli przed karczmą i piją wódkę.“ Odbił od brzegu, jakby nie miał żadnéj z temi ludźmi styczności.

I chłopi w strachu, i misjonarze jeszcze w większym. — Jeden wieśniak krzyknął: „Ej co nam się wdawać w nieczystą sprawę, zostawmy biesów, powracajmy do domu.“ — Tak uczynili, zostawiwszy Lidę, żołnierza i starego rybaka jakby na lodzie. — Żołnierz przeszedł widać dziegciem; co myślał w téj chwili, nie wyjawił, ale zaczął krzyczeć na kozaków, zobaczywszy przed karczmą konie. Stary rybak poznał, do czego ów krzyk zdąża, ugodził podkółkiem w łeb potwora, zostawił wóz, konie i dziecię, porwał za rękę Lidę i zniknęli w wiklinie. — Długo było nad brzegiem cicho, dziecko zaczęło płakać, wreszcie, konie skręcały. Ko-

zacy dostrzegli z tamtéj strony i nuże się przewozi dwóch na koniach, patrzą: żołnierz polski leży, dycha, krew mu się sączy. Oblali go wodą, pytają: kto ty Laszku? — Żołnierz przyszedłszy do siebie, powiada im, że on ruski wojak. Zaczynają się śmiać: ty ukradł konie, wóz i dziecko. — Nie, mnie zabili Lachy. — Prowadzą tedy na przeciwny brzeg, pokazują przewoźnikom, czy nie znają tego wozu, czy nie przejeżdżał kto tędy? — Oni mówią: ani śmy widzieli. — Porwali tedy wszystkich razem i poprowadzili daléj.

Dwaj uciekiniery, rybak z Lidą, ogołoceni ze wszystkiego, bo rzeczy służące im do podróży pozostawili na wozie, uciekali krzakami. Wieśniacy w Podlaskiem nocowali ich z szczerością, i tak po tygodniowéj mozolnéj podróży przybyli nad Bug rzekę, która była obstawiona wielkim kordonem.

Za Włodawą ciągną się po nad Bug wyniosłe pagóry, umajone w lecie pięknemi płatami lasów, w zimie zasię obnażone, ale z powodu swéj gęstości dające schronienie. Tu Lida z rybakiem przebywała dni kilka, czekając na błogą chwilę. Nie mając żadnych zapasów dla zaspokojenia głodu, dwa dni pożywiali się oboje tylko wodą, a rybak otworzył korę drzewa białéj brzozy i ssał sok słodki, w czém go także towarzyszka naśladowała. W takim stanie zoczył ich gajowy, myśląc, że oni należą do pospolitych psotników; przystępuje śmiało do kobiety, aby ją obdarł z odzienia. — „Człowiecze,“ zapytała go kobieta litośnie, „ani pytasz, kto jesteśmy, i rzucasz się na nas jak Moskale na polskie ofiary.“ — „Czemu wiercicie w drzewach dziury i puszczacie soki?“ — „Tyś dziś jadł śniadanie, nieprawda? a my już dzień trzeci nic w ustach nie mieli.“

Gajowy się przypatrzył: „może wy uciekli z Litwy przed Moskalami?“ — „Tak, bodaj nikt nie cierpiał tego, co nam się przydarza, trzy dni łazimy po tych krzakach, ani żywéj nie widzimy duszy, abyśmy się

dowiedzieli, gdzie się polskie, a gdzie nieprzyjacielskie wojska obracają. Bądź dobry, poczciwy człowiecze, zaprowadź nas w jaki zakątek, abyśmy się ogrzali, zapłacę wam sowicie.“ — „Albo ja wiem co robić, pani Jmość mówiła mi, że się dużo kręci przebranych ludzi, a ci są moskiewskie szpiegi, musimy być ostrożni i mieć się przed niemi na baczności.“ — „Wiemy o tém mój poczciwy, i dlatego lękamy się własnego cienia.“

„Hoho, byłbym ja tu popadł w łapkę,“ odrzekł gajowy, „gdybym się był nie połapał swoim rozumem. Niema temu tygodnia, przeleciał tędy polski ułan. Nasza pani zobaczywszy go ugościła; tymczasem jadą kozaki, wstąpili do dworu, pani się przelękła, bo się ułan nie ruszył z pokoju. Jak zaczęli z sobą rozmawiać, porwali go z sobą; myślałem, że mi serce pęknie za tak pięknym człowiekiem. Idę do lasu, kozaki jadą; stanęli, naszemu ułanowi dają odzienie swoje, a schowali ułankę do torby i zaczęli się śmiać. Pomyślałem sobie: a wy niecnoty, poczekajcie! Przybywszy do domu, opowiedziałem pani, ona nieboraczka załamała ręce, bo zapłaciła kozakom 200 złotych za karę kontrybucji, iż przyjęła do domu Polaka. Mam leśniówkę tam z tamtéj strony; na drugi dzień przychodzi do mnie ułan polski: Zmiłuj się, rzecze, gonią mnie kozaki! Schowaj no się, rzekłem, do piwnicy. Wlazł, zamknąłem i trzymam; posłałem do méj Jmości, przyjechała i pytamy: co ty za jeden? On nam kręci. Nie wiele myśląc, powiązałem jak barana, zaprzągnąłem konie i zawiozłem ułana do Krasnegostawu naszemu Dwernickiemu; sam widziałem na własne oczy, jak mu zaciągnęli sznurek na szyję. Więc i wam się tak stanie, jeżeli przybyliście z Litwy na szpiegi do polskiéj ziemi.“

„Tego się nie lękam, mój poczciwy, zaprowadź nas tylko do twéj Jmości, bo ja znam jéj dwie córki. Jednéj Jadwisia, drugiéj Sabinka.“ — „Dobrze; ale zkąd możesz znać kobieto takie panięta, kiedy one

jak żyją nie były na Litwie, tylko uczyły się w Warszawie!“ — „Nie pytaj poczciwy, tylko zaprowadź.“ — Gajowy rozmyśla i rzekł: „Chodźcież najpierw do mego domu, potém będziemy radzili.“ — I poszli przez knieje, gajowy jednak niedowierzając gościom, obzierał się ciągle, postawał naumyślnie, nareszcie zostawił ich na ścieszce niedaleko domu i rzekł: „Tu stójcie, idę do domu, bo tam jakaś bryczka zajechała.“ — W saméj istocie do domu gajowego zajechał wózek dworski, a z niego wysiadło dwoje osób. Lida widziała, że jakieś dwie panie.

Długo stał wózek przed domem gajowego; wyszły nareszcie te osoby i idą wprost ścieszką ku Lidzie. Lida się zatuliła. Młode osóbki zbliżają się, a widząc wieśniaka starca i wieśniaczkę młodą, przemówiły do siebie językiem francuskim: „Z ócz im nie patrzy, aby byli szpiegami, jacyś nieszczęśliwi“ — Panna Sabina należąca do żywych osóbek przystąpiła do wiejskiéj kobiety i zapytała: „Ty mnie znasz kobietko?“ — „A znam.“ — „Zkądże?“ — „Z Warszawy.“ — Sabina spojrzała się na siostrę swoją Jadwigę. „Gdzieżeś mnie widziała w Warszawie?“ — „U Hofmanowéj.“ — „Czyś tam służyła?“ — „Służyłam dobréj teraz sprawie, a dawniéj byłam elewką téj pani.“ — „Kto jesteś?“ — „Jestem Sabinciu twoją przyjaciółką,“ i w téj chwili odkryła swoje oblicze,“ — „Dla Boga, co tu robisz? Lidziu!“ — „Obowiązek ojczyzny mnie tu sprowadził, misja.“

Obie panny zaczęły całować towarzyszkę: „Chodź czémprędzéj;“ rzekły i przyprowadziły ją do wózka, posadziły obok siebie, mówiąc: „A ten człowiek niech tu tymczasem u ciebie gajowy zostanie.“

Rybak czekał godzin kilka, gajowy się zmięszał, przemyślając: co to znaczy, panny dziedziczki całowały się z chłopką! Pytał tedy starca: „Jakże mam mówić do was, czyście chłop czyli też z Waszecia? bo widzę,

żeście człek swojski, a idziecie w sprawie kraju posłani?“ — Rybak tylko stał zadumany.

Za godzin kilka przyjeżdża bryczka i dwie na niéj panienki ubrane bardzo ładnie we futrach, staja przed gajowym; on wyszedł, rzekła doń Sabina: „Gajowy masz zaprzęgnąć dwie fornalki, naładujesz owsa i pojedziesz do Terespola, rozumiesz? My zaś późniéj za wami przyjedziemy.“ — „Dobrze panienko.“

XVIII.

Terespol leży naprzeciwko Brześcia litewskiego; tędy prowadzi główny gościniec z Litwy do Warszawy i tędy posuwały się etapy wojsk moskiewskich, jak również na gościńcu kowieńsko-warszawskim drugie etapy na wyścigi do Polski leciały. Lecz stawiały im polskie legjony śmiałe czoło; między wieloma takimi drobniejszymi oddziałami odznaczają się 1. pułku Krakusy w sile 12 0 koni, sformowane w przeciągu 22 dni przez ówczesnego pułkownika Henryka Dembińskiego. — Ten nieustraszony bohater dokazywał cudów waleczności; rozprószył pod Dembami wielkiemi korpus Rosena zupełnie, odebrał cztery mając tylko szwadrony Liwiec, zabrawszy nieprzyjacielowi 500 żołnierzy, 14 oficerów i 200 koni, uwalniając niemało polskich jeńców, których Moskale byli uprowadzili. Pod Kuflowem zatrzymał całą armję Dibitscha mając tylko 3.500 ludzi i cztery armaty. Tak uwijając się z nieprzyjacielem, zwrócił na siebie główną narodu uwagę. Doszły bowiem słuchy, że Moskwa z gwardjami na Polskę wyruszyła, zaprzątawszy Augustowską ziemię nie zostawiając wolnéj nawet piędzi; w każdém miasteczku, w każdéj wiosce było przepełnione rosyjską hołotą. — Polacy skoncentrowali nad Bugiem swoich rycerzy, i przeszli takowy bez przeszkody, posuwając się nad Narew. Wtenczas stanęła nasza główna armja na lewym brzegu

tej rzeki, a Dembińskiemu rozkazano, by zajął brzeg prawy koniecznie. — Dembiński trudne miał wprawdzie zadanie, zwłaszcza, iż stanął naprzeciw *Ostrołęki*, do którego miasta zatamował jenerał moskiewski Saaken wnijście, stanawszy przy moście w redutach oszańcowanych z 12tu dział i do 6000 ludzi. On zasię zaledwie 3000 mając ochotnika, porywa się na przeważnego nieprzyjaciela, pędzi marszami forsownemi bez odpoczynku 3 dni nieustannie na miejsce przeznaczone, przybywając o saméj północy, i zaczyna się przez godzin 14 niepospolita w dziejach wojennych akcja. Ten ogień poruszał na wszystkich stronach Moskwę, — i rozprószono ją z Ostrołęki na boki.

Tę nowinę przyniósł chłopek prosty, bawiący w tém mieście a widzący co się w nocy działo, do Drożdżewa nad jeziorem położonego. Jest tam błotnista bagnista okolica, ledwie do niéj dopchali się Wołowicz z Przecławskim; nie ufając nikomu, ukryli się byli przy jeziorze w sitowiu i oczekiwali jakiego zmiłowania nad sobą. — Biegł chłopek zadyszany właśnie niedaleką ścieszką. Leon wychylił głowę, patrząc się, kto idzie taki, a zobaczywszy chłopka, gwiznął cicho. Chłop stanął; on gwizda po drugi raz. Leon wychylił głowę, i położył palec na usta. Chłopek obejrzał się na wszystkie strony, idzie do téj knieji. — „Człowiecze," rzekł Leon przerażony, „zaklinam cię na miłość Boga, powiedz, czy już poszli ztąd kozaki?"

Chłop się przypatrzył dwom uzbrojonym, poznał swojskich. „Czyście uciekli z niewoli?" zapytuje. — „Nie pytaj o to, tylko wprost odpowiadaj." — „W saméj istocie, że ich djabli wzięli, bo Polacy potrzepali tych przybyszów i wyścigali z Ostrołęki." — „Prawdę mówisz?" — „Alboż nie jestem Polakiem jak i panowie? byłem przecie naocznym świadkiem, jak na moście prali nasi Moskali, wlatywała zgraja do wody jak kluski do garnka." — „Więc byś nas przeprowadził

na Ostrołękę?“ — „Dlaczego nie, tylko muszę zajrzeć do swéj chałupy, co się tam dzieje; ostrożność nie zawadzi, pochować należy mienie swoje do ziemi, aby w razie napadu nie znalazł nic nieprzyjaciel. Zechciejcie panowie odwiedzić ubogiego wieśniaka, nie wstydźcie się grubéj sukmany, bo my jak mur stoima za wami.“ — Obaj misjonarze ucieszyli się, znajdując poczciwe wieśniaka serce, i przyjęli zaprosiny.

W małéj o jedném okienku izdebce znaleźli dwie kobiety, jedna już dościgała postacią pół wieku, a drugaby się połową tylko podzieliła. Starsza paliła ogień na kominku, przyrządzając posiłek, druga zasię obracała wartko w zgrabnych palcach wrzeciono. Wszedłszy naprzód wieśniak, rzekł głosem trzęsącym: „Zochno wybiegaj i krzątaj się na podwórzu, a patrz na wszystkie strony, żeby się tu nie nawinął bies jaki, bo teraz ściany mają uszy a nieprzyjaciele nawet w tyle oczy.“ Hoża dziewuszka porwała na się odzienie, zatuliła głowę chustą i wybiegła na rozkaz ojca, ani się patrząc na przybyłych gości.

„Co masz żono, daj jeść, czas nagli, a zresztą pochowajmy nasze dobytki, bo się zbliża w te strony Moskwa.“ — „Obieżyświecie,“ rzekła z żalem wieśniaczka, „płużysz gdzieś daremnie po świecie, a my zjadły strachu, iż śmierci się równa. Cóż będziemy chowali, kiedy nam wszystko wczoraj zrabowali kozacy. Bóg strzegł, że Zochny nie było w domu, tylko ja sama, bo nie wiem, coby się było z nią stało.“ — „Krowy są?“ — „Czy będą na ciebie czekały?“ — „A wieprze?“ — „O jakże, ciesz się.“ — „Więc zrabowały bestje?“ — „Gdyby się było na tém skończyło, ale w komorze pustki, w czém zastali mnie na powszednie, tyle mam odzienia, reszta wyrabowali w całéj wsi, a co się tu z dziewuchami działo!“ — „I gdzież była Zochna?“ — „Strzeżonego Pan Bóg strzeże, posłałam do kościoła ofiarę, poniosła ją Zochna. Jego-

mość zobaczywszy dziewuchę samotną, a już u niego stali kozaki, sam wyskoczył na podwórze, przyprowadził do kuchni, kazał ją przebrać w odzienie swéj służebnéj i tak wysłał do stajen. Naturalnie on się grubo opłacił téj zgrai, bo mu wyprzątali do szczętu piwnicę, ale nasza Zochna ocalała, gdy tymczasem we wsi powtórzył się rabunek na pieniądze i dziewczęta.“ — „Oh! niechże Bóg ma w swojéj opiece takiego kapłana,“ wyrzekł włościanin w uniesieniu; „więc nic nam nie dasz jeść?“ — „A cóżby, zostało mi tylko z garniec jagliwa, to sporządzam na posiłek, nie wiem czyby panom smakowało.“

Gdy tak mąż ze żoną nad swoim stanem ubolewają, wpada Zochna do izby i wykrzyknęła: „We wsi kozaki!“ Zadrżał włościanin na ową nowinę, spojrzał się na gości zadyszany, nie mógł przemówić słowa, tylko stanął na środku izby z założonemi rękami. — Zochna nie tracąc przytomności, porywa Wołowicza za rękę, bierze za trok sukni Przecławskiego: „skryjcie się dla Boga, chodźcie za mną czémprędzéj,“ popchnęła drzwi nogą i wyprowadza ich przez sień na tył pomieszkania. — Krzyk, pisk, wycie przeraziło wszystkich mieszkańców, jakby dzikie rozpasały się po wiosce bestje. Krzyczy przeraźliwym głosem kozactwo, wypycha okna dzidami, wrzeszcząc na całe gardło: „A gdzie tutaj buntowszczyki?“ Dom w dom robi poszukiwania, dopuszczając się bezwstydnych ekscesów; ani opisać téj sceny niepodobna, bo na każdym kroku pokazali Moskale, że są zupełnie dzikim niepohamowanym narodem, hordą rządzoną batem i zwierzęcością.

Ktoś z nieostrożnych wyplótł przed kozakami, iż widział dwóch do wsi spieszących buntowszczyków Lachów; kozacy też rzucili się na rewizję wioski poprzednio splądrowanéj, dopuszczając się nieludzkich ekscesów. Co żyło, kryło się, gdzie tylko można było, zwłaszcza kobiety, bo młode męzkie pokolenie wyniosło się

było już dawniéj po części do narodowych legjonów; starzy zasię w chatach pozostali, opłakiwali utratę swych dobytków, dlatego z rezygnacją przyjmowali w domach siepaczy, albo narażając im się, ściągali na się najcięższe prześladowanie a nieraz i utratę życia. Nie dziwmy się, że włościanin widząc zrabowany majątek, słysząc trzask w oknie szyb, co je rozbiła kozacka pika, porwał siekierę, stanął i krzyknął: „Jak się wściekła bestjo poważysz przestąpić próg téj sieni, utopię w tobie tę siekierę!“ — Kozak cofnął się od okienka. Włościanin zwertnął siekierą, kozak ucieka; włościanin ośmielony, wychodzi przed chatę trzymając siekierę w ręku. Przypada kilku kozaków z okrzykiem, chłop stanął we drzwiach z siekierą, a oficer pyta się: „gdzie podziałeś buntowszczyków?“ — „Wy psubraty chcecie mi zhańbić córkę! po moim trupie, wara! nie dam.“ — Wtém pada z dachu strzał jeden i drugi i trzeci i czwarty na kozactwo. Ono odwraca z rykiem, kwikiem jak dzikie.

Po małéj chwili atakują kozacy znów dom włościanina. Nie zastali tamże zgoła nic, tylko pustkę niezamieszkałą. Zrujnowali piec, w komorze skopali ziemię, chcąc znaleść kryjówkę, a ta zgoła nic nie ma. Osłupione kozactwo nie mogło sobie wytłumaczyć téj nagłéj metamorfozy, bo ciągle mieli ów budynek na oku i czyhali na buntowszczyków, co się byli tamże ukryli. Ale oni tym samym duchem w owéj chwili zagrzani, co bohater Ostrołęki Dembiński, bo otworzył narodowemu wojsku do tego punktu wrota, ztąd zasię pobiegł spiesznym marszem ku Łomży, warownéj pozycji gwardyj moskiewskich, które cernował jenerał Giełgut z dzielnymi powstańcami, i zadali obaj Moskalom stanowczą klęskę. Lecz Giełgut niedowierzał bystrości rozumu wielkiego geniusza, wahał się; sam tedy Dembiński czyni atak na Łomżę, i jakież było jego zdziwienie, kiedy znalazł miasto puste a magazyny przez

moskiewskiego jenerała Saakena spalone. Wzywa jeszcze raz Giełguta, aby naprawił błąd i uderzył na nieprzyjaciela, którego armja Skrzyneckiego na Tykocin parła. Ale nie, Giełgut nie usłuchał, tylko psuł manewrami najkorzystniejsze narodowego wojska plany. Z téj przyczyny usunął się Dembiński z téj pozycji i poszedł do jeneralnego sztabu.

W podobny sposób odbyła się scena z misjonarzami i Zochną. Dziewica widząc niebezpieczeństwo porwała za sobą gości, jak sokół zwietrzyła okolicę i poprowadziła do drugiéj wioski tak przez krzaki i pola szczęśliwie, że ich nie zobaczyło żadne nieprzyjacielskie oko. Wieśniacy dali znać, że pod Ostrołęką wre bój zacięty, radzili tedy, niech się udadzą misjonarze na Baranowo, tam okolica bagnista, prędzéj posuną się ku granicy pruskiéj, która z Moskwy ogołocona, więc ponad granicę posuwać się śmiało mogą ku Kolnu, i daléj do Augustowa. Zochna była téj myśli przeciwna: „Ojciec mówił,“ rzekła, „że Polacy odebrali Ostrołękę, przeprowadzę panów ponad Omulę rzekę i połączycie się z naszymi, chciałabym się widzieć z bratem, który pod Dembińskim służy.“ — „Jako żywo,“ odpowiedział Leon, „w tamte strony nie pójdziemy, raczéj nam się trzymać pruskiéj granicy.“ — „A co wy za jedni?“ zapytała dziewucha.

Zrozumieli owo zapytanie misjonarze, dlatego rzekł Leon: „Nie bój się, my Litwini, powracamy do ojczyzny, abyśmy się zabrali wszyscy razem na Moskala.“ — „Hoho, rychło wczas, myślicie, że oni na was czekają?“ — „Nie rozumiemy, co chcesz mówić dziewczyno.“ — „Chyba nie chcecie rozumieć, alboście nie nasi, bo Litwini dawno się biją.“ — „Zkąd masz tę wiadomość?“ — Dziewuszka się zapłoniła, widać żal jéj było wypowiedzianego słowa, rzuciła pogardliwe spojrzenie na obydwóch podróżników, zamilkła. — Kilku wieśniaków spoglądając na dziewuszkę, wyczytali jéj z

oblicza co myśli; dlatego jeden rzekł: „Ha, gdzie się panom podoba, niech sobie idą,“ i powoli zaczęli się wynosić z chaty jeden za drugim, a z nimi także Zochna.

Zostali tedy Michał z Leonem sami. Teraz zrozumieli niebezpieczeństwo położenia swego; lud miał ich w podejrzeniu, że są moskiewskimi szpiegami. — Oni chcą dopiero podburzać Litwinów do wojny, a Litwini biją się na dobre; przecie nie kłamią nasi ludzie, co przez Prusy dostali wiadomości. — Wołowicz z Przecławskim chodzą tedy po Baranowie z chaty do chaty, wszędzie stronią od nich wieśniacy; pytają się jakiegoś młodzika, którędy na pruską granicę prowadzi droga. Odpowiada im z uśmiechniętą miną: Wy tam lepiéj wiecie, a pytacie się niepotrzebnie. — Pytają się kobiety: daleko ztąd do Augustowa? — Albo ja wiem, udaje kobieta, gdzie mieszka ta pani Augustynowa! i wykręca się, nie chcąc im popatrzyć w oczy. Widząc oczywiste zakłopotanie, udają się na plebanję do księdza.

Kapłan widząc obcych ludzi, przyjął ich bardzo zimno, i słuchał ich mowy z niedowierzaniem. Gdy nareszcie niecierpliwy Wołowicz wyrzekł w uniesieniu: „Księże Dobrodzieju, czyż może Polska zwalczyć nieprzyjaciela bez pomocy Litwy, a właśnie idziemy w téj misji posłani, abyśmy pobudzili naszych patrjotów do akcji.“ — „Oho panowie złapaliście się sami; właśnie bez waszéj rady i pomocy biją się już Litwini, już odebrali Troki, a Rosienie i inne miasta w rękach powstańców od 26 marca, a dziś mamy chwała Bogu do połowy kwietnia. Panowie jesteście ludźmi podejrzanymi, udajecie patrjotów, a może pod płaszczykiem niesiecie ogon lisi. Niechże się panowie wynoszą, bo mój fornal co tylko że przybył z Dembnik i powiada, że krocie w tamtéj widział okolicy.“ — „Kiedy Dobrodziéj nie chce nam dać wiary, niechże nam przynajmniéj opowie, zkąd ma o Litwinach takie pewne wiadomości?“

Ksiądz zmarszczył brwi. Tymczasem przybyła do pokoju sługa i szepnęła coś do ucha Jegomości. On wyszedł i długo dosyć bawił, zostawiwszy samotnych gości. Wraca nareszcie: „Panowie miejcie się na ostrożności, powiadam wam szczerze, lud ma was w podejrzeniu, jakobyście byli szpiegami; sołtys z innymi oświadczają mi właśnie, że przybyli, aby was odstawili do Ostrołęki.“ — „I któż teraz w Ostrołęce? czy Moskale, czy Polacy?“ zapytuje Wołowicz. — „Alboż ja wiem; czy tam tacy, lub owacy, mnie zupełnie nie obchodzi; dziewczyna was przezdradziła, przeprowadzając do Baranowa, żeście się sami zwierzyli; a mówił sołtys, ona będzie świadczyć, abyście zginęli jak zdrajce.“ — „Przed Polakami nie mamy zupełnie boja,“ rzekł Leon, wyjął z buta pismo, pokazał proboszczowi: „Dobrodziej niech czyta, co my za jedni.“

Ksiądz się przypatrzył, kiwnął głową i rzekł: „Za drugą cholewą może pan ma znowu cyrograf innego kalibru, a ponieważ macie cztery buty, więc o cztery takie pisma nie trudno.“ — „Proboszczu nie żartuj, chcesz wiedzieć nasze prawdziwe imiona? Jestem Przecławski, syn Antoniego z Różany.“ — Proboszcz spojrzał przenikliwie i rzekł: „Syn Antoniego, mego szkolnego kolegi z Warszawy? hohoho! I cóż tu robisz?“ — „Wszak mówię otwarcie, że idę w misji do Litwy z polecenia naczelnego wodza.“ — „Litwini nie czekali mój kochanku.“ — „To źle, bo gotowi pokrzyżować plany.“ — „Stało się,“ odparł kapłan poprawiając sobie siwych włosów, co mu na oczy spadały; „młodość płochość, a jeżeliś w sprawę wtajemniczony, domyślisz się, kto gorąco kąpany.“ — „Nikt inny, chyba Julian Grużewski z Kelmy.“

„A no kiedy panowie wiecie tok całéj patrjotycznéj sprawy, więc słuchajcież, co się stało.“ — Przez dwa miesiące czekała Litwa na rozkaz z Warszawy. Dlaczego dyktator Chłopicki odwlekał wezwanie Li-

twinów do akcji, chyba Bogu wiadomo. Wszyscy patrjoci czekali na to wezwanie. Niecierpliwy Grużewski porozumiał się z Dobrasławem Kalinowskim i z dwoma braćmi Stanowiczami, pozbierali z dóbr swoich ludzi. On z Kelmow wyruszył z 400 piechociarzami i 50 jeźdźcami, na pół drogi przybyli Stanowicze ze swoimi i o północy uderzyli na miasto Rosienie. Moskale z nienacka napadnięci, potracili głowy i ze strachu poddali się zupełnie. Otóż zaraz zabrano z magazynu broń, amunicję i uzbrajano powstańców, co byli z kijami przybyli na nieprzyjaciela. Słyszałem z ust pewnych, że się to stało 25 na 26 marca o północy, 2000 gwerów i 50.000 rubli stały się zdobyczą dzielnych Litwinów. Przez cztery dni bawili zwycięzcy w Rosieniu; nadszedł nareszcie moskiewski pułkownik Bastolomaj z 1200 ludźmi i 4ma armatami; widząc przewagę, cofnęli się powstańcy, zebrali jednak większe siły i po upływie dni 8 wyparli do Prus Moskali. Parę dni temu jak byłem w Prusach we Wielborku, opowiadał mi to naoczny świadek, kupiec, który przyjechał z Tylży i tam widział tych Moskali. Co się dalej stało i dzieje, nie wiem, ale ten fakt prawdziwy, za niego ręczę.“

Owa nowina rozgorączkowała obu Litwinów ogromnie; Przecławski rzekł w uniesieniu: „Proboszczu! na miłość naszej ojczyzny błagam cię, daj nam przewodnika, abyśmy mogli dostać się albo ku Augustowu, albo przez Prusy do Rosienia.“ — „Dobrze, co mogę to uczynię, zaczekajcie,“ i wyszedł z pokoju. Proboszcz wyszukał we wsi zaufanego przewodnika, aby przeprowadził nocą misjonarzy na pruską stronę. Jednak wieśniacy nie wierzyli, aby ci dwaj podróżnicy należeli do polskich legionistów, zwłaszcza, że ich w podejrzenie wprawiła Zochna dziewucha. Jedni nie mówili zgoła nic, ale inni nie mogli strawić szpiegów moskiewskich, za których ich trzymali, wybrali tedy z siebie 2 deputatów, i posłali do Ostrołęki, kędy polskie stały wojska, by łapały szpiegów.

Ciemnym wieczorem opuścili misjonarze pomieszkanie proboszcza, udając się na całą noc w podróż. Tymczasem Zochna namawia kilku chłopów, aby złapali szpiegów i odstawili do Polaków, niech zginą niecnoty. Chłopi też zaczaili się w krzakach, pochwycili, powiązali, wzięli podwodę i tak powiązanych włożyli na wóz wiozac ku Ostrołęce. Przeprawiwszy się przez rzekę Omulę, jechali drogami wiejskiemi. Naraz siedząc między chłopstwem zuchowata Zochna, zobaczyła zdala etap wojska moskiewskiego maszerujący. Wykrzyknęła: Moskale! Chłopi się wzdrygnęli; popatrzył się jeden na drugiego, przewrócili wóz, wywalili dwóch nieszczęśliwych powiązanych powrozami do rowu, wsiedli razem na wóz, uciekli nazad, zostawiając na pastwę podróżników. Któż sobie nie wyobrazi strachu tych dwóch wysłańców.

XIX.

W niemniejszém także niebezpieczeństwie znajdowała się Lida pod Terespolem. Na przeciwnéj stronie Bugu bowiem Brześć Litewski ważną jest obronną pozycją. Dwie fornalki pod dozorem gajowego przywiozły według rozkazu owies i stanęły w Kobylanach. Chłop jakoś półgębkiem zmówi się z równym sobie; gajowy na cztery jak mówią bity, zobaczywszy w buréj opończy człowieka mającego baranią wysoką czapę na głowie podobną do batorówki, zapytał: „zkąd wy?“ Chłop przypatrzył się z pod chmury, przewrócił białe oczy, że mu się tylko wilczym zaiskrzyły blaskiem, i na odwrót zapytał: „a wy zkąd?“ Gajowy odpowiedział bez zająknienia: „Od Włodawy przywieźliśmy owies do magazynów Terespola, popasiemy tylko konie i trzeba nam się wlec, aby oddać przed wieczorem.“ — „Moskalom?“ zapytał chłop jeszcze dzicéj przypatrując się gajowemu. — „Tego nie wiem, tylko mi kazała pani odwozić 2

fury i czekam na nią.“ — „A jak też tymczasem przybędą Moskale i zabiorą sami, bo ich się wali od Brześcia jak śmiecia.“ — „Oni swoją drogą, my swoją, co nam do Moskali, w Litwie ich się boją, ale my zupełnie nie, bo jak wleźli do Polski tak wyjdą, mamy w Bogu nadzieję.“

Gdy tak rozmawiają z sobą, przyjeżdża stary Krywa, ów niczém nieustraszony rybak i towarzysz Lidy. Gajowy zapytuje: „A pani czy jedzie?“ — „Wszystkie trzy młode, stara została w domu.“ — „Ale ot człowiek mówi, że z Brześcia Litewskiego do Terespola maszerują Moskale.“ — Krywe skrzywił ustami, zamyślił się, nareszcie rzekł śmiejąco: „Przecie głupie te Litwiny, nie obronić się było, oni może czekają, aż im Polacy pomogą, a sami nie biorą się do roboty.“ — Chłop litewski obejrzał się na wszystkie strony i rzekł: „My czekamy na rozkazy, właśnie odprowadziłem jednego naszego pana i czekam na jego powrót z Warszawy, a jego nie widać, pozamawiałem wszystkich przewoźników na Bugu, chwaty tutaj chłopy, trzymają z panami tak samo jak u nas.“ — Krywe uścisnął za rękę Litwina: „Jeżeli na tych czekasz co myślisz, nie doczekasz się.“ — Litwin się zadziwił, a Krywa mówił daléj: „pan Przecławski z panem Wołowiczem poszli koło pruskiéj granicy.“

Litwin obziera się znowu na wszystkie strony, ściska Krywę, mówiąc: „Góra z górą się nie zejdzie, ale człek z człekiem to podobno zawsze. Powiedz mi staruszku, zkąd jesteś, że takie opowiadasz prawdziwe nowiny; ani ja cię znam, a tém mniéj ty mnie, a o jedném zgodziły się nasze usta. Mnie już wysyła pan Przecławski z Różany po trzeci raz w te tu strony, abym się wywiadywał o synie, czy przeszedł Bug szczęśliwie. Szedłem trop w trop za nim, i dowiedziałem się, że pod Kładnową przeprawił się na tamtą stronę. Teraz mam zlecenie, żebym go czekał w Terespolu, jak bę-

dzie powracał nazad; u nas ze wsi do wsi ruszyć się panu nie wolno, więc mnie wysłał, żebym mu jako ułatwił do domu przeprawę.“ — „Nic z tego mój poczciwy, raczéj Bóg cię zesłał, abyś nam przetorował drogę.“ — „A wy co za jeden mój panie?“ — „Nie panuj mi, jestem chłop jak i ty równy tobie, Litwa mnie wydała na świat, żywiła i tam chcę złożyć kości moje, tylko niech zaprowadzę klejnot rodzicom, o który może dzisiaj łamią sobie głowę.“

„Ale“ rzekł Litwin, „nie mogę pojąć, jakby nasz panicz mógł z Wołowiczem udać się na pruską granicę, kiedy kochanka utopiła Wołowicza?“ — „To i ty wiesz o tém?“ — „Przecie mi nie zataiła pani Przecławska“ — „Zaczekajno na chwilę, może ci się wyjaśni owa sprawa, a przekonasz się, że nie wszystko prawda, co ludzkie rozgłaszają języki.“

Za czas niedługi przyjechały trzy panny eleganckim wózkiem. Litwin się patrzy i pyta Krywy: „co to za panie się przybliżają?“ — „Jednę ci pokażę co umie topić ludzi.“ — Chłop się zagapił; Lida przybliżyła się do rybaka: „jesteśmy, czy jest nadzieja?“ — „Bóg nadzieją utrapionych, jemu zawdzięczamy przysłanie nam anioła stróża.“ — „Jak to?“ — Rybak wskazał na Litwina i szepnął: „umyślny posłaniec od pana Przecławskiego.“ — Zarumieniła się z radości. Dwie panny przyszły także ku gajowemu i zaczęły szeptaninę. Litwin patrzy się raz na Lidę, drugi raz na panienki, poskubnął za trok Krywę: „przebrane?“ — Krywa się uśmiechnął: „Nie bój się, dziewczęta owe odprowadzają tę, która niby utopiła Wołowicza.“ — „A do Bugu z nią,“ sarknął głośno Litwin. — Lida usłyszała tę mowę, zrozumiała o co chodzi i wyrzekła: „Krywe ratuj!“ — „Nie bój się córko, wszyscyśmy tu swoi, zachodzi małe nieporozumienie, które się potém wyjaśni.“ Przybliżył się do Litwina: „nie myśl tak, bo Wołowicz żyje, tylko rozpuszczono umyślnie wieść taką,

aby zagałuszyć Moskali.“ — „Tak?“ — „Jak Bóg miły, tylko teraz masz nas przeprowadzić przez Bug, bo już na własnej ziemi damy sobie rady.“

„Przez Terespol ani rady, Moskal leży na Moskalu, na moście rewidują nietylko mężczyzn, ale nawet wszystkie kobiety, a na takie niebezpieczeństwo narazić takie osoby nie mogę. Radziłbym, jeżeli macie jakie zlecenie, dajcie mi je, zaniosę do pana Przecławskiego, a on głowa potrafi wszystko.“ — „Nasze zlecenie w gębie, a tak wielkie, że się do twej nie zmieści; darmo! zresztą jakby cię napadli gdzie kozacy i zaczęli częstować nahajkami, wyśpiewałbyś jak kanarek niepotrzebnie godzinki, lepiej stań się niemym, a zaprowadź nas w bezpieczne miejsce.“ — „Nie wierzę wam, radźcie sobie sami, jeżeli mnie tu pan Przecławski posłał, znakiem, że mi ufa.“

Tę mowę dosłyszał żydzisko, a wiemy z doświadczenia, że ten naród chce służyć i Bogu i szatanowi, byle mu sypnął złoto; przyczepił się do gości, przypatruje się, rozpytuje, nastręcza się z grzecznością i usługą. Panny z natury bojaźliwe, podejrzywały tego faktora, nalegały też, aby tylko jechać nazad do domu. Naraz zgubił się żydek. Ostrożna Lida rzekła do koleżanek: „Uciekajcie do domu, zdaje mi się, żeśmy zdradzeni.“ — „Nie może być,“ odpowiedziały dziewczęta, „mamy paszporta, co nam kto zrobi; niech chyba się skryje ten stary z Litwinem.“ Ledwie że obaj Litwini wynieśli się z gospody, przylatuje policja. Panny się zmieszały, bo oficer rosyjski zapytuje: „gdzie są ci dwaj wieśniacy?“ Gajowy wyręcza panienki w odpowiedzi: „jacy wieśniacy?“ — „A ci, którychście przywieźli szpiegów; do aresztu.“ Żołnierze obstąpili wszystkie 3 panny i gajowego, i prowadzą.

XX.

Na Porzeczu było tęskno i smutno; pan Wołowicz ojciec, starzec pokryty siwizną, lubo był patrjotą zagorzałym, przecie zatęsknił za synem. Wiedząc, że los okropny spotkał młodziana, albowiem doniesiono mu z Merecza, iż utonął w Niemnie: „darmo,“ rzekł do swéj małżonki Marji, „padł nań los; lecz truje nas, aniśmy się spodziewali, że téj haniebnéj śmierci była Lida przyczyną.“ — „Jak sobie kto pościele, tak się wyspi,“ odpowiedziała z westchnieniem pani Wołowiczowa, perswadowałam: niestosowna dla cię partja, nie uczepiały się moje słowa ani głowy ani serca; zresztą możeby było i do tego nie przyszło, ale znajomość z Przecławskim rozdmuchała zarzącą się już iskrę, zapalił się chłopczyna, zamiast udania się wprost na Brzeście do Warszawy, pojechał przez Merecz robiąc niepotrzebne opętane koło, przyczyniając sobie o 2 części drogi.“

Gdy tak smętni rozmawiają małżonkowie, przybywa na próg dworski włościanin. Zobaczył go dziedzic przez okno i rzekł do żony: „Stary Hryńko stoi przed gankiem, nieboraczysko i on przepasł syna.“ Zadzwonił potém na służbę i przybiegł lokajczyk. — „Idź i powiedz Hryńkowi, niech tu do pokoju prosto przychodzi.“ — Włościanin otworzył drzwi powoli i wszedł kłaniając się dziedzicowi do stóp nisko. — „Cóż mi powiesz Hryńku poczciwy, darmo żałować, zginęli nam synowie.“ — Włościanin popatrzył się na dziedzica, pobladł trochę, nareszcie uzyskał przytomność i rzekł: „Jaśnie Dziedzicu, zkądże takie wiadomości?“ — Dziedzic kiwnął ręką na znak potwierdzenia i dodał: „gdyby to przynajmniéj w batalji, żalby mi nie było, ale tonąć niepotrzebnie w wodzie, rzecz fatalna.“

Chłop się znowu pyta dziedzica: „Jaśnie Dziedzicu, a gdzie utonęli? bo w Mereczu co prawda nie!“ — Dziedzic pojrzał Hryńkowi w oczy: „Co znowu ple-

ciesz?“ — „Jaśnie Dziedzicu, na pierwsze słuchy, kiedy panicz pojechał z moim synem na złamanie karku do Merecza i tam się mieli utopić: porwałem z domu co mogłem pieniędzy i pobiegłem z intencją: przecie go znajdę w wodzie, bo ona trupa zawsze na brzeg wyrzuci, i pochowam jako katolika uczciwie; pytam się ludzi koło Merecza, co oni słyszeli? A wszyscy mi odpowiadają, że panicz skoczył z koniem z okropnego brzegu do Niemna, za nim jego towarzysze, kiedy ich gonili i już mieli złapać Moskale, i szczęśliwie wszyscy przepłynęli do Polski, jeszcze się śmieją ludziska, że pokazali Moskalom kupry.“ — „Doprawdy mój Hryńku?“ — „Jeżeli inni kłamali, to ja powtarzam za nimi, ale tem ludzie nie plamią kłamstwem języka, ciesząc się okropnie, że się tym zuchom tak udało.“

Dziedzic otworzył jedno podwoje do przyległej komnaty i zawołał: „Maryniu, Jmość moja proszę, bardzo proszę!“ — Dobrodziejka, kobieta stateczna, ranny mając jeszcze strój na sobie, weszła; Hryńko zbliżył się do dziedziczki i pocałował w rękę, ona go zaś po twarzy głasnęła, rzekąc: „Mój poczciwy, utraciliśmy oboje naszych synów, zostajemy sierotami.“ — Hryńko spojrzał się na dziedziczkę: „Ej Jmościnko, właśnie mówimy z panem dziedzicem o tém, a to nieprawda!“ — Dziedziczka spojrzała na męża. Wołowicz wyczytał w jéj oczach promyk nadziei i dodał: „Słuchaj Maryniu, co Hryńko opowiada, był na miejscu w Mereczu, Michał przepłynął Niemen i uciekł przed Moskalami.“

Dziedziczka wypytuje Hryńka, który odpowiada: „Nie zmyślam Jmość pani dziedziczko, użyłem niemało biedy, strachu, ale mi się opłaciło, bo mnie pocieszyli Mereczanie, że nasi misjonarze nie utonęli, tylko przejechali do Augustowa szczęśliwie! Tylko mnie zasmuciło, co pan dziedzic powiedział, iż zginęli, a chybaby w Polsce gdzie, czemu nie wierzę, bo tam naszych nie zabijają ludzi.“ — „O Polsce niema mowy mój Hryńku,

mnie smuciła nowina z Merecza, ale kiedy tak, jak sprawdziłeś, chyba musimy Bogu i Matce Najś. podziękować za ocalenie. Tylko mój Hryńku, czyś ty nikomu nie objawił w Porzeczu co sprawdziłeś?“ — „Tylko moja wie i syn, zresztą nikt.“ — „Nie mówże już nikomu, wiesz może o tém, żem sprawił nabożeństwo za duszę syna, dałem obiad, wypominają jego duszę w kościele, a on może żyje.“ — „Nic nie szkodzi, i moja żona tosamo dała za duszę syna jałmużnę, od sołtysa we wsi do komornika wiedzą o tém, że się mi utopił; dlatego nie nakładają na mnie kontrybucji, bo jakby wiedzieli Moskale, że on się bije za Lachów, miałbym się z pyszna.“ — „Pst Hryńku, ani murmur, a czekajmy co Bóg dla nas nagodzi.“

„Jaśnie panie Dziedzicu, co miał nagodzić, już jest, daremno się panicz trudził daleko, kiedy bliżéj to samo.“ — „Co mówisz? czy re....?“ i zatrzymał sobie dłonią gębę. — Hryńko się obejrzał na wszystkie strony, bo mu się zdawało, że w drugim pokoju coś stuknęło, położył palec na usta i wyszeptał: „w Trokach poddali się Mos...“ — W saméj istocie kręcił się lokajczyk, bo ci ludzie są ciekawi a mają bardzo cienkie uszy. Pani Wołowiczowa nakazała się wydalić oberwusowi, potém rzekła: „Więc u nas zgotowało się, co było napięte?“

„Będzie bękart Jmość Dobrodziejko,“ rzekł Hryńko, „bo jedni się ruszają, a drudzy się boją.“ — „Zkądże wiesz?“ — „Nie darmom chodził po świecie; w Świsłoczu pan ani słyszeć chce, mimo iż wszyscy chłopi na prawdę się do sprawy zabierają, a przecie go chwała Bogu stać, mógłby postawić ze dwa pułki.“ — „Nie posądzaj człowieka, o którym mało wiesz!“ — „Ba, będąc w Mereczu, poznałem po oczach ludzi; mówią, że szewc najbrzydsze na świecie stworzenie, a tam w Mereczu szewcy zakasowali pana ze Swisłocza, wszyscy za Polską na Moskala, najbardziéj zasię wodzi rej rybak, bo przeprowadza na tamtą stronę. Zaprowadzono

mnie do niego, nie zastałem tego zucha, tylko jego żonę, mówię Jmości siedm czarownic zakasuje, ino się na człeka przypatrzy.“ — Rozśmieszyła panią Wołowiczowa ta mowa. „Hryńku, a twoja stara czy tak patrzy?“ — „Oh Jmościnko, zachowajże ją Boże! lecz nie taki djabeł czarny, jak go malują, rybaczka brzydsza nad straszydło od kapusty, za to co za serce, co za dusza! ona nieumiejąca pisma, rozpisuje do wszystkich na okolicę, co się w Polsce dzieje; nie umie rytmanić, a na łódkach przez Niemen przenosi powstańców, nie ma pieniędzy, a pieniądze rozdaje; to sztuka.“

„Hryńku nie powtarzaj, co nierozsądni gadają, o takich cudach nie rozpowiadaj, bo ich nie było ani będzie.“ — „Ha panie Dziedzicu, gdybym nie był przy tém, nie patrzał się, nie mówiłbym słowa; ale zajechawszy do Merecza, zaprowadził mnie szewc poczciwy do niéj, abym się przekonał, co się z paniczem stało. Nad brzegiem rzeki stoi licha chałupina, powiedziałbyś, że niema czém wykłuć zęba, sam mając parę rubli, zlitowałem się i chciałem ofiarować téj kobiecie jako jałmużnę. Tymczasem przyprowadzają tamże 10 chłopców, co im tryskała z twarzy krew i mleko, ona daje z jednéj kieszeni jednemu 10 rubli, drugiemu i trzeciemu i ostatniemu, zgłupiałem patrząc się, zkąd tych pieniędzy bierze; porobiła im na czole ręką krzyża znaki, rzekąc: jutro bądźcie gotowi! Za chwilę przychodzi znowu 5 chłopów jak dęby, ona wyjmuje z kieszeni pieniądze i daje każdemu po 10 rubli. Przeżegnałem się trzy razy, bojąc się, aby mnie nie skusiła; widzi pan Dziedzic, skutkowało, dała mi 10 rubli na drogę, mówiąc: abym szedł do domu, a nie powiadał nikomu.“

Przerwał dziedzic: „ona rozdzielała pieniądze nie swoje.“ — „Nie dam się przekonać panie Dziedzicu; a zkąd brała kartki pisma, że nie pisała a rozdawała? czym nie przyniósł do Swisłocza i nie oddał samemu dziedzicowi? on rozwinął, czyta, kiwnął głową, ani się

mnie zapytał, zkąd przybyłeś, tylko zaraz do mnie: Cóż nowego w Mereczu, czyś widział dużo Moskali, ha?" — „Idź Hryńku do domu, nie zdradzaj nikomu tajemnicy, rozumiesz." — „Panie dziedzicu, jeszcze jedno." — „Coż takiego?"

„Pan sędzia z Grodna odebrał Moskalom już Troki." — „Wiem o tém, nie nowina, wyrychlił się jak Filip z konopi." — „Łaskawy dziedzicu, i pan z Różanéj ma się wyrychlić, wiem od chłopów, że wszyscy są w pogotowiu, ino przyjedzie, bo go w domu niema." — „A gdzież się powlókł?" — „Powiedziałbym, ale..." — „Nie bój się." — „Tak mówią jego poddani, że się zemści za syna." — „Na kim?" — „A juścić na pannie Lidzie, bo ona obydwóch paniczów do téj sprawy pociągnęła." — „Nie baj." — „Powtarzam, com słyszał od mego brata, który musi Moskwie służyć." — „Jeżeliby dla Moskwy trudnił się szpiegostwem, warta gałęzi." — „Tak źle nie jest panie dziedzicu, właśnie złapali go u pana Przecławskiego z listami, wpakowali za to w zołdaty. Lecz on sobie i tam poradzi."

„Nie mów już o tém, raczéj chciałbym zasiągnąć o synie bliższych wiadomości, a do Polski dostać się trudno." — „Ej panie, jabym się założył, że mnie nie złapią." — „O cóż tedy?" — „O sukmanę, bo moja podarta; pójdę do saméj Warszawy, a nikt mnie nie złapie, nie potrzebuję nawet paszportu." — „Zgoda Hryńku — dwie kapoty ci nowiutkie sprawię; żal mi okropnie syna, pocieszyłeś mnie zasię nadzieją, że on żyje, sprawdzijże te nowiny."

Po odejściu włościan rzekł Wołowicz do żony: „aleśmy grubo zgrzeszyli przeciw Lidzie i jéj familji." — „Któż wie, czyli nieprawda, jéj niema i syna niema, albož w dwóch zakochanych sercach nie mogła powstać zemsta?" — „Cóż tedy mamy czynić żono?" — „Sądzę, czekajmy, abyśmy się niepotrzebnie nie wyjęzyczyli, bo nam zagrożą kontrybucją, a tak oklepali już

w okolicy o nieszczęśliwém małżeństwie, jak się rozbiło, więc tém lepiéj, możemy siedzieć sobie spokojnie; nie sprawdzi się owa historja, co daj Boże, pokochamy więcéj narzeczoną przyszłą synowa." — „Masz po części słuszność, ale wiesz moja Jmość, jabym się puścił z Hryńkiem ku Warszawie." — „Nie szalej na stare lata." — Żadne szaleństwo, tylko powinność dla ojczyzny, czy nie słyszysz ewangelji: Jeżeli ci wół lub osieł wpadnie w dół, czyż go nie wyratujesz w dzień sobotni? Dziś właśnie sobota, nasza ojczyzna wpadła w skarpę, nieprzyjaciele pozastawiali jéj wyjście, obowiązkiem dzieci, aby ją ratowały." — „Mężu przeargumentowałeś mój rozum, serce i duszę, jam Litwinka i daję ci moje błogosławieństwo. Idź natychmiast!"

XXI.

Wołowicz pożegnał swoją małżonkę czule, przebrał się u Hryńka za wieśniaka i poddał się chłopskiemu rozumowi, który przyrzekł solennie, że zaprowadzi do Warszawy. — Tak stary Wołowicz, usłuchawszy chłopa dającego mu odwagę, szedł z wioski do wioski, najwięcéj nocami i kryjomemi ścieszkami ku Białowiejskiéj puszczy. Obeszli Kamieniec litewski ładną mieścinę, skołysali się nad rzekę Leśnę, która płynąc wężowato pomiędzy góry i lasy, stała się ich przewodnikiem ku samemu Bugowi. Tu ich ostrzegli włościanie: niech się nie ważą pójść ku Brześciu, bo tam masami napłynęło Moskali; może się zjawi w téj okolicy wódz polski, to ich wypłoszy, czekajcie!

Piękne słówka spodobały się Wołowiczowi, namówił Hryńka: zostańmy! Hryńko jednak niespokojnicki, nie mógł dosiedzieć na miejscu i zostawił pana, sam zasię dufając własnemu przemysłowi, puścił się do Brześcia. Kupił worek, parę garncy lnianego siemienia,

dźwigał na ramieniu, idąc z wioski do wioski, pytał się o siemię. Tak zaszedł do samego Brześcia; rosyjscy żołnierze puścili do miasta prostego Rusina, łaził tedy bezpiecznie, a wszędzie strzelał oczyma, czyli go nie zaczepi młody Przecławski. — Ale jakże go miał zaczepić, kiedy nie było go w tych stronach.

Leon leżał wówczas w rowie powiązany, nieśmiejąc wołać: ratuj! bo niedaleko szosą ciągnęli Moskale, i według zwyczaju śpiewali hultajskie pieśni, piszcząc i wrzeszcząc jako istna przeciągająca dzika horda. — Wołowicz zasię był śmielszym, rzekł tedy do Leona: „ale się nam udaje misja, kobiece błogosławieństwo a tureckie nabożeństwo podobno błazeństwo.“ — „Cicho Michale, na włosku nasze życie, ktoś się zbliża!“ — „W saméj istocie zbliżało się dwie osoby, Zochna z jakimś mężczyzną. Leon poznał dziewojkę i zgrzytnął zębami: „Patrz, wlecze się za nami żmija!“ — „Gdyby nas tylko rozwiązali, poczęstowałbym ją, żeby jéj wyleciały zęby.“

W téj chwili zbliżyła się Zochna, usiada przy leżących nic nie mówiąc, a mężczyzna się śmiać zaczyna: „Wstawajcie baranki!“ — Leon krzyknął: „Izydor! chyba cię Bóg do nas zsyła!“ — „Nie mówiłem, że wasza misja skończona, jeżeli się udacie tą stroną? dlategom opuścił Warszawę i spieszę krok w krok za wami; macie szczęście, żem przybył, lud mniema, iżeście moskiewskie szpiegi, aż mi się zimno zrobiło. Tymczasem uciekajmy w przeciwną stronę, dopóki nie przesmyczą się Moskale.“ — Zochna, Izydor i dwaj zagorzali misjonarze udali się do pobliskiéj wsi, w celu dalszéj narady.

Tu mimo sumiętowania się Izydora nie chcieli wierzyć włościanie, jakoby przyprowadzeni misjonarze nie byli moskiewskimi szpiegami, bo Zochna to półgębkiem to mimiką ostrzegała włościan, wprowadzając w podejrzenie podróżników. — „Zacięta kobieto!“ rzekł Wo-

łowicz, „dlaczegóż podrywasz nam nogi, aby nas złapali Moskale?“ — „Bo im służycie.“ — „Jakto? zkąd masz dowody?“ — „Albom to nie była w Warszawie?“ — Zadziwili się Izydor i misjonarze: „Ty w Warszawie? a po co?“ — „Mam się zwierzać z tajemnicą, chybabym wolała zginąć!“ — „I gdzieżeś nas widziała?“ — „Jeżeli mnie za język ciągniecie: u Hofmanki.“ — „Ty u Hofmanowéj?“ — „No u Hofmanowéj.“ — „Umiesz czytać?“ — „Cóż wam do tego?“ — „Zuchwała!“ — „Niech będę, a mówię wam w oczy, żeście moskiewscy szpiegowie!“ — Wieśniacy popatrzyli się na Wołowicza i Leona, pokiwali głową, rozeszli się i nie chciał żaden we wsi przenocować podróżników.

Ciemnym wieczorem zbliżał się oddziałek Moskali do wsi; postrzeżony przez mieszkańców, narobił trwogi. Każdy szemrał: widzisz, posłali naprzód szpiegów, abyśmy się wyjęzyczyli, co myślimy; prawdę nam mówiła dziewucha, niech jéj Bóg da zdrowie, żeśmy nie słuchali mów tych ludzi. — Każdy w domu i poza domem chował też co miał pod ziemię. Gdy oddziałek wszedł do wsi, zapytuje oficer sołtysa, ażali nie widzieli buntowszczyków Lachów? Chłopy kłaniają się nisko, mówiąc: „Nic tu w tych stronach nie słychać, chyba byli tu przed chwilą po polsku przebrani ludzie wasi, ale poszli na lewo.“ — „Kto taki?“ pyta oficer. — „Dwaj mężczyźni uzbrojeni.“ — „Zkąd oni przybyli?“ — „Tak nam ta dziewucha, co ich przyprowadziła, mówiła, iż od Prasznic się wleką.“ — „A jest tu ta dziewucha?“ — „Podobno była, ale nie wiem, czy jest.“ — Oficer nakazał natychmiast we wszystkich domach rewizję. Wszystkie kobiety doznały hańbiącéj trwogi od żołdactwa, ponieważ żołdaki przekręcili donos, że są buntowszczyki w gminie przebrani za kobiety, dlatego każdą kobietę rewidowali nie zakrywając rąk swych od wstydu. Okrutne barbarzyństwo dziczy!

Misjonarze pomiarkowawszy niebezpieczeństwo, uciekli w pola. Nie było nigdzie w pobliżu ani lasu, ani zarośli, okolica obfita w jeziora, bagna i sapiska, zarosłe dziką trzciną i suwarem. Wlecieli tedy w takie suwary po pas, zanurzając się w wodzie. Naraz usłyszeli kwik: „ne ujdesz! ne ujdesz!“ Był to głos za nimi wietrzących kozaków, którzy ujrzeli stopy ludzkie i puścili się za tym tropem. Czterech zagnało się w te suwary i ugrzęzli z końmi w błocie sięgającém po brzuchy koniom. Siłą się zwierzęta, jęczą, stękają, lecz ani rusz, tak ich zamknęły sapy. Kozacy pozłazili z koni, zostawili zwierzęta i wrócili się po jakie ratunkowe rekwizyta. Uciekiniery siedząc przyczajeni kroków tylko kilkanaście, truchleli na te kwiki, nawet parę razy zanurzyli się pod wodę, kiedy kozacy objeżdżali sapisko naokoło. Widząc, iż zostawiło kozactwo konie ugrzęzłe, wydobył się pierwszy Michał z téj kniei, przyforsował do koni leżących i stękających, kiwnął na Leona, ten się także przybliżył, i obaj zaczynają deptać ścieszkę w błocie, zerzadzili tedy kawałek spory, jednego konia wnet wyprowadzili na brzeg, za nim drugiego, wsiedli na nie i cwałem uciekli na nich nad rzekę *Skwę*.

Na szczęście zastają tu przewoźników siedzących na pramie i rachujących pieniądze. Wołowicz krzyknął: „Chłopcy, niema w tych stronach Moskali?“ — Przewoźnik poprawił czapy, patrząc się rzekł: „A wy co za jedni?“ — „Gdybym był Moskalem, nie pytałbym się o nich, rozumiesz!“ — „A tak, więc panowie uciekacie przed nimi?“ — „Cóż robić człecze poczciwy!“ — Przewoźniki ruszyli się spieszno, wprowadzili na pram konie, odbili od brzegu, forsują, bo była woda duża, aż przybili do przeciwnego brzegu. Podróżnicy zapłacili im sowicie, i upomnieli: „Nie mówcie nic nikomu, gdyby się was pytano o nas.“ — „Dobrze, dobrze, tylko panowie nie jedźcie ku Dębnikom, lepiéj

na lewo ku Kolnom." — „Dziękujemy serdecznie," odpowiedzieli podróżnicy i dali koniom ostrogi.

Tymczasem wrócili się kozacy ku bagnu, przywieźli z sobą sznury, by niemi wyciągali wgrzęzłe konie; dwa tarzały się w tém błocie, a dwóch niema. Dzikim wiedzeni zmysłem, przyszli na trop, że ktoś ujechał na dwóch koniach i zaraz domyślili się, kto był sprawcą téj kradzieży. Nie tracąc czasu, puścili się za tropem, który ich przyprowadził nad sam brzeg Skwy. Tu nie widząc ani przewozu, ani przewoźników, dumali na chwilę nad sposobem przeprawienia się na drugą stronę. Już postanowili uczynić odwrot, kiedy jeden odważny kozak puszcza się w nurty wezbranéj rzeki. Woda nie żartowała, tocząc bałwany obaliła konia z jeźdźcem, ani ich widać; po długiéj chwili o jakie stajan kilka, wychylił koń głowę i stęknął okropnie, woda przeniosła go na przeciwny brzeg piaszczysty; otrzepało się zwierzę z wody i poszło prosto w krzaki, nie obzierając się już na swojego jeźdźca, który zniknął w głębinie, znalazłszy słuszną karę, bo on najwięcéj dopuszczał się bezwstydnych ekscesów na niewinnych wieśniaczkach, zmuszając je do zeznania, kędy poukrywały misjonarzy. Same kozaczyska śmiali się z niego, że tak zginął marnie; żałowali tylko trzech koni, co im ubyły z szeregu.

W takiém zadumaniu jadąc nazad, spotkali dwoje na drodze ludzi, mężczyznę i niewiastę. „Co wy za jedni?" pytają. — „Jesteśmy od Dembnik," odpowiada wieśniak śmiało, „a byliśmy u doktora, by poradził na durzycę." — „Nie widzieliście buntowszczyków?" — „Oh nie," odpowiada kobieta, „tylko się tu wasi plątają ludzie." — Wieśniak spojrzał na kobietę groźném okiem, ona się trochę zmięszała, a kozak zmiarkowawszy podrywkę, mruknął na drugich, oni tedy obstąpili wieśniaków, mówiąc: „pójdziecie z nami." — Izydor zbladł, tak długo wywijał się przed matnią nie-

przyjaciela, płużył od Łomży do samej Warszawy kilka razy, naraz kilku kacapisków łapie go niespodziewanie. Zochna zasię nic się nie zlękła, szła ostro z wesołą miną rozmawiając z kozakami i sprowadzając mowę na misjonarzy; wyjęzyczyła się nareszcie: „właśnie idziemy za dwoma przebranymi buntowszczykami, którzy na naszą wieś sprowadzili nieszczęście, bo ją zrabowali Moskale z przyczyny, iż tamże nocowali.“ — „Dlaczego za nimi idziecie?“ pyta kozak. Izydor milczał, a Zochna znowu odpowiedziała: „Zemsta im!“ — „Tak, a wiecie wy, gdzie oni się znajdować mogą?“ — „Mamy poszlaki.“ — „Puścimy was wolno, tylko nam wskażcie drogę.“ — „Jakże mam wskazać, kiedy w przeciwną nas prowadzicie stronę,“ odpowie znowu Zochna, „oni się udali nad Skwę, a gdy się przeprawili, znajdziemy ich pewno koło Dembników.“

Roześmiali się kozacy: „Trudna przeprawa, jeden z naszych już tam utonął“ — „Bo nie wiecie, gdzie bezpieczna przeprawa.“ — „Prowadź nas Laszko,“ rzekł kozak, „wynagrodzimy cię sowicie.“ Zwrócili znowu tą samą drogą nad Skwę, i poczęstowali nawet Zochnę wódką. Izydor tylko milczał. Zochna wskazała na lewo i prowadziła ponad rzekę. Tak ujechali więcéj niż pół mili, zanim przybyli do karczmy.

Karczmarz był chrześcianinem, z pozoru człowiekiem bardzo miłym i usłużnym. Zagościło się 5 kozaków i dwoje pieszych podróżnych. Najpierwszém zapytaniem kozactwa było: „dawaj wódki!“ Naturalnie, któżby nie dał tego djabelskiego nektaru? Karczmarz postawił całą flaszkę na stole, wiara zaczęła popijać; postawił drugą flaszkę, wypróżnili kozacy, aż się też popili na dobre. Wtenczas Zochna złapała Izydora za rękę: „Uciekajmy!“ — Izydor osłupiał: „Co tyś zdradziła naszych, miałbym uciekać, nieukarawszy wprzódy ciebie? Karczmarzu, mamy zdrajczynię!“ — „Warta do rzeki?“ — Obaj porwali dziewuchę i wleką. Zo-

chna się szamoce: „Mnie chcecie topić za szpiegów moskiewskich, z którymi trzymacie?“ — Karczmarz odskoczył na te słowa, a Zochna krzyknęła: „ratuj mnie przed zdrajcami, dwóch urwiszów udaje polskich misjonarzy, tymczasem znam ich z Warszawy, że to Litwini co służą Moskwie za pieniądze.“ — Karczmarz wskoczył do domu, obudził kozaków, ci ze strachu otrzeźwieli, myśląc, że im zagraża okropne niebezpieczeństwo, wylatują i uwalniają Zochnę z rąk Izydora, co ją już miał zawleczoną nad samą krawędź rzeki. Złapali kozacy tedy delikwenta, powiązali, a dziewucha przestraszona dygotała okropnie mówiąc: „Prowadź nas karczmarzu gdzie do przewozu, bo mamy poszlaki, że koło Dembników znajdują się szpiegi buntowszczyki.“

Ta gmatwanina niezrozumiałych interesów wprowadziła karczmarza w zadumę. Zochna mówiła: oni są narodowi zdrajce; Izydor przeciwnie: wartają ocalenia. — To obopólne nieporozumienie nie mogło być na prędkości wygładzone, a karczmarz będąc patrjotą narodowym zagorzałym, więcéj uwierzył Izydorowi niżeli Zochnie, dlatego podał fałszywy kierunek drogi kozakom, i prowadził ich sam w kierunku ku Ostrołęce. — Ani się tedy spodziali wszyscy, że wlezą do łapki oddziałowi sławnego bohatera Dembińskiego; szwadron jazdy jego patrolując, zoczył kozaków, podsunął się śmiało, i dostali się wszyscy do niewoli.

Najkontentniejszy z tego obrotu był Izydor; nie mógł się nachwalić pomysłu karczmarza. Zochna też radowała się okrutnie, że wyszła cało z rąk kozaków. Znali ją nasi komendanci, albowiem ta dziewczyna odważna i sprytna niejedną zrobiła armji przysługę, wietrząc obozy nieprzyjaciela, do których się dostawała bezpiecznie, maskując zamiary swoje cudną urodą, za co jéj podchlebiali nawet Moskaliska. Téj saméj nocy, kiedy Dembiński miał uderzyć na Ostrołękę, byłby nie uczynił tego ważnego kroku, nie znając pozycji

nieprzyjaciela; Zochna przyniosła do obozu ustne sprawozdanie o sile nieprzyjaciela, oznaczając nawet miejsce, gdzie wiele armat stoi. Dlatego Zochnę przyjęli nasi mile i wypuścili zaraz, zatrzymali tylko kozaków i Izydora. — Zochna mając rozwiązane ręce, oznajmia naszemu wojsku, iż koło Dembnik znajdują się szpiegi moskiewscy. Naturalnie, że wysłano natychmiast kilku rajtarów w to miejsce ze Zochną na czele. Spieszą tedy w tamte strony. Jakież było zdziwienie, gdy zastali tu Wołowicza i Przecławskiego, owych niewysławionych patrjotów, którzy spieszyli do ojczyzny celem pomnożenia powstania. — „Nie, Zochno mylisz się,“ rzekł oficer, „znam z Warszawy tych ludzi, oni mają zlecenie od dyktatora, aby rozniecili w Litwie powstanie.“

Zochna się zadumała: „Nie może być, będąc w Warszawie u Hofmanowéj, słyszałam na moje uszy, iż dwóch przybyło Litwinów po instrukcje do dyktatora, ale im nie wierzą, bo powstanie wybuchło już w Litwie, a oni się włóczą po Warszawie, jeden nawet zakochał się w cygance.“ — „Haha,“ ośmiał się Wołowicz, „Zochno, przebaczam ci, ty poczciwa, tak jest, i jeżeliś dobrą patrjotką, daję ci zlecenie, udaj się ku Brześciu Litewskiemu i tam wyśledź moją cygankę, a może wy obie prędzéj zajdziecie do Litwy niż my, którym tyle zawad stoi co minuta na przeszkodzie.“ — „A czy poszedł z nią ten stary, co z panem chodził nierozłączony.“ — „Tak jest, on się zobowiązał, że będzie jéj stróżem aniołem, Boże pomagaj zamiarom jego.“

Gdy tak sobie rozmawiają Zochna, Wołowicz i Leon Przecławski w kryjówce stodolnéj u gospodarza, a konie polskich rajtarów uwiązane u płotu stały, wpada nagle chłopak wieśniaczy krzycząc zadyszany: „Moskale!“ — Rajtarzy dopadli koni i czmychnęli: Przecławski z Wołowiczem także uciekają na kozackich rumakach, sama Zochna została. — Przemyślna

dziewucha nie ulękła się zupełnie nieprzyjaciela. W momencie umiała wmówić w gospodarza, że ją prezentował za swoją sługę; ona też zaświadcza: „Wczoraj jechało tu dwóch na koniach, tak wyglądali jak kozacy i udali się w kierunku ku Ostrołęce.“ — Ten argument posłużył do zamaskowania uciekinierów przed Moskalami, bo ci jadąc za prawdziwym tropem, byliby ich z pewnością złapali.

Zochna samotna, nie wiedząc, co się dalėj z misjonarzami stanie, przemyśliwała nad wykonaniem prośby i polecenia Wołowicza. Kto może być owa cyganka? zapytała myśli swojėj. Kto wie, jeżeli nie ulubiona tego zucha? Muszę, rzekła sama do siebie, wynaleść tę osobę. — To niezłomne postanowienie wygnało ją jeszcze tego samego wieczora z okolic Dembników; poszła tedy krytemi drogami w przeznaczone okolice.

XXII.

Hryńko, chłopek chwacki, pożyczył sobie zmysłów u lisa; wąchał tedy koło Brześcia Litewskiego, jakimby sposobem można się dostać przez rzekę Bug na tamtą stronę. Włościanie byli wszyscy prawie jednego ducha, sprzyjali sprawie narodowėj, bo od Moskwy doznali byli dotąd wiele prześladowań i uciążliwości. Kto się tylko zwierzył przed niemi, że chce pójść z Litwy do Polski, aby walczył w szeregach narodowych, przeprowadzali go narażając się na niebezpieczeństwa. Wszędzie zasię była gęsto obsadzona granica. Hryńko wałęsał się po Brześciu litewskim, chłopstwo przyjeżdżało z podwodami wioząc dla moskiewskiego wojska magazyny. On tedy przymawiał się cichaczem do niejednego, ale furmani zmiarkowawszy, że człowiek obcy żąda od nich pomocy, oznajmili mu mrugiem ócz, niech milczy, zwłaszcza, że przy każdym wozie szedł jeden

albo dwóch żołnierzy jako eskorta. Mając przy sobie groszy trochę, zaprosił dwóch furmanów i dwóch żołnierzy do karczmy na wódkę, kazał dać szynkarzowi obfitą flachę tego grzejącego nektaru, opoił tak dwóch żołdaków, że ledwie trafili do wozu, położyli się bez duszy na wozie i chrapali na dobre. Chłopi stojący pytają go tedy w ogóle: „Co chcesz człowiecze?“ — „Zróbcie, abym się dostał na tamtą stronę.“ Przebrali go tedy za swego i przewieźli w Brześciu litewskim przez most do Terespola. Będąc w Terespolu, już się ośmielił, myśląc, dam już sobie rady. Żołnierzyska jeszcze spali, on strzelił w bok, i pędzi na lewo ku Kobylanom.

Na drodze spotyka się z furmanką; dwóch żołnierzy wiezie trzy panny. Hryńko spojrzał się na nie nagle, blade, zmięszane, zapłakane; poznał między niemi Lidę i wzdrygnął się, nie tracąc jednak przytomności, rzekł: „Sława Bohu!“ — „Sława!“ odpowiedzieli żołnierzyska. „Zkąd idziesz?“ pyta go żołdak. „Z Terespola, niosę siemię, com sobie kupił.“ — „Są tam Rosjanie?“ — „Nie widziałem ani jednego, tylko same Lachy.“ — Żołnierze popatrzyli się na siebie. Hryńko pyta: „a gdzie jedziecie?“ — „Odprowadzamy te trzy Laszki, co ich złapano na szpiegostwie, pójdą na hak.“ — Panienki się rozpłakały. — „Wracajcie, bo wpadniecie w ręce Polaków, ich pełno w téj stronie,“ rzecze Hryńko. — „A co ty prawosławny?“ pytają żołnierze. — „Prawosławny, prawosławny, wracajcie!“ — Żołnierze w kłopocie, a dziewczęta chciały go zjeść wzrokiem. Hryńko zasię rzekł: „bolą mnie nogi, nanurzałem się w błocie, pozwólcie, abym się przysiadł z wami, dam wódki.“ — „Horoszo,“ mruknęli żołnierze nawracając.

Hryńko przysiadł się wprost do ramienia panny Lidy na tyle, wóz turkotał. Hryńko upatrzył moment, obejrzał się, przysunął twarz do ucha Lidy i szepnął:

„Nie bój się panienko, ja idę szukać panicza!“ — Lida przypatrzyła się na chłopa z okropnem zadziwieniem, wysunęła rękę i uścisnęła dłoń jego: „ratuj!“ — „Nie bójcie się, ja was już wyratowałem.“ — Ten promyk nadziei dziwnie oddziaływał na usposobienie panienki, zaczęła być wesołą, tak że się jéj dwie siostrzyczki, dotąd tak smutne, nagle przypatrywały, nierozumiejąc téj zmiany wcale, ale słyszały owo szeptanie wieśniaka z Lidą i domiarkowały się, że ten człowiek tajemniczy.

Niedaleko Kobylan ujrzeli gospodę; Hryńko zeskakuje mówiąc do żołnierzy: „tu dostaniemy dobréj wódki.“ — Sierżant moskiewski nie chciał zleść z wozu; Hryńko pobiegł do gospody, przyniósł ogromną flachę, zaczął częstować sierżanta i żołnierza, nareszcie furmana, aż wypili, nabrawszy złotego humoru. Hryńko przynosi drugą i częstuje; żołnierzyska położyli gwery na wozie. Hryńko złapał nagle za broń z bagnetem, pchnął w jednego Moskala, nuż w drugiego z tyłu, ani nie wyszło dwóch minut już nie żyli; zewlókł furmana, rzucił do rowu, sam porwał lejce, trzasnął z bata i wjo! pojechał. — Z karczmy patrzył się karczmarz oknem na tę scenę, ale struchlał, widząc chłopa zaciętego, który powalił dwóch Moskali; ani tedy pisnął, trzęsły mu się tylko ręce, i pomyślał: „Dla Boga, co to będzie!“ — Gdy nareszcie nie było już wozu ani owych kobiet, tylko furman jęczał we fosie, wychodzi karczmarz do niego i pyta: „Człowiecze, zkąd ty wiozłeś tych ludzi?“ — „Jestem od Dokudowa, nakazali Moskale we wszystkich wsiach na podwody, rozjechaliśmy się, wpakowali mi w Kobylanach trzy panie i dwóch żołnierzy, abym ich wiózł do Terespola, tyle słyszałem, że mieli ich w Terespolu powiesić.“ — „Tak to? dobrze się Moskalom stało, kopmyż dół, aby ludzie niespostrzegli.“ — Wykopali tedy dół, pochowali dwóch Moskali, zatarli ślady krwi: „a ty,“ rzecze furmanowi karczmarz: „uciekaj do domu, ani się przyznaj teraz do wozu ani koni.“

Wózek się toczył szybko ku Włodawie. Hryńko podcinał konie co się zowie, i znowu wszystkie panienki znalazły się przestraszone u matki, ocalone z przerażenia, ani się przyznając, co zaszło w tak krótkiéj chwili. — Rozeszła się jednak wieść koło Terespola, że przeciągają polskie szpiegi poprzebierane za kobiety. Moskale zaalarmowani ową wieścią, dawali baczność na każdą kobietę, bo puszczono między nich i tę baśń, że te kobiety oficerów moskiewskich sztyletują. Temu zaś przypisać należy, że rybak Krywe z Litwinem, owym posłem Przecławskiego starego, bezpieczniejszymi byli między spłoszoném włościaństwem i prędzéj dostali schronienia i jedzenia, oraz przewodnika, niżeli którakolwiek kobieta; bo było zapowiedzianém i odgrożoném od Moskali, jeżeli w któréj chacie złapią przebranego szpiega za kobietę, wszyscy ulegną karze śmierci. Tak dosyć długo ukrywali się oba ponad Bugiem, przemyślając nad przejściem téj rzeki.

Razu pewnego siedzieli sobie w zaroślach, czekając na umówionych przewoźników. Niecierpliwy rybak wychylił się z krzaków i zobaczył chłopa, pyta go tedy śmiało: „Człowiecze, nie są tam przewoźniki?“ — „Nie widziałem ani jednego.“ — „A zkąd ty?“ — „Masz wiedzieć, jestem z całego świata.“ — „Nie mądra odpowiedź.“ — „Bardzo mądra dla przemytnika.“ — Rybak się ośmiał i zapytuje: „Jakżeś mnie poznał, żem przemytnikiem?“ — „Czyż ci Krywo nie patrzy z oczu?“ — „Kto jesteś, powiedz?“ — „Dobry człowiek, mój Krywo, idę ci oznajmić dobrą nowinę, twój anioł ocalony; kosztował tylko dwie moskiewskie głowy.“ — „Od Lidy?“ — „Nie inaczéj.“ — „Jakże ona wie, żeśmy w tém miejscu?“ — „Ona nie wie, tylko ja wiem, bo lud poczciwy wyjęzyczył się przedemną, że was dwóch ucieka przed Moskalami; domyśliłem się zaraz, wiedząc od niéj, że was dwóch Litwinów pierzchnęło przed strażą, zostawiwszy panienki na pastwę

dziczy.“ — „Tak! ale powiedz, co tu robisz i jakeś mnie poznał?“ — „Panna Lida opowiedziała mi wszystko, chciałbym tylko wiedzieć, co za jeden z tobą drugi?“ — „Jeżeliś od Wołowicza, to drugi od Przecławskiego.“ — „Bah! bah!“

„Mój Krywo! niema czasu do stracenia, przenająłem przewoźników, przyprowadzę tutaj panienkę przebraną, obaj tedy mamy ją przeprowadzić przez Bug, bo jéj zagraża wielkie niebezpieczeństwo.“ — „Powiedz co takiego?“ — „Niema czasu, szukaj mi twego towarzysza.“ — „On tu w krzakach.“ — Krywa wprowadził Hryńka do krzaków, gdzie siedział Litwin spokojnie. Hryńko się uśmiechnął, potrząsł rękę znajomemu: „witaj Iwanie!“ — „A ty Hryńku co robisz?“ — „To samo co i ty.“ — „Ja czekam na pana, który ma wrócić z Warszawy, pojechał bowiem, aby się zobaczył z synem.“ — „Wątpię, aby go widział, kto wie, gdzie on teraz.“ — „Nie byłbym Iwanem, abym go nie wyśledził.“ — „Mój kochany, mnie na Wołowiczu więcéj zależy, bo mu uratowałem Lidę, a niemam głowy, abym go gdzie znaleść potrafił, zwłaszcza jak mnie ona sama zapewniła, iż na upór poszedł koło pruskiéj granicy narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa. Zostawiłem ojca jego koło Leśny, zuch starowina, żal mi go, gdyby przynajmniéj można zaprowadzić jemu synowę, cieszyłby się niezmiernie, dopóki syn nie wróci, bo ta panienka odbyła już polski chrzest, warta takiego panicza; ale teraz zagraża jéj moskiewskie bierzmowanie, jeżeli ją z tych stron dziś na skrzydłach nie wyniesiemy, przepadła.“

Krywa krzyknął: „chybabym nie żył!“ — „Staruszku dokazałeś wiele, ale to wszystko niczém wobec dzisiejszego niebezpieczeństwa.“ — „Jak to?“ — „Zachorowała nam z przelęknienia, bo ona przecie młodziutka kobieta, jéj koleżanki opuściły ją, wyrzuciły z domu, mówiąc, że ich okropnego kłopotu nabawiła.

Ledwiem ją umieścił u wieśniaka tylko na przeciąg jednéj doby, i biegam tymczasem za przewoźnikami, abym ją przeforsował na drugi brzeg Bugu, tam mam już swojskich znajomych, ukryją mojego aniołka. Biegając z domu do domu, zastałem zgromadzenie u sołtysa, tam czytali na piśmie, aby łapali szpiega za dziewuchę przebranego, otrzymają grubą zań nadgrodę. Struchlałem, bo łakomstwo wtrąciło niejednego człeka w nieszczęście; obawiam się téj kobiety, gdzie umieściłem panienkę, bo jéj źle jakoś z oczu patrzy. Jeżeli tedy macie zgodzonych przewoźników, więc ja na wozie przywiozę chorą." — „Zgoda," rzekł Krywa, „czekamy, tymczasem zmówię się jeszcze z przewoźnikami." Hryńko pobiegł jakby opętany do choréj nieszczęśliwéj.

XXIII.

Stary Wołowicz nie mógł doczekać się na swojego powiernika Hryńka; a nazad wycofać się znad Leśny nie miał sposobu, gdyż coraz więcéj Moskali posuwało się w te strony; zapłacił tedy suto przewodnikom, i zaczął odwrot. Po długich zabiegach, uciążliwych ucieczkach przez knieje i lasy, dostał się do *Swisłocza.* Dziedzic dóbr tego imienia, pan Tadeusz Tyszkiewicz, trzymający się dotychczas od rewolucji na uboczu, przyłączył się nareszcie do sprawy narodowéj, albowiem zawitał w te tu strony jenerał Chłapowski, prowadzący mały korpusik dzielnych wojowników. Tu ożył duch narodu litewskiego. Stary Wołowicz zapomniawszy o doznanych przygodach, złączył się z tym oddziałem w nadziei, że przecie złączy się kiedy z ukochanym synem. Ztąd zrobił małą wycieczkę do dóbr swoich, oznajmiając żonie, aby zgodziła się z losem jego, że równo z synem chce służyć ojczyźnie.

Żona się zapatrzyła: „Wiesz mężu, co ci powiem?

Miałam gościa.“ — „Kogóż mów, bo nie mam czasu.“ — „Syn nam dotąd żyje, czy dalej przeprowadzi plany nie wiem, ale co Lida wyrabia, anim pomyślała.“ — „Cóż znowu?“ — „Przedwczoraj wieczorem przybywa do mnie wiejska dziewczyna, żądając, aby samotnie ze mną pomówiła. Myślałam, że mi coś powie o tobie; pytam: zkąd jesteś duszko? Pani, jestem bardzo z daleka, przynoszę zlecenie od syna, że szczęśliwie dąży do ojczyzny po nad granicą pruską; lecz o jego przyszłéj narzeczonéj donoszę smutną nowinę, bo udając się ku Brześciowi z przewodnikiem z Merecza, tam wpadła w ręce moskiewskie, jak ją zaczną męczyć Moskale, gotowa zdradzić wszystkie plany.“ — „Co mówisz, gdzie ta dziewuszka?“ — „Schowana.“

Ciemny wieczór zgromadził do osobnego pokoiku ludzi troje. Są to państwo Wołowiczowie oboje i Zochna choża, odważna dziewoja. Mała lampka migotała się mdłém światełkiem. Mówili długo, każde słowo wprowadzało w podziwienie Wołowicza. Wstał nareszcie, przypatrzył się Zochnie w oczy i rzekł: „czy prawdę mówisz albo łżesz? Jeżeli ostatnie, niedaleko stoi jenerał Chłapowski, on mi zrobi z tobą satysfakcję!“ — „To tyle podjąwszy trudów, mam być tak za to wynagrodzoną? pójdę nazad, powiem co jest Lida i w 24 godzinach po niéj.“ — Ta stanowcza odpowiedź zrobiła wielkie na Wołowiczu wrażenie, usiadł i zapytał głosem drżącym: „Powiedz mi, zkąd do takich przychodzisz wiadomości?“

„Gdybym nie znała pańskiego syna, nie fatygowałabym się, ani narażała na tyle niebezpieczeństw, ile podjęłam w téj chwili. Czy pan myślisz, że ja tylko sama jedna, co czyni ojczyźnie usługi? .Nasza pani Hofmanowa większym może dowodzi korpusem dziewcząt, niżeli jenerał Chłapowski, którym mnie straszysz. Zaledwie przybyłam do Warszawy, a już wiedziałam, że Lida kupiła dziecię i jako przybrana matka pra-

gnęła przedrzeć się przez granicę do Litwy, ale ją złapano; ledwie uciekła z téj matni, wpadła w drugą z trzema pannami, co jéj do Terespola ułatwiały przeprawę. Ona razem z niemi w rękach moskiewskich; ani chwili do stracenia, przybyłam umyślnie. Radź ojcze! mam wyraźne zlecenie od syna, abyś zachował ten klejnot, który zagrzewa jego serce do poświęcenia. Jadąc prosto z Warszawy na Brześć Litewski, dowiedziałam się akuratnie, iż złapano 3 panny w tamtéj okolicy; dzień a noc pędziłam tu do Porzecza, by zaradzić złemu, jeżeli ci miły syn, niech będzie miła synowa."

Wołowicz, który nad wszystko kochał syna, uwierzył przekonywającym argumentom Zochny, aż się zapocił nad myślami. „Dla Boga, co tu czynić?" — „Pieniądz rządzi światem panie łaskawy, daj pieniędzy, ja uwolnię narzeczoną." — Gdzieby tu, jakby tu, kręci się stary: „Żono wieleż masz w szkatule?" — „Parę set rubli za mało, tysiącem potrząsnąć trzeba," rzekła Zochna śmiało. — „Tyle nie mam gotówki," odpowiedziała Jmość matka, „ale zaczekaj, jutro, to się postaram." — „Jmość, téj nocy muszę być, stan wojenny długo nie czeka." — Wyrwała Wołowiczowa list zastawny na tysiąc rubli, dała Zochnie, rzekąc: „Czy mogę liczyć na słowa twoje?" — „Więcéj mi powierzono, a nie bano się, jeżeli nie mam wiary, masz Jmość pieniądze, schowaj sobie." Wykręciła się i buchnęła do drzwi zapyrzona.

Stary się zamyślał: „Żono! cóż robisz? dla Boga, nasze dziecko, idź no, zawołaj ją." — Wyszła żona, woła, pyta się, ale rozstąp się ziemio, Zochna znikła jak kamfora. — Nie dospał ani Wołowicz, wziął z sobą pieniądze i znowu manowcami konno pojechał w strony ku Brześciu Litewskiemu. Przybył po parudniowym marszu nad rzekę Leśnę i wstąpił do téj saméj chatki zadyszany, zostawiwszy na podwórzu konia. Chłopek

zobaczywszy dobrego pana, który go tamtą razą obsypał podarunkiem pieniężnym, rzekł z zadziwieniem: „Panie! spotkałeś się z Hryńkiem?“ — „A czy tu był?“ — „Nie sam, chwała Bogu, ale prowadzi jakąś dziewuchę, a jak ucieszony! poszli nad rankiem, daliśmy im dobrego przewodnika.“ — „Dajno koniowi co przegryść, by mi z głodu nie padła szkapina.“ — „Możeby się i pan pożywił?“ — „Mniejsza o mnie, zwierzę pierwsze, ono się nie przymówi.“

Koń gryzł całą gębą owies. Wołowicz odpoczywał trzymając się za kolana: „ałem sobie otłukł moje ciało-dźwigi djabelnie.“ — „My i temu poradzimy;“ rzekł włościanin, „niech tylko pan poczeka. A ty ciuro biegajno do miasta, kupisz okowity lub spirytusu, a ty kobieto poszukaj tymczasem ziela.“ — „Wołowicz się roześmiał: „Tak znowu mój kochany nie jest, abym się nie ruszył, ale na dorędziu dobra także okowita.“

Gdy tak rozprawiają z sobą, przychodzi sąsiad, zobaczywszy gościa, mrugnął na gospodarza. Ten wyszedł za nim do sieni, po chwili wchodzi: „Panie uciekaj!“ — „Co takiego?“ — „Uciekaj, bo my przy tobie nieszczęśliwi.“ — „Zmiłuj się człowiecze, pokaż mi przynajmniéj w którą stronę, gdzie niema Moskali?“ — „Gdzie chcesz uciekaj, już ich wszędzie pełno.“ — „Więc mi dajcie przynajmniéj chłopskiego waszego odzienia.“ — „Uciekajże pan, kwatermistrze tuż przed domem.“

W saméj istocie Moskali przyszło dwie kompanje do wioski, jako przednia straż oddziału; kwatermistrze biegali ze sołtysem za prowiantowaniem koni, nakazując włościanom, aby stroili siano, owies i przykąskę. — Drzwi się otwierają, włazi kapral i dwóch żołdaków z sołtysem na czele. „Co to za koń osiodłany?“ pytają. Chłop nie zapomniał w gębie języka: „jakiś pan jedzie do Brześcia, postawił konia na popas, a sam poszedł na meldunek do sołtysa.“ — Sołtys już miał na

końcu języka: nie wiem o niczém, — ale chłop spojrzał się na niego tak litośną żrenicą, że tenże zrozumiał tę ócz jego mowę, i rzekł: „Był, był u mnie pan, abym na paszport przyłożył pieczęć." — Żołnierzyska przesmyczyli się daléj, sołtys tylko obejrzał się na progu. — Czémprędzéj rozebrał chłop konia, wprowadził do stajni między bydło swoje, a siodło zakopał w stajni do dołu i przykrył gnojem, trzęsąc się okropnie, ażali nie złapią tego gościa Moskale. — Moskale jak przyszli, tak wyszli daléj, bo im się snać spieszyło.

Wołowicz podjadł strachu nie mało, bo pierwszy raz w życiu spróbował noclegu między bydlętami. Wpadł bowiem do wiejskiéj stajni, co była otworem, a pastuszę poiło tymczasem bydło. Wcisnął się pod żłób zakrywszy się słomą. Pastuszę przygnało krowy, uwiązało, zaparło stajnię i odeszło. On tedy odetchnął, ale bydlęta poczuwszy obcego, zaczęły fukać, ropotać się po stajni i mruczeć na gościa; chce ich głaskać, a te fukają jeszcze więcéj i tłuką się okropnie. Otwierają się drzwi; pastuch zobaczywszy brodacza, krzyknął: „złodziej!" zaparł drzwi wołając gwałtu. — Gospodarz razem z domownikami wylecieli, a pastuch krzyczy: „mam w stajni złodzieja." — Natychmiast porywa włościanin siekierę i nakazuje pastuchowi, aby otworzył. Złodziéj stał przy bydlętach, a widząc uzbrojonego chłopa, odezwał się litośnie: „Człowiecze, co robisz, ja nie jestem złodziejem." — „A co tu robisz w mojéj stajni?" — „Skryłem się przed Moskalami." — „Albo to prawda, chodź do sołtysa."

Złapał chłop za ramię Wołowicza i prowadzi. Sołtys poznał gościa, wiedział bowiem, że się był ukrył przed batiuszkami, zaczął się śmiać: „a to się Waszeci podarzyło? Puść tego pana, on swój, idzie do Polski." — Chłop nietylko że puścił z rąk Wołowicza, ale mu się do stóp ukłonił, przepraszając: „Panie, nie mogłeś to był skoczyć do izby, a nie poniewierać się było po

stajni, wszak ja już niejednego przechowałem w domu i przeprowadziłem wodą płynąc na tamtą stronę. Lecz teraz miej się pan na ostrożności, co dzień przesmykują się Moskale, nie zobaczy cię jeden, to drugi, a potem byłaby cała wieś nieszczęśliwa. Jeżeli chcesz się gdzie dostać, zaprowadzę pana bez obawy.“ — „A więc moi poczciwi, chciałbym się dostać do Terespola, tam podobno stoi załoga polska?“ — „Bajka panie, wszędzie jak prochu Moskali, zresztą teraz nic sam nie zrobisz, a kiedy się ruchawka formuje w Litwie, przyłącz się do nas, bo my także ku Grodnu pójdziemy.“ — „Jestem gotów moi kamraci, tylko mi powiedzcie, kto będzie waszym przewódcą?“ — „O to nie pytaj panie, już on się znajdzie.“

Wołowicz wrócił się tedy w swojskie okolice z 20ma towarzyszami uzbrojonymi w kosy i dzidy. Dzielni włościanie prowadzili go krętemi ścieszkami, nocowali zawsze w lasach, spożywając własny zapas chleba, który byli pobrali z domów swoich. — Po długich marszach, zasięgając od włościan pokątnych wiadomości, przybyła ta garstka nareszcie w okolice Kowna.

W téj ziemi powstał był Maurycy Prozor, nazbierawszy do 2000 samych włościan, z których ledwie 200 jakie takie posiadało strzelby, reszta zasię kije, kosy, lance. Czyż podobieństwem myśleć, aby z taką milicją porywać się na 6000 regularnego wojska, z dobrą do tego artylerją, co strzegło téj stolicy? — Prozor za nadto posiadał wiadomości, dlatego mimo nalegań zuchowatego ludu, który krzyczał: „rozniesiemy Moskala, tylko nas prowadź jenerale,“ skierował ku Janowu swoje kroki, i tu dodając ducha swoim, uderzył śmiało na małą Janowa załogę; poddała się ona, a Litwini zabrali magazyny, amunicję, kawalerzyskie mundury, co okropnie ducha podniosło.

Wołowicz chory przypatrywał się tylko téj walce z radością, bo był popadł w chorobę i leżał w polnym

lazarecie. Różne przesuwały się mu po głowie myśli: Czy prawda, że przyszła synowa rzeczywiście wydostała się z niewoli? Dlaczego żądała Zochna 1000 rubli a niedostawszy takowych, oddaliła się złośliwie? Kto mógł uprowadzić najpoczciwszą Lidę? Co się też z moim domem i małżonką dzieje? — Te myśli psuły jego duszę, potęgowały słabość, dostał bowiem z zaziębienia okropnéj gorączki. Chory majaczył w téj gorączce, wołając ciągle: Michasiu zdradził cię... oh dziecko strzeż się... bo kobiety... Tych frazesów nikt nie rozumiał, bo się też nie wiele troszczono o chorego, obtaczali go sami włościanie, zaledwie wody podając lub suchego chleba, a skoro pacjent nie chciał nic wziąść do ust, mruczeli sobie: już kiepsko z nim będzie, kiedy jeść nie chce, a chleb mu śmierdzi. — Prozor lubo był duszą całéj gromadki i znał Wołowicza, szanując go jako starca, nie oddał się jego pielęgnacji, mając pilniejsze na głowie obowiązki. Uczyniony wodzem z władzą dyktatorską, starał się o pomnożenie ludzi, o magazyny, prowianty, amunicję, zresztą czuwać musiał jako wódz nad nieprzyjacielem, by przeciąć Moskalom komunikację między Janowem a Wilnem i gotował się do odparcia ataku. Dlatego też, mimo iż mu doniesiono o chorobie Wołowicza, rzekł: Żal mi tego męża, ale pielęgnujcie go jak możecie, dopóki gdzie nie ulokujemy go w bezpiecznem miejscu. — „Ale," rzekł do Prozora oficer: „on majaczy coś o synie, kobietach." — „No, no, rozumiem ja, co on majaczy; dlatego właśnie że majaczy, zanieście go w bezpieczne miejsce, bo jakby go dostali w ręce swoje Moskale, przyszliby od nitek do kłębka, bo jego syn posłany jest do Warszawy celem uzyskania dla Litwy pomocy." — Nie zmyślał Prozor, wiedział on dobrze o misji Wołowicza i czekała na nią cała Litwa, ale jakże się miała doczekać, kiedy misjonarzom zagradzało drogę do ojczyzny tyle niebezpieczeństw!

Młody Wołowicz z Przecławskim jak wiemy, ledwie zdołali uciec przed moskiewską strażą koło Dembników. W te bowiem strony garnął się marszałek Dybitsch zabałkański z cesarskiemi gwardjami na zgniecenie Polski. Lecz już znowu znaleźli się w drugiem niebezpieczeństwie. Lud prosty zobaczywszy kozackie konie, myślał, że dwóch jeźdźców kozaków się włóczy; gdzie się tylko pokazali, nie chciał nikt podać im ani chleba, ani wody, ani koniom obroku, wymawiając się: Niema, wszystkośmy już do magazynów dali. — „Puśćmy do biesa te konie,“ rzekł Wołowicz do Przecławskiego, „bo tylko ludzi straszymy niemi.“ — „Lepiej je darować!“ — „Któż ci je weźmie, kiedy się każdy obawia.“ — „Dajmy obywatelowi albo księdzu.“ — „Dobra rada.“

Jadąc wieczorem górzystą okolicą niedaleko Kolna, spostrzegli z dala wiejski kościołek. Wołowicz dał trzymać swego konia Leonowi, a sam poszedł piechotą do wsi, i wstąpił prosto na plebanję. Pleban bardzo zacny kapłan, przyjął z początku z niedowierzaniem gościa, mówiąc: „Pan mówisz, iż jesteś powstaniec; ależ w czasach dzisiejszych pojedynczo chodzący ludzie są zawsze podejrzani.“ Długo też rozmawiał z gościem, wypytując się i zachodząc w różne okoliczności, aż tu wchodzi niespodzianie organista. Nie spodziewając się zastać gościa, ino wszedł za próg i zobaczywszy plebana, rzekł: „Jegomość dobrze słychać, zpod Łomży uciekają Moskale wtył, aż się kurzy za nimi.“ — Ksiądz nie kontent, mrugnął na organistę. Ten zasię nie rozumiejąc o co chodzi, rzekł: „Giełgut goni Moskali ku Litwie, żeby tylko wielkiego księcia złapali a urwali mu łeb, dałbym na mszę św.“ — „Pst,“ mówi proboszcz.

Organista zobaczywszy gościa, kiwnął palcem i wyszedł, pleban pospieszył za nim do sieni. — „Jegomość, w krzakach na górce stoją dwa konie i Moskal jeden z niemi, może to u Jegomości ten drugi?“ mówi orga-

nista. — „Narobiłeś mi warjacie!“ odrzekł ksiądz. — „Nie bój się Jegomość, wezmę dzwonnika i gróbarza, polecimy, odbierzemy konie i Moskala do kozy, a tego tu w domu się nie boję, złapię za gardło i koniec po nim.“ — „Ale warjacie zagorzały, cicho! nie pleć!“ — „Hoho! zobaczy Jegomość, my się tu z nimi sprawimy, bo to widać moskiewskie szpiegi.“ — Pleban mruczy, tupa nogą: „Dałbym ja tobie!“ ale organista nie słuchał i poleciał jak oparzony.

Pleban zachmurzony wpada do pokoju: „Panie, czy was dwóch? czy sam jesteś?“ — „Dwóch nas Dobrodzieju!“ — „Biegajże natychmiast po tego drugiego, przyprowadź, aby lud nie zrobił z panami jakiéj awantury.“ — „Czyś ich Dobrodziej tak przysposobił dla Moskwy?“ — Pleban nie umiał na ten frazes odpowiedzieć, chodził po pokoju. Wołowicz wstał rzekąc: „A więc żegnam Moskala kapłana!“ i wychodzi.

W sieni tymczasem stał się rozruch, dały się słyszeć głosy: „hoho! mamy was.“ — Gróbarz, organista i parobków kilku przyprowadzili kozackie konie, a z niemi pokrwawionego towarzysza. Proboszcz się przeląkł. Wołowicz ociera chustką Leona, mówiąc: „Bracie, odwagi, zdrada. Ksiądz niepoczciwy ten nas zdradził, pomsta mu!“ — „Co mówisz?“ odzywa się Przecławski, „ktoś szedł, koń mój się spłoszył, jak wzniósł nagle łeb do góry, tak mię uderzył w nos, i puściła mi się krew, tymczasem przyszli ci ludzie i prowadzą na plebanję.“ — Odetchnął kapłan: „ależ panowie, zkąd wy jako Polacy jedziecie na koniach kozackich nieodmieniwszy nawet kubraków?“ — „Dużo o tém mówić, proboszczu, prawda że konie kozackie, ale my Litwini, zdążamy do ojczyzny, która niestety zawcześnie powstała.“

Pleban ulokował u siebie gości; niestety w nocy Przecławski bardziéj zachorował, bo go koń potłukł okropnie; jęczał tedy na pościeli. Wołowicz wstał: „Le-

onie, co ci dolega, powiedz?“ — „Bardzom słaby, krew mnie uszła, nie będzie podobno życia.“ — Burzy się Wołowicz do sypialni proboszcza, ten pyta z niedowierzaniem: „Kto tam?“ — „Księże ratuj mi chorego kolegę.“ — Ksiądz wstał; mając domową apteczkę, zaraz podał otrzeźwiające choremu krople, kazał zaprzęgnąć do wózka i posłał najspieszniej po lekarza. Stary chirurg izraelita przybył w nocy, zbadał przyczynę choroby, zarządził środki, i wynadgrodzony od księdza, odjechał nad rankiem.

Tymczasem rozszerzyła się w gminie nowina, że na plebanji są kozaki. Lud ciekawy dowiadywał się, po co oni przybyli; obawiając się, aby nie porwali kapłana, zaczęli między sobą naradę. Stary weteran z czasów Kościuszkowskich zrobił propozycję: Pilnujcież plebanji, a jakby tylko uprowadzali nam księdza, wyruszymy z pałami i zabijemy na śmierć tych siepaczy. — Na wszystkich zakątkach i drogach stał tedy warciarz; nikt się nie pytał: dlaczego? — Chłopstwo zasię zeszło się do organisty gromadnie, by im wywietrzył, po co przywlekli się na plebanję Moskale. Organista oświecił włościan o wypadku. Wszyscy z ubolewaniem kiwali głowami: oh niechże też Bóg temu człowiekowi da zdrowie, ale aby go znienacka nie napadli Moskale, niech stróżują warciarze i natychmiast dają znać o pojawieniu się nieprzyjaciela.

Przez gorliwe staranie czcigodnego kapłana przyszedł Przecławski do sił i zdrowia, i dziękując dobroczyńcy za przytułek, prosił, aby im dał jakiego przewodnika. — „Powiedzcie mi panowie,“ zapytał proboszcz, „czyli nie znacie w Augustowskiem jakiego człowieka?“ — „Księże widać, żeś wtajemniczony w sprawę narodową, pierwszym agentem jest Izydor włościanin.“ — „A więc on was dalej przeprowadzi.“ — Misjonarze się zadziwili. — „Nie dziwcie się, on tu był już dwa razy u mnie, w każdej bowiem wiosce ma za-

ufanych, leci z kąta do kąta jak strzała, a coby was jeszcze więcéj interesować mogło, powiedziałbym wam coś o domu waszym.“ — Wołowicz się zapłonił z radości, Przecławski patrzył się w kapłana jak w tęczę. „Cóżbyś pan Przecławski powiedział na to, gdy mu oświadczę od ojca pozdrowienie?“ — „Jakim sposobem?“ — „Wszak pański ojciec w Warszawie, szuka syna, a on u mnie chwała Bogu zdrowy! Co więcéj panu powiem; znałeś pan cygankę?“ — Wołowicz się roześmiał, a Przecławski popatrzył na Wołowicza rzekąc: „Prorok, czy co?“ — „Nie do wielkich proroków należę panowie, podziwiam tylko wasze poświęcenie, a więcéj nadobnéj Litwinki.“ — „Powiedz proboszczu, zkąd takie wiadomości, bo do prawdy nie rozumiemy.“

Uśmiechnął się kapłan: „Znacie panowie Zochnę?“ — „No chybaś proboszczu cudowny!“ — „A wiecie wy, kto ona?“ — „Wiejska dziewucha, sprytna.“ — „Bah! gdyby to. Tak wypada, aby sobie Zochny przybrała nazwisko, ale co się pod siermięgą ukrywa, sami podziwialiby nieprzyjaciele. Kto przybywa z Litwy, wymiecie wszystkie zakątki, zwietrzy nieprzyjaciela, pozastawia czaty, komu lud, panowie i kapłani na usługi, ten nie może być prostą pasterką. Na te cuda trzeba głowy, rozumu, dowcipu, odwagi a nadewszystko pieniędzy. Zresztą moi panowie, mogłażby to uskutecznić prosta wiejska dziewczyna w półkołu tak wielką podróż z naszych okolic do Warszawy, ztamtąd na Brześć Litewski ku Słoninowi do Litwy i nazad? Nim panowie przybyliście w te tu okolice, wiedzieliśmy naprzód: idą dwaj Litwini w misji, i mieliśmy nakaz, aby wam ułatwić przeprawę.“ — „Proboszczu, któż ona?“ — „Teraz nie mogę wam odkrywać tajemnicy, obowiązanym do milczenia przysięgą. Idźcie tylko daléj w imię Boże, mając dobrego przewodnika w przyjacielu waszym Izydorze!“

Misjonarze pożegnali proboszcza, dziękując mu za

uprzejme przyjęcie i pieczołowitość. Ostatnią minąwszy wioski chatę, zobaczyli na drodze stojącego włościanina. — „Czy nie Izydor Leonie?“ — „Alboż ja wiem, miał przybyć podług proboszczowskiego przyrzeczenia, ale dlaczego nie przyszedł, Bogu wiadomo.“ — Zbliżyli się ku stojącemu, popatrzyli nań, spojrzeli na siebie w milczeniu i szli dalej. — „Nie on,“ rzekł Leon, ale mu też z oczu źle patrzy.“ — „Cicho, by nie dosłyszał.“ — „Hej, hej,“ krzyczy za nimi chłop, „dokąd panowie tak spieszno?“ — Podróżnicy stanęli: „czy nam ojcze masz co powiedzieć?“ — „A jużci, Izydor niema czasu, zaskoczyło go coś innego, ja go wyręczę i zaprowadzę panów w bezpieczne miejsce.“ — „Chwalebnie ojcze, Bóg ci zapłaci.“ — „Niema za co,“ odpowiada włościanin, „nastrójcie sobie tylko panowie nogi, 6 mil na noc za mało, we dnie będziemy w krzakach i lasach, a nocą popłużymy.“ — „Jesteśmy gotowi, mój ojcze,“ i puścili się przez chłopa wskazaną drogą.

XXIV.

Jenerał Skrzynecki jako wódz naczelny kierował z początku dosyć pomyślnie sprawą narodową. Zresztą posiadał bardzo zdolnych dowódzców, między którymi zasługuje Dembiński na pierwszeństwo, albowiem śmiały atak jego na Ostrołękę nietylko zadziwił wszystkich, ale dodał ducha całej armji, wiele to małemi siłami przy dobrym wodzy dokonać można. Dzień późniéj po tym fakcie otrzymał Dembiński rozkaz wzięcia dowództwa nad awantgardą jenerała Giełguta, który stał pod Łomżą cernując carskie gwardje. Zaledwie zdążył Dembiński na miejsce przeznaczone, nie znalazł Giełguta na swéj pozycji, on bowiem z niewiadoméj przyczyny cofać się począł z armją mu powierzona. Dembiński wezwał go do odwrotu, obaj ciągnęli pod Łomżę; ja-

kież było zdziwienie, gdy jenerał carski Saaken spalił most i magazyny, a wyniósł się. Dembińki chciał wpaść na flankę gwardyj rosyjskich, które Skrzynecki pędził nazad ku Tykocinowi, i proponował marsz na miejscowość Gacze, ale widząc zwlekanie i chwiejność Giełguta, nie chciał mieć nic z nim wspólnego, i prosił Skrzyneckiego o odwołanie z téj pozycji, co też nastąpiło, bo Skrzynecki wcielił Dembińskiego do jeneralnego sztabu. W téj karjerze, gdy dywizja Giełguta odcięta nawet została od armji zupełnie, Dembiński nie mogąc scierpieć téj straty, prosił naczelnego wodza, aby go wysłał z rozkazem do Giełguta, niech tenże przeprawia się natychmiast do Litwy. — Była to jedna z najcelniejszych myśli wielkiego geniusza; gdyby ją był wykonał Giełgut zaraz bez zwłoki z energją, byłaby zaważyła w dziejach Polski na jéj wyswobodzenie. Dembiński sam wykonał więc polecenie z nadzwyczajną odwagą; wziąwszy tylko 135 ludzi poznańskiego pułku, przedzierał się z tą garstką przez gęste gwardje Moskala, siedząc na koniu, zrobił 20 godzin drogi w dniu jednym, co się wydaje być nawet niepodobném. Po dwóch dniach takiéj podróży, co ją nazwiemy szaloną, napadł pod Rajgrodem jenerała Saaken, i zrobił 1200 jeńca. Prawdziwie, że cudów waleczności dokazywał Dembiński, lecz Giełgut zawsze na inne udawał się drogi. Podczas gdy armja Dembińskiego codziennie ochotnikiem się powiększała, zmniejszała się z niewiadoméj przyczyny Giełguta, napawając tylko kraj trwogą, która od bitwy Ostrołęckiéj co raz więcéj wzrastała, tak dalece, że nietylko wielcy ludzie wątpili już o wygranéj, ale nawet mali, nieuki wieśniacy zakładali na krzyż dłonie, wzdychając: Boże przemień! Albowiem sypało się do Polski jak prochu Moskali, a najwięcéj zalegli całe Augustowskie, trapiąc włościaństwo kontrybucjami i uciskiem niesłychanym.

Tak rzeczy stały, kiedy Izydor powrócił do wła-

snéj chaty. Dwie kobiety siedziały sobie podług zwyczaju wpatrując się w okienko, czy kto nie zawinie do chaty, boć często gość jaki nawiedził to mieszkanie. Izydor przyszedł zakłopotany, usiadł przy piecyku, podparł głowę lewą ręką i dumał. — „Izydorku, czemuś smutny?“ zapytała żona. — „Wszystko stracone.“ — „Ej w Bogu nadzieja.“ — „Co ty wiesz, mądrzejsi są odemnie a tak powiedzieli, cóż dopiero sam jenerał Chłopicki powiedział: nic z tego, z Moskwą nie wygramy.“ — „A zapłacili ci też za twoją fatygę? Może tyle co i nam, żeśmy się niepotrzebnie święciły jak upiory po Warszawie, raz nas przebierali za cyganki, drugi raz za dziadówki żebraczki, inny za posługaczki.“ — „Ejże, przeciem raz była przebraną za Jmość,“ przerwała matka, „tak mi się nisko kłaniali, po rękach całowali.“

„Dobrze się śmiać matce, a mnie się płakać chce, obiecywali mi, że będę panem, radowała się moja dusza, przecie raz nie będzie człek odrabiał tego pańskiego, a tu masz, Moskale skasują pańskość naszą, gotowi jeszcze wygnać na Syberję!“ — „Nam nic nie zrobią, gorzéj będzie z panami, bo oni na wojnę nawiedli.“ — „Ja się nie turbuję,“ dodała Izydorowa, „czy przegrają, czy wygrają, my wygraliśmy.“ — „Jakto?“ zapytał Izydor. — „Taka bogata panienka jak Lida nie złamie słowa, ona złożyła na krzyż palce: Izydorko, za ocalenie mego Michasia będziesz jadła mój chleb do śmierci, dam ci dom, dam rolę, dam pieniędzy.“ — „A kiedyż odbyła się owa przysięga, że ja nie wiem?“ — „Gdybyś był nie uganiał wciąż, żem cię tylko parę razy w Warszawie widziała, byłbyś słyszał téj panienki słowa, takiéj osobie wierzę.“ — „A gdzież ją teraz poszukasz?“ — „Za językiem wszędzie ją znajdę.“ — „Powiedziałbym ci, ale...“ — „Ciekawam?“ —

„Myślisz, że się Wołowicz z nią ożeni?“ — „Alboż nie kocha?“ — „Kochanie uleci z wiatrem.“ —

„Boście mężczyźni wiatrem podszyci. Nie miałam wyobrażenia, co mężczyzna znaczy, dopiero mi otworzyła oczy Warszawa, co dzień to za inną gonią aż brzydko.“ — „Bo się z jednego pieca chleb uprzykrzy.“ — „Możem ci się także sprzykrzyła?“ — „Jeszcze nie wiele.“ — „Bodajeś!“ — „Domów: sto zabił Moskali!“ — „Dwieście razybym cię uścisnęła.“ — „A więc mam cię za słowo, przyszedłem na pożegnanie.“ — „Dokądże zamyślasz?“ — „Z Wołowiczem do Litwy.“ — „On jeszcze tu!“ — „Za to nie może, że musi kurzym krokiem.“ — „Jeżeli prawda, więc i ja mu potowarzyszę.“ — „Chcesz koniecznie być na jego weselu?“ — „Pragnęłabym, bo warta.“ — „A więc żono albo się zdecyduj zostać w domu, albo też ze mną, bo ja nie będę się już trudnił donosem, czas nagli, złączyć się musimy z Litwą i bić Moskala, bo inaczéj Polska nie powstanie.“

„Powiedz mi tylko, gdzie się Wołowicz ukrywa?“ — „Nająłem zaufanego, że ich ma przeprowadzić za Rajgrod w bezpieczne miejsce.“ — „Więc będę ci towarzyszyła, szkoda naszéj obiecanki opuścić.“ — „Ja także tak myślę, a wolę, że pójdziesz ze mną, niżeli masz pozostać w domu; czart nie spi, mogliby napaść na dom kozacy, a zastawszy was same kobiety, napastwić się do woli, czego abyśmy uniknęli, wybierzmy się na wander.“

„Każdy sobie rzepkę skrobie, a ja biedna stara zostanę tu sama?“ — „Waszą starość uszanują nawet Moskale, a żona co innego.“ — „A gdy mnie wszyscy opuścicie, któż mi poda wody, kto opierze, a co Boże nie daj, jeżeli zachoruję i zawrę powieki, któż mnie pochowa?“ — „Matko! wielka rzecz, ja iść muszę, przysięgałem; moja zasię żona nie przysięgała, więc zostać przy was może.“ — Po długiéj rozmowie pożegnał nareszcie Izydor dom rodzicielski, ucałował żonę serdecznie i wyniósł się.

Izydor biegnął tajnemi ścieżkami ku Kolnu, chciał

zdążyć do znanego księdza proboszcza na nocleg, tam bowiem w pewnej wiosce była schadzka zaufanych patrjotów, którzy czuwali nad bezpieczeństwem okolicy, doglądając ruchów nieprzyjaciela. U plebana zastał niespodziewanie panią, której twarz była mu zanadto wiadoma, a nie mógł rozpoznać w tej chwili. Zochna się uśmiechnęła: „Izydorze, tośmy się zeszli! Nie znasz Zochny?“ — „Wszelki duch Pana Boga chwali, nie myślałem.“ — „Nic nie szkodzi mój poczciwy, tylko pytanie zachodzi, czy umiesz trochę po moskiewsku?“ — „Sprzedać się nie dam.“ — „Więc dobrze, zaraz będziesz panem.“

Zaprowadziła go do osobnej komnaty, przebrała za oficera rosyjskiego. Pierwszy raz zaświeciły się na chłopie żółte epolety. Gdy był już gotowy, nakazała mu, aby poszedł do pokoju. Po małej chwili wchodzi młody oficer rosyjski i mówi płynną ruszczyzną. Ksiądz się śmieje, praporszczyk ostrą robiąc minę uczy na prędce manier swego kapitana, daje mu papiery do pugilaresa, sam także podobnemi napchał sobie kieszenie. Zajechała bryczka, fornal kacap mużyk, czystej zdawało się krwi Moskal, w szyneli z szeroką czapą, konie mając w trójkę przyprzągnięte. Oficerowie siedli na wózek, strzelił z bata kacap, ino się zakurzyło, odjechali.

Na drodze spotykali się z etapem wojska. Izydor udawał pijanego, drzemiąc sobie, a praporszczyk salutował, mówiąc do majorów lub napotkanych jenerałów: „z depeszami od Saakena.“ Moskale widząc swojskie zaprzęgi, swojskich oficerów, ani się pytali. Tak przyjechali do samego Augustowa. Zajęli pokój w hotelu, podpisali się w księdze jako oficerowie rosyjscy i wyszli na miasto. Wstąpiwszy do sklepu, kazali sobie dać wódki, tam zastali dwóch oficerów rosyjskich z sobą rozmawiających: „Żeby się tylko udało złapać tych misjonarzy, mielibyśmy 1000 rubli nadgrody.“ — Nasi utarli gębę i wyszli biegnąc szybko nazad do ho-

telu: „Izydorze, Wołowicz z Przecławskim w niebezpieczeństwie, słyszałeś a zrozumiałeś?“ Przebieraj się, wychodź milczkiem na zwiady.“

Izydor przebrany za kacapa, wyszedł sobie swobodnie; wojsko wałęsało się, łaził tedy od jednéj szynkowni do drugiéj, chcąc się dowiedzieć, o czém też mówią między sobą ludzie. Co wszedł do szynkowni, wszędzie mierzyli go mieszczanie obrzydliwym wzrokiem, mrucząc: Szpieg, jakaś bestja kacap. — On tém wyrażeniem ośmielony, prosi ich na wódkę. — „Nie pijemy,“ odpowiadają mieszczanie. — „Ale,“ rzekł po polsku z cicha, „nie gardźcie mną.“ — Mieszczanie się przypatrzyli, jeden ściska go za rękę: „Panie, nie płątaj się, jakaś niecnota zdradził was przed Moskalami i szukają was okropnie.“ — „Nie potrafią, dziękuję wam serdecznie,“ i odszedł. — Przybył do hotelu, praporszczyk czeka niecierpliwy. — „Zdradzeni, dowiedziałem się, ale od kogo nie wiem.“ — „Dołóż Izydorze wszelkich starań, aby nie wpadł Wołowicz w ręce nieprzyjaciół!“

Izydor zrzucił z siebie ubranie kacapa, ubrał się jako chłop i ciemnym wieczorem zniknął z Augustowa. Skierował ku północy swoje kroki. Znając przychylność włościan dla narodowéj sprawy, zasięgnął języka, ażali nie przechodzili tędy przez chłopa prowadzeni emisarjusze. Chłopi nie dowierzali, jeden się nawet wyrwał: „Tysiąc rubelków ci może smakuje, ha! jak jednemu zasmakowały, ale niech ich szuka teraz.“ — Ta dwuznaczna mowa spodobała się Izydorowi, i rzekł śmiało: „Człowiecze, dostaniesz całe wynagrodzenie, jeżeli mi wskażesz, gdzie ci emisarjusze przebywają, albowiem idę za nimi z saméj Warszawy.“ — Chłop się poskrobał po głowie, nie mówiąc ani słowa, wyniósł się nie chcąc wdawać się z obcym w jaką mowę.

Zochna tymczasem przebrała się w swojego stanu suknie kobiece, udając żebraczkę ciemną kalekę, pro-

wadzona przez swojego furmana przebranego także za kobietę. Zaszedłszy do wsi, którą jéj Izydor był wskazał, zanocowała u wieśniaka, przyznając się, że jest wróżką. Lud wiejski lubi żebraków, a nawet daje im wiarę. Zochna tedy skorzystała z tego usposobienia i powoli wyjęzyczyła się przed nią kobieta: „Są tu we wsi schowani dwaj Polacy, których Moskale szukają okropnie. Moskale obiecują za nich pieniądze, ale nic z tego, my tu nie tacy głupi, abyśmy im wydali.“ — „U kogóż się znajdują?“ — „Nie powiem, bo mnie nie świędzi język.“

Zochna tedy idzie z domu do domu, śpiewa pieśni nabożne, radzi kobietom, jakie mają używać zioła, by im krowy dawały mleko, aż przyszła wieczorem do jednego gospodarza, zastawszy kupę ludzi. Prosi o nocleg, gospodarz odmawia wręcz mówiąc: „mam dużo dzieci, ciasno, idźcie sobie babko do sąsiada.“ Zochna spostrzegła, że między osobami znajdują się misjonarze jako chłopi przebrani. Nie rusza się tedy z domu, usiada prosząc o mały odpoczynek i nastręcza się, że za to każdemu wywróży, niech go tylko uchwyci za rękę. Najpierwszy przystępuje do żebraczki gospodarz, wzięła go za rękę i rzekła: „Będziesz panem poczciwy gospodarzu.“ — Roześmiał się: „albo to prawda!“ — Przybliżyła się gosposia, toż samo wzięła ją za rękę: „gdybyś miała córkę, ożeniłby się z nią hrabia, ale masz samych synów, zginą na Syberji.“ — Kobieta się przeraziła i wyrwała rękę. — Przybliża się Wołowicz, uchwyciła go za rękę: „Turbujesz się o narzeczoną, ona już w bezpiecznem miejscu, raczéj się turbuj o siebie, bo 1000 rubli nałożą na twoją głowę.“ — „Pleciesz, za mnieby nie dał nikt szeląga.“ — „Jeżeli W. książę Michał nakłada 1000 rubli, a jenerał Saaken tożsamo, tobym ja dała więcéj.“ — Wołowicz wpatruje się w żebraczkę, ona mimowoli oczy otworzyła, on poznał i uścisnął za rękę.

Wszyscy domownicy słuchali z podziwieniem, albowiem wiedzieli, że na głowę tych ludzi taka cena była od Moskali wyznaczona. Przecławski jednak nie pojmował, zkądby ta prosta żebraczka tyle posiadała zmysłu, myśląc, że ona może szpiegiem, poskubał za trok Wołowicza, szeptając mu do ucha: „Uciekajmy, zdrada!“ — Wołowicz obejrzał się i szepnął: „to Zochna!“ — Przystąpił tedy Przecławski do Zochny: „Proszę też zawróżyć mnie?“ i podał rękę. — Wróżka rzecze: „Szuka cię ojciec, ale nie wracaj do niego, złącz się raczéj z tą, która cię kocha nad życie;“ i w téj chwili uczuł mocne uściśnięcie w rękę, że mu serce zapukało okropnie. Widząc zarumienionego Leona, uśmiechnęła się Zochna radośnie; jednak tenże uzyskał przewagę nad swojemi zmysłami, zacisnął zęby mruknąwszy: „Nie!“

Tymczasem prostoduszny gospodarz obdarowawszy żebraczkę jałmużną, rzekł do niéj bez ceremonji: „Teraz idźcie dziady, nie plątajcie mi się po izbie, gdzie indziéj niech was ludzie do woli Boskiéj więcéj opatrzą.“ Żebraki wynieśli się. — „Idźno, rzekł do żony włościanin, wyjrzej, gdzie te dziady pójdą.“ Żona wybiegła, obziera się, pobiegła za dom i do sąsiada, ale ich niema. Wraca do domu: „Wiecie co, dziadów niema, przecie ani pacierza nie minęło, jak wybiegłam za niemi, a ich niema.“ — „Biegajno Janku, i ty Marcinie, a i ty Wojtalu, popatrzcie moi synowie, gdzie te dziady, żeby nie ukrywała się pod płaszczykiem podrywka!“ — Synowie rozbiegli się na wszystkie strony, po ścieżkach i drogach, po domach wioski, wracają, mówiąc: „Niema.“ — „A więc panowie zbierajcie się czémprędzéj, nim nadejdą Moskale, musicie być za dziesiątą granicą, konie mam dobre.“ — Zebrali się Wołowicz z Przecławskim, chłopek wyprowadził ze stajni trzy konie, siadł na oklep, tożsamo wyskoczyli misjonarze i pojechała wiara.

Nad samym rankiem powrócił sam gospodarz na trzech koniach, postawił szkapy spienione w stajni, obudził syna: „idźno, poobcieraj szkapięta. Chwała Bogu, przespię się teraz swobodnie.“ — Żona gotowała śniadanie, dzieci krzątały się koło domowéj pracy, stary spał sobie smacznie. Wstał nareszcie zerwawszy się nagle, przeciera oczy, zadygotał zobaczywszy moskiewskiego oficera, który się pyta: „Gdzie są szpiegi emisarjusze?“ — Zaczerwieniona żona uniewinnia się: „Proszę pana, ja o niczém nie wiem, aniśmy widzieli.“ — „A więc nie wiecie, kto ich odprowadzał i powrócił na trzech koniach? ha!“ — Włościanin skoczył z wyrka, uklęknął, złożył na krzyż palce: „Panie dla Boga my niewinni, aniśmy widzieli Polaków.“ — Ha nie przechowywaliście ich przez dwa dni przebrawszy tychże za waszych synów?“ — „Mam pięciu synów, wszystkich panu pokażę, to potwarz na mnie biednego rzucona.“ — „Wczoraj była tu ciemna żebraczka, wróżyła wszystkim, widziała emisarjuszów, a tyś nie chciał nocować nieszczęśliwéj, bo ci milsi buntowszczyki, tego się nie zaprzesz;“ wyjął z płaszcza kęs razowego chleba, pokazał: „Poznajesz gosposiu ten chleb, ażaliż nie podałaś własną ręką takiéj jałmużny? Biorę was wszystkich na Sybir.“

Strach, trwoga, płacz, szlochanie towarzyszyło téj scenie. Kobieta załamała ręce, wołając: „cóż ja też biedna winna, że...“ ale mąż spojrzał tak surową na nią źrenicą, że nagle jakby uciął, zamilkła. Oficer usiadł na ławie: „zawrzyjno drzwi.“ — Kobieta usłuchnęła tego głosu. Po małéj chwili rzekł oficer: „Nie bój się matko, jeszczem nikogo nie zjadł ani zjadam.“ — Zdjął pikelhaubę, odpiął płaszcz; wieśniaczka patrzy się, a oficer się uśmiecha: „Poznajesz mnie teraz?“ — „O rany! wyście to wróżko?“ — „Pst!“ — „Teraz powiedzcie mi moi kochani, gdzieście odprowadzili emisarjuszów, ja muszę wiedzieć, bom sama emisarjuszem,

jadę do Litwy za moskiewskiego oficera przebrana.“ — „Pani!“ odezwał się włościanin, „jeżeliś Polka, to znajdziesz czego szukasz, jeżeliś szpiegiem, wprowadzę do komory i dopóty będziesz siedziała, dopóki ja nie powrócę. Gotuj się tedy kobieto prędzéj na śmierć, niż na życie.“ To rzekłszy, przystąpił do Zochny, wziął za rękę, otworzył komorę: „Chodź! a wy synowie macie pilnować, ani mi się ruszy.“ — Zochna chcąc nie chcąc, poddała się losowi.

Włościanin odprowadził był szczęśliwie emisarjuszów do oddziału Modlińskiego, który cernował te okolice i ciągle w pobliżu armij moskiewskich uwijał się, albowiem miał tylko takie zadanie, że zbierał dezerterów z moskiewskiéj armji, unikając ile możności starcia. Ztąd wskazano emisarjuszom dalszą drogę. — Nie trwało jednak godziny potém, Moskale obsaczyli Modlińskiego i zabrali w niewolę. Chłop jak wiemy, przyjechał bezpiecznie do domu, nie wiedząc wcale co zaszło; ale ponieważ go Zochna do takiego wprowadziła kłopotu, że koniecznie żądała opowiedzenia, gdzie się znajdują emisarjusze, więc on chcąc się przekonać o jéj zeznaniu, zamknął ją do komory, sam zasię pojechał do polskiego obozu. Na drodze spotyka się z 20ma kozakami. Ujrzawszy tych rajtarów, zapukało mu serce, jednak nie tracąc miny, jedzie. Obstępują go kozaki: „nie widział ty emisarjuszów?“ — „Żadnego nie widziałem komisarza.“ — Oficer kozacki się uśmiechnął, kiwnął ręką na kozaków, oni złapali za cugle konia chłopskiego, zewlekli chłopa, uwiązali na tranzli i prowadzą. Co się mu teraz działo w duszy, łatwo zrozumieć. Kozaki nie słuchają jego lamentów, tylko „postupaj!“ — Jakież było jego zdziwienie, gdy wprowadzają go do obozu moskiewskiego i pokazują kapitana Modlińskiego, pytając: „Ten panie kapitanie?“ — „A ten.“ — Zkąd ty przeprowadzałeś emisarjuszów, ha?“ pyta oficer kozacki. — Chłop ani słowa. — Oficer

klnie i daje policzek włościaninowi, skinał na kozaków ci przybyli z nahajkami, i obkładają niemiłosiernie od stóp do głów aresztanta. I bydlę by pod temi pletniami zaryczało, chłop jęczy, nareszcie mówi: „Panie, kapitan ich do mnie przyprowadził i dał mi jeszcze do tego pieniędzy.“ — „Co ja był u ciebie!“ rzekł Modliński.

Modliński był to człowiek słabego charakteru i ducha, gdy napadli Moskale na obóz jego i zabrali w niewolę, z podchlebstwa tedy, by sam siebie mógł uratować, opowiedział Moskalom, że się w pobliżu znajdują emisarjusze, a chłop im na koniu gniadym drogę toruje. Moskale mając dwóch delikwentów, składających jeden na drugiego: tyś przeprowadził emisarjuszów — nie wiedzieli co z temi fantami robić. Okuli tedy obydwóch, a wojsku kazali, aby wietrzyło w całéj okolicy.

XXV.

Dawnośmy nic nie słyszeli o Mereczu, a przecie brzydką rybaczkę obchodzić musiał Krywa stary; wszak ona była poczciwą małżonką z sercem zawsze młodém. Czekając tyle tygodni na wiadomość jaką, siedziała w budzie zapomniana; wszak świat zwykle zapomnieniem za dobre usługi się odpłaca. Dopóki trwały zapasy, nie potrzebowała niczyjéj pomocy; niestety, moskiewskie żołdaki słyną zanadto z rzezimieszkowego bohaterstwa. Kiedy jeden zdoła w oczy skraść przekupce na szyji w woreczku uwiązane pieniądze; kiedy drugi na środku rynku popowi zdołał ukraść z nóg buty, wykrętnym sprytem przystępując do niego: „Jegomość założyłem się z kamratem, że masz u jednéj nogi 6 palców, proszę niech to sprawdzimy,“ i zdjął batjuszce nagle but z prawéj: „ej tu pięć!“ zdejmuje więc prędko z drugiéj, porwał buty i zostawił popa boso; — kiedy trzeci porwał skarbonę w cerkwi podczas galowéj uro-

czystości, obnosi ją przed jenerałami, żołnierzami i urzędnikami wołając: „na cerkiew składka!“ wszyscy dają myśląc, że pop namówił żołdaka, aby tę zrobił gościom niespodziankę, tymczasem wyszedł z cerkwi, i po skarbonie; — kiedy niezliczone mnóstwo faktów świadczy o zuchwalstwie kradzieży popełnianych przez mużyków cara, cóż tedy dziwnego, że tacy mużykowie przybyli do chaty samotnéj rybaczki i okradli ją zupełnie.

Głód największą dla człowieka plagą, on mimowoli zwalczy wstyd a nauczy żebractwa. — Rybaczka widząc domek swój pusty, zaparła takowy i wyszła. Kto nie zapragnął obcego chleba, bodaj go nie pragnął nigdy; żebractwo poniża człowieka, a przecież są mimowolne okoliczności, gdzie dla utrzymania życia chwytać się żebraniny trzeba. Krywowa przyzwyczajona od młodości do pracy i swojskiego chleba, ona co podawała nieraz szczodrą ręką potrzebującym jałmużnę, zawstydzając młodych ludzi wyrazem: „wy gnuśne próżniaki!“ jakże przykrego doznała momentu, gdy na gościńcu pierwszy raz wyciągnęła do przejeżdżającego jegomości rękę, a on pozdrowił ją zamiast jałmużny wyrazem: „wy próżniaki nierobisie moskiewskie szpiegi!“ — Ten wyraz pogardliwie wyrzeczony, zbódł ją do ostatniego, zebrała wszystką siłę i krzyknęła: „Zdrajce szlachta! ojczyznęście zaprzedali, widzisz jak uciekasz przed powstaniem!“

Gość nie chciał niby słyszeć owego wołania, nalegał na furmana: „jedź! — jedź!“ — „Jakże jechać panie w takiém błocie.“ — Złośliwa kobieta nie daje spokoju gościowi: „powstańcu! wieleś zabił Moskali? ha, uciekasz? zawiązałeś sobie łeb, musieli cię poczęstować, czarachu płatku! Żeby tylko ujrzała policja, wpadniesz jak rybka do więciorka.“ — „Cicho babo!“ i rzucił szlachcic dwa złote: „masz na wódkę, stul pysk.“ — Ale kobieta nie podniosła pieniędzy, jeszcze więcéj dojada: „Czarachu, płatku, powstańcu, sprowa-

dziłeś do kraju Moskali, aby biedny lud okradali.“ — „Cicho bestjo, bo ci strzelę do szczeki.“ — Rozjuszona kobieta jeszcze więcej dojada, że furman ujał się za panem, skoczył i przywitał ja zamasistym policzkiem, aż się wywróciła. Gwałtu krzyczy kobieta: „ach bodaj wszyscy powstańcy karki połamali, że mi zbałamucili męża! oh Boże skarz!“ wstała nareszcie pieniąc się ze złości, woła co tylko starczyło gardło: „łapajcie łotra, zabijaka, powstańca!“

Na ten hałas nadlatuje chłopów kilku: „Co to takiego?“ — Pan zdobywa się pierwszy na słowa: „Jakaś kobieta się mnie uczepiła, prosiła o jałmużnę, dałem dwa złote, ona odrzuciła i gardłuje; chyba musi być szalona!“ — Chłop przypatrzył się: „Rybaczko, toście wy? cóż znowu śmiecie obrażać Boga i prosić jałmużny napastując ludzi, kiedy chwała Rogu macie teraz, alboż nie składali się na was panowie, kiedy wasz poszedł z powstańcami?“ — „Marcinku,“ rzekła ze łzami kobieta, „było to było, ale zabrali w jasny dzień Moskale.“ — „Więc ja temu winien?“ odzywa się gość na wozie, „że cię zrabowali?“ — Kobieta zadrgnęła, nieumiejąc powiedzieć ani słowa. — „Więc moi ludzie ona jest rybaczka?“ — „Tak, panie łaskawy, jej maż poszedł do Polski, zuch, stary wojak, ona widać desperuje i plecie koszałki opałki, znamy dobrze tę jędzę, jak brzydka, tak też zła bez granic.“ — Kobieta znowu zacznie nogami tupać, i dreptać w kółko: „ty żmijo, nosata bestjo, chamie, łupieżcu, co ci do mej brzydoty...“ — Zaczęli się wszyscy śmiać, patrząc się na warjatkę, a ona pieniąc się w złości, dokazywała aż ja wzięli nareszcie chłopi do sołtysa.

„Prowadźcie ja sami,“ mówi podróżny, „ja się nie chcę zadzierać z podobnemi kobietami, zresztą mi się spieszy, bom słaby, a mam do domu daleko.“ — „Nic nie szkodzi panie łaskawy, sołtys ja tu nieraz wysiudał, to i teraz nie daruje, chodź pan z nami, nie za-

bawisz długo.“ — „Śliska materja moi ludzie, skarżyć na kobietę, ja zawsze szanuję kobiety, a nigdybym nie położył palca, nawet furmanowi mam za złe, że jéj dał w policzek. Kto wie, co jéj dolega, puśćcie ją raczéj do domu, niech się wyfrasuje, wypłacze.“ — „Panie, z niebaś dobry!“ wyrzekła kobieta, „jeść mi się chce, nie wiem co robię z głodu.“ — „Na prawdę?“ — „Jak Matkę Boską kocham, miałam majątek, więcéj niż 200 rubli, w komorze chusty, mąki i chleba niemało, przypadli Moskale, zrabowali mnie w jasny dzień, jeszcze namęczyli, dlaczego mój mąż poszedł do powstania. Chodzę jak błędna, wstyd mnie ogarnął wyciągać rękę po jałmużnę, dlategom jéj nawet nie wzięła.“ — „Oh kobieto, ręka rękę myje, pierwszy lepszy szlachcic da ci utrzymanie, nie potrzebujesz żebrać, czyż nie wiemy o sławnym rybaku z Merecza?“ — „Tak? to i pan wie, że on przeprowadził przez Niemen niejednego?“ — „Jeszcze jak wiem, a na dowód wziąłbym cię nawet do siebie.“ — Kobieta się rozochociła, przystąpiła do wozu, całując w rękę gościa, a włościanie słysząc tę mowę, zaczęli się uśmiechać, ukłonili się panu i poszli, a kobieta szła koło wozu, mówiąc: teraz się nie przysiędę, bo ogromne błoto, aż tam daléj na twardéj drodze.

Gościem owym był Wołowicz stary, który powracał ku domowi, liznąwszy trochę powstania, a nie bijąc się wcale, bo zachorował na zapalenie, ledwie przyszedł do siebie. Radzono mu, niech jedzie do domu, usłuchnął téj rady i powracał z Kowieńskiego przez Merecz; tu tedy zdybał się z rybaczką niespodzianie. — Po kilkodniowéj podróży przyjechał nareszcie do Porzecza. Jakież zdziwienie, żona przyjmuje męża z bardzo uśmiechniętą miną.

„Cóż nowego Jmość moja, w niezwykłym widzę cię humorze?“ — „Nie wiem, czy poznasz?“ — „Dorozumiewam się, bo mnie uwiadomiono jeszcze na pier-

wszéj drodze.“ — „Nie może być.“ — „Tak, lecz jeżeli mi ty chcesz służyć niespodzianką, mam ja także coś ładnego dla ciebie.“ — „Nie wątpię, możeś znowu nakupił jakich bohomazów?“ — „Nie zgadłaś, mam coś żywego.“ — „Nie nudź mój mężu, bo ja ci pokażę aże trzy portrety.“ — „Mój zakasuje wszystkie twoje.“ — „Czy może być ładniejsza która nad Lidę?“ — „Warta Lidzia pędzla Leonarda, a moja Rafaela.“ Wybiegł i przyprowadza rybaczkę do pokoju.

Wołowiczowa zobaczywszy takie straszydło, zaczęła się śmiać na całe gardło. Wołowicz trzyma się tylko za boki. Rybaczka zmiarkowawszy, że się z niéj śmieją, rzecze: „Oh, co się tak pan śmieje? a jak mnie to całowali panowie! nie to ładne co ładne, ale to co się komu podoba.“ — Wołowiczowa się zatrwożyła i wpatrzyła się w męża. — „Moja żono, masz przed sobą rybaczkę z Merecza.“ — Jmość wyrzekła w uniesieniu: „Wszak tu jest Krywa stary, szczególne zdarzenie!“ — Rybaczka usłyszawszy słowo Jmości, że jéj mąż tu bawi, wykrzyknęła: „Pani, Jmościnko moja, gdzie on też? gdzie moje złoto, mój kochany?“ — Jmość otworzyła drzwi, weszła Lida, Krywa stary i Hryńko. — Wołowicz patrzy się: „Ach takich niespodzianek rzadko! a może w mojém życiu będzie jedyna, życzyłbym sobie jeszcze, aby jeszcze jedna osoba przybyła do tego grona, a po udzieloném błogosławieństwie chętnie umieram.“

Jedyna Lida zrozumiała tę mowę, zarumieniła się kwiatem róży, przybliżyła do starca, chcąc mu ucałować rękę. On jednak położył ustami znak zapewnienia miłości na jéj czole, ściskając jéj obie dłonie: „Naszaś Lido na wieki!“ — Co czyniła z mężem brzydka rybaczka, nie byli państwo świadkiem téj sceny, czeladź zasię opowiadała sobie i państwu, że nie słyszeli ani widzieli, by się tak starzy ludzie kochali, jak owi Krywowie. — Lecz po pierwszéj chwili uciechy, nastała

znowu tęsknota. Rozeszła się bowiem wieść o okropnéj rzezi w Oszmianie. W saméj istocie wieść owa przerażająca zgrozą na zawsze wszystkie Litwy pokolenia, było prawdziwą, bo tak się rzecz miała:

Pan Wincenty Matuszewicz czekając długo na hasło powstania, a nie mając pewności, czy Litwa powstanie czy też sprawę narodową zaspała, zebrał 80 chłopstwa w łasach koło Troków, uderzył z tą garstką kosynierów na załogę podczas jarmarku w Trokach, i 500 Moskali poddało się bez wystrzału. Po tym akcie udał się do Rosienia, kędy zgromadzili się na naradę wodzowie; po téj naradzie wrócił do swego powiatu, albowiem było postanowioném, aby każdy w swym powiecie rozszerzał powstanie, z przyczyny, że jest oznajmiony z ludem i stosunkiem. Matuszewicz tymczasem dowiaduje się, że zgromadzoną w Oszmianie szlachtę rozpędził pułkownik carski Wurcelin, który wpadł z wojskiem w samo święto podczas nabożeństwa do miasta i zaczął strzelać na bezbronnych z armat i ręcznéj broni. Przestraszeni mieszkańcy, gdzie który mógł, uciekał; kozacy łapali bezbronnych nie pytając, czy niewiasty lub dzieci, i kłuli pikami. W takiém zamięszaniu najwięcéj schroniło się młodych dziewic i niewiast do kościoła, bo mężczyźni byli po większéj części pouciekali. Wurcelin przypuścił szturm na świątynię; dzikie kozactwo rozbiło drzwi i wysiekło 300 niewinnych ofiar w kościele z kapłanem przy ołtarzu. — Matuszewicz dowiedziawszy się o téj rzezi, poprzysiągł odwet. Ponieważ w korpusie Wurcelina byli po większéj części czerkiesi, złapał tedy jeden oddział tych zbirów, obtoczył na około i wykonał tak przykładną zemstę, że od tych czas kozacy zobaczywszy oddział Matuszewicza, wołali z daleka: Zdala od Matuszki!

Nowina o okropnéj rzezi przeraziła familję Wołowiczów, a niemniéj rybaka i rybaczkę; ona bowiem

miała krewnych w tamtéj okolicy i struchlała. Rybak żołnierz stary, weteran zahartowany, słysząc o tém zdarzeniu po pierwszy raz: „Co? zemsta im!“ wykrzyknął, „żono, ty przy moim boku, chodźmy! niema czasu do stracenia, biją się na prawdę nasi, a my się włóczymy po świecie, halo!“ — Jak postanowił tak uczynił, pożegnał państwo Wołowiczów. — „Ale zacięty!“ rzekł Wołowicz do Lidy. — „Hoho! żeby papa wiedział, co ten człowiek potrafi, za nic nasze głowy, choćeśmy tyle książek czytali. Co on wybrajał w Warszawie, a co nad Bugiem, foliały pisać trzeba.“ — „Ciekawym.“ — „Od czegóż zacząć?“ — „A jużci od Warszawy.“

„Podrzędną wprawdzie odgrywałam rolę, ciągle myślą zajęta o kochanéj Litwie; ale były momenta, żebym była ani kroku w zamysłach nie postąpiła, gdyby nie dorada i zdrowa myśl mereckiego rybaka. Otóż i pani Hofmanowa, owa nieoceniona pracowita pszczółka, stojąc na czele stowarzyszenia dobroczynności jako prezydentka, otoczyła się według od siebie wymyślonego statutu dwunastoma opiekunkami, a każda opiekunka mogła znowu przybrać nieograniczoną liczbę towarzyszek. Należałam jako towarzyszka do 7. grupy mającéj hasło siedmiu boleści Boga Rodzicy. Prawdziwie czułyśmy wszystkie to hasło nasze, bo nam go dzienny przypominał obowiązek czuwania nad rannymi kalekami patrjotów w bitwach pokaleczonych. Po morderczéj bitwie 29. lutego, przywieziono do Warszawy mnóstwo rannych, między nimi także Moskali; mnie się dostał jeden oddział do pielęgnacji z samych weteranów złożony. Cóż pan powiesz, między 20ma nie znalazł się ani jeden Polak, same zabite Moskale! Mimo wrodzonego wstrętu do tych ludzi, obwijałam szarpie, kładąc w blizny każdego z cierpliwością, widząc w nich nieszczęśliwych ludzi, którzy z musu poszli pod sztandary swego Satrapa i przypłacali życiem, podpierając krwią jego zachcianki. Jeden człowiek stary, gdym mu

zawinęła głowę, ucałował moją rękę, łzy mu się puściły; obzierał się, chciał coś mówić, ale dorozumiałam się sama, że nie może. Przez kilka dni odwiedzałam tego człowieka, teraz już nigdy sama, tylko brałam starego Krywę, który pełnił przy mnie obowiązek posługacza, i bez niego nie ruszyłam się na krok między obcych ludzi. — Raz opatruję znowu według mego obowiązku chorym rany, jeden się naprzykrza o jedzenie, drugi o wodę, inny by chciał tytoniu. Wszystkim naraz usłużyć nie podobna, skinęłam tedy na mego rybaka. On mnie wyręczył należycie. — Po téj usłudze przychodzi do mnie rybak, szepnął do ucha. Zadygotałam, wyniosłam się w téj chwili z lazaretu zdesperowana. Krywo, cóż mam czynić, powiedz, doradź? Stary sługa, wierny przyjaciel potarł sobie czoło i rzekł: nie bój się mój aniele!

Wołają mnie do stowarzyszenia, moja przełożona wprowadza mnie do osobnéj komnaty: Tak Litwinko? zamiast służenia sprawie narodowéj, przybyłaś na szpiegi do Warszawy! — Krew mi prysła do głowy: Dla Boga! pani! zkąd ta potwarz? — Nie zapieraj się, mamy świadków, znają cię, tyś nadesłanką Dybicza! Kto tak splami honor narodowy, warta Karmelitów i sznura! Splunęła na ziemię, otwarła drzwi, a tu w sieni złapało mnie dwóch gwardzistów i prowadzą szturchając po schodach. — Już stała kryta dorożka, mająca mnie zawieść do celi bez światła, kiedy mój rybak prowadzi 5 marodów Moskali! a zobaczywszy mnie, wykrzyknął: Wracajcie panowie, z tą panią odbędzie się jeszcze sprawa. — Wróciłam bez zmysłów. — Moskale ranni stają przed moją przełożoną i rzekł pierwszy: Każdy z nas 20tu otrzymał po 2 ruble, abyśmy zaświadczyli, że ta pani szpiegiem moskiewskim. — Kto wam płacił? — Jankowski. — Z jakiéj racji? — Albożmy wiemy? — Powiecie w oczy? — Alboż nie tak było?

W momencie posłano po niego. Posłuszny rozkazom Jankowski zjawia się, zobaczywszy mięszane towarzystwo, zadumał się. — Mówcież tedy w oczy, coście przedemną niedawno powtórzyli! — Pan ten nam dał po 2 ruble, abyśmy świadczyli, że nasza pani miłosierna szpiegiem moskiewskim. — Cóż masz pan za obronę? — Ja pani hrabino, dawałem rannym po 2 ruble, aby między sobą wywietrzyli szpiega. — Nie, wtrącił rybak, pan się sam tém trudnisz; u cyganki mieszka osoba, jéj imię Zochna, ona wywietrzyła, że donosisz Moskalom, a między innemi doniosłeś, że rząd narodowy wysyła misjonarzy do Litwy. — Łżesz człowiecze, odezwał się Jankowski. — Wnet przyprowadzę twoją kochanicę, która się Zochnie, cygance i jéj synowi zwierzyła, przynosząc ruble, by na korzyść Moskwy wykładała kabałę; niewinnie posądzasz osobę, która wobec narodu czysta jak promienie słońca!

Nie uwierzysz pan, ile czułam wdzięczności dla poczciwego starca za ocalenie mego honoru, i to mnie spowodowało, widząc, że tajemnica misji naszych Litwinów zdradzona, żem się udała wprost do Litwy przeciwną drogą, bym w razie ich zgonu oświadczyła patrjotom wolę polskiéj naszéj wspólnéj ojczyzny."

„Może to ta dziewuszka, mieniąca się Zochną, a żądająca 1000 rubli, była tu?" przerwała pani Wołowiczowa. — „Ciekawam na co?" — „Mówiła, dla twego wykupu!" — „Tak? nie spodziewałam się znaleść w niéj taką opiekunkę. I daliście państwo?" — „Nie." — „A ona zapłaciła widać sowicie, że mnie wyrwali z nieszczęścia wieśniacy i przeprawili przez Bug, za co jéj wdzięcznam do zgonu. Gdzież ona poszła?" — „Znikła i do dziś dnia nie wiem." — „Kto wie, jeżeli nie poszła za misjonarzami, zawstydza nas, a przecież my powinniśmy im torować do kraju drogę z obowiązku." — „Tak myślisz Lido?" — „Tak." — „Więc wezwijmy na pomoc rybaka, abyśmy się przedarli do

Augustowa i tam przetorowali drogę.“ — „Przewyborna myśl ojcze, bez namysłu udajmy się do Merecza, skoro rybak tam się znajduje, on ma dowcip, odwagę, on będzie stróżem aniołem naszym.“

Stary Wołowicz pojechał zaraz do Słonima dla wyrobienia paszportu dla siebie i przybranéj córki, którą przedstawił jako swoją. Kapitan wojenny pyta się go: dokąd państwo jedziecie? — Do Merecza, bo tam się syn utopił, pragnę, abym go przywiózł do méj wioski i pochował zwłoki w familijnym grobie. — Kapitan rzekł szorstko: dwojako kosztuje. — Wołowicz wyliczył ruble; uśmiechnął się Moskal, kontent; ale też i podróżny kontent, bo bez przeszkody jechał śmiało do Merecza.

Przyjechawszy do Korytnic nad Niemen, zatrzymali się, bo okropnie wskutek ulewy wezbrała woda. Lida nalegała o przeprawę koniecznie, iż umyśliła odwiedzić rodzinne miasto *Lida*, z powodu którego otrzymała na chrzcie także imię trzecie Lida; albowiem jéj matka jadąc z Wilna, tutaj ją szczęśliwie powiła w drodze. Papa nie miał odwagi, ale krzyknęła dziewoja: „Czyż nie odwaga zdobi mężczyznę! Michaś by przepłynął unosząc mnie na ramieniu.“ — „Za słabym córko, jak po kopie tak po chłopie, wolę ofiarować 10 rubli, niech nas przewiezie na czółnie, a konie zostawimy, dopóki nie opadnie woda.“ — Znalazł się rybak odważny, podpłynął z czółenkiem. Lida wsiada; pod Wołowiczem zadrżały nogi. Rybak wywinął wiosłem: „Matko Boska Porajska dopomóż!“ — Wołowicz zatkał sobie oczy, bo Lidę unosiła woda, łódka płynęła kołysana bałwanami jakby jaskółka w powietrzu, aż stanął flisak na przeciwnym brzegu. Przewiózł i starego.

Jechali daléj najętą furmanką. W Bielinie zastali kozaków, podpisywali paszport, oficer pyta: „jak się nazywasz?“ — „Wołowicz.“ — „Sukin syn buntowszczyk, 1000 rubli na głowę, mam cię! — „Co pan

mówi?“ rzekł stary, „jadę do Wilna z córką do lekarza, zapytaj się pan w Słonimie kto jestem, tam mnie znają doskonale;“ kładzie mu ruble w rękę. — „Pan nazywa się?“ — „Antoni Wołowicz.“ — „Aha, Michał Wołowicz jest emisarjuszem, masz pan szczęście.“ — „A widzi pan, że kto inny, bo Wołowiczów nie jeden na świecie.“ — „Mój panie, stan wojenny, mamy nakaz ostry, wnet będzie z buntem koniec, bo się dobrze sprawiły Burlaki.“

Nie kłamał oficer; albowiem Maurycy Prozor postawił się był między Kownem a Wilnem z insurgentami, przeciął komunikację zabierając prowianty, że ogłodził Moskali. Zebrali się tedy nań z przeważną siłą; mądry Prozor ulokował swoich między bagnami i drzewiną, parzył Moskali nieznośnie, że uciekli do Burlackiéj osady. — Burlaki byli to dawni emigranci moskiewscy, osiedleni w Litwie za Iwana groźnego, nie mogąc wytrzymać tego satrapy katożni. Wilk jednak zawsze ciągnie do lasa! i ci włościanie zapomnieli wdzięczności, co im Polska wyświadczyła dając im przytułek przed prześladowaniem; odkryli oni Moskwie tajne ścieżki przez lasy, napadli lewe skrzydło Prozora i rozprószyli takowe. — Prozor się cofnął, powaliwszy 200 Moskali z kapitanem na czele, a kozacy zaczęli dopiero wybryki przechodzące ludzkie wyobrażenie, obsaczyli wioski, zapalali domy, a ktoby uciekał lub błagał litości, rzucali napowrót do ognia. Z tego powodu nastał wszędzie smutek.

Widząc smutną twarz idącego włościanina, zapytuje Lida: „Człowieku co tu słychać?“ — „Ej źle pani, Burlaki nas zdradziły.“ — „Więc idziesz na odwet?“ — Chłop się spojrzał: „A wy państwo?“ — „Gdybyśmy wiedzieli twoje myśli?“ — Chłop na to głową: „czy państwo do Lidy czy daléj?“ — „My do Merecza.“ — „Ja także, bo tam podobno przeprowadzają,“ i obejrzał się koło siebie. — „Zobaczymy się

mój poczciwy, pytaj się do Krywy.“ — „Panie Boże zapłać!“ i ukłonił się wieśniak.

Lida chciała zachować największe incognito, zmieniła fryzurę, ufarbowała sobie brwi, i tak przebrana wcisnęła się do swoich krewnych. — Wołowicz z cicha pęk poszedł do burmistrza dla podpisania paszportu i oznajmienia, jak długo zabawi. — „Panie burmistrzu rzekł łagodnie, „mam wielką prośbę.“ — „No co? proszę otwarcie, ja każdemu zrobię co mogę.“ — „Chcę przewieść zwłoki mego zmarłego syna do grobów familji, zechce mi pozwolić?“ — „I owszem, tylko pan zapłaci, co się należy. A z kimże mam honor mówienia?“ — „Jestem Wołowicz z Porzecza, mam paszport i proszę go podpisać.“ — „Wołowicz? masz pan syna?“ — „Miałem, ale mi tu umarł, a raczéj utonął w Niemnie.“ — „Któż panu o tém mówił?“ — „Napisali mi.“ — „Niech panu wrócą honor, pański syn się nie utopił, przeszedł on do Polski jako buntowszczyk, jest emisarjuszem, utraci prawo obywatelstwa, a pan za niego majątek.“ — „Dla Boga, ja o niczém nie wiem!“ Cóż ja temu winien panie łaskawy, że mu szkoły poprzewracały głowę.“ — „Bodaj zginął,“ fuknął sarkastycznie ze złości burmistrz „ten łotr Zan, mamy po uszy z Philaretami!“ — „Tak panie burmistrzu, i ja płaczę nad tém, chciałem go dać do kancelarji gubernialnéj, nie chciał, przecie z cesarzem nam dobrze, ale cóż te szkoły narobiły ambarasu!“

Burmistrz zmięknął, albo wierzyć albo nie wierzyć! Zatrzymał paszport, mówiąc: „ten paszport u mnie zostanie, niech pan przyjdzie dnia jutrzejszego względem dalszéj informacji, muszę wybadać, gdzie pan jedzie.“ — „Dobrze, dobrze,“ temi słowy pożegnał Wołowicz burmistrza. — W kącie kancelaryjnym grzał się przy piecu licho ubrany wychudły mężczyzna; po odejściu Wołowicza przybliża się do pryncypała: „I pan burmistrz wierzy, że ten przybył po zwłoki syna?

Pan burmistrz jeszcze tych wykrętów nie rozumie. Czy nie wiadomo, iż się przywlókł tu także rybak stary, zlatują się kruki, czują ścierwo, źle będzie! Polacy już niedaleko, wnet wkroczą do Litwy, widać schodzą się już woluntarjusze, a ten stary, kto wie, czyli nie jaki wojewoda? Moją radą, abyśmy tych ludzi zatrzymali.“ — „Mnie nie wypada, bom się obszedł delikatnie,“ mniemał burmistrz, „ale deleguję pana, masz żołnierzy, policję, rób co można.“ — „Wybornie,“ krzyknął pisarczyna i pobiegł do kapitana.

XXVI.

Wołowicz z Przecławskim umknęli z matni Modlińskiego. Jenerał rosyjski Saakeń, ów wściekły przeciwnik Polski, nakazał kozakom, aby bezzwłocznie rozproszyli się po okolicy i ujęli szpiegów. Nieboracy przyparci do kanału Augustowskiego, już utracili wszelką ratunku nadzieję, już zdala krzyczą głosy kozackie: ne ujdesz! — Wołowicz się przeżegnał krzyżem św., skoczył do wody, za nim kolega. Szczęściem przechodzili się na przeciwnéj stronie włościanie, podali płynącym kije, wyciągli z wody, i uprowadzili do Mikaszówki. — Moskaluszki tuż za nimi, szukają dom w dom; jakże ich mogli znaleść, kiedy ich wyprowadzono nad rzekę Sojnę i zostawiono w zaroślach. Oziębnięci szczekają zębami, a tu słychać kozacką piszczałkę. „Niema rady, chyba skoczmy do tego jeziora!“ — Jeden za drugim hyc, hyc do bagna zarośniętego suwarem. Kozaki łażą, kwiczą, piszczą, wreszcie zwrócili się ku miasteczku na rabunek, obładowali się rzeczami, jak jeże jabłkami. — Wołowicz z Przecławskim nie mogąc wytrzymać zimna, wyskoczyli z wody, niech się dzieje co chce, idą do miasta; oni weszli jedną strona, a kozacy drugą z rabunkiem uciekali. Zobaczył ich

mieszczanin: „Dla Boga, panowie na co się narażacie, my tu od dwóch tygodni wiemy, że idziecie do Litwy. Powiedzcie nam, czyli idzie z wami jaka kobieta?“ — Emisarjusze pomyśleli: Zochna. „Gdzież ona?“ — Mieszczanin: „nie wiem.“ — „Idźno spytaj się, co za jedna.“

Mieszczanin zaprowadził ich tymczasem do kryjówki, rzekąc: „Daję wam napomnienie, siedźcie! kozaki narabowali do woli, może do nas nie wrócą,“ i poszedł. — Wołowicz jednak niecierpliwy, doczekawszy wieczora, gdy nie było widać gospodarza, rozkazuje koledze, by się zbierał do drogi. Ciemna była noc jak w piekle, szli na oślep; nad rankiem otworzyły im się obszerne jeziora, zatrwożyli się. Zobaczyli przecie człowieka jadącego z jakiegoś dworu do miasta. „Człeku, jakie tu miasto?“ — „A Sejny.“ — „Niema tam Moskali?“ — „Pełno ich jak prochu.“ — „Doradź nam, jakby my się dostali ku Niemnowi-“ — „Idźcież het ku Wiesiejom, potém ku Lejpanom, a ztamtąd niedaleko Niemen.“ — „Z nieba spadłeś poczciwy, Leipany są mi znane, zapłacimy sowicie, tylko nas przeprowadź daléj.“ — „O pieniądz mi nie chodzi, schowajcie sobie na drogę, przyda się, chodźcież tylko prędzéj, rankiem włóczą się kozaki, szukają szpiegów polskich. Czy nie wy jesteście?“ — „Nie pytaj.“ — „Tak, więc was zaprowadzę w miejsce bezpieczne.“

Podróżnik szedł i szedł naprzód, prowadząc misjonarzy między sapy, moczary, jeziora, trzęsawiska; zdała pokazał im *Kibisze.* Wołowicz wykrzyknął: „znam to schronienie, tam sobie odpocząłem po ciężkiéj przeprawie Niemna.“ — „Baczność panowie,“ rzekł przewodnik, „widzicie tam chatkę pod lasem, do niéj zdążymy.“ W saméj istocie zaprowadził ich do leśnego; usiedli sobie spokojnie. Czternastoletni może chłopak, sam jeden w domu, przypatruje się gościom. Oni ciekawi pytają: „Gdzież ojciec albo matka?“ — „Na cożeście tak ciekawi?“ — Roześmiali się na tę rezolu-

tność chłopaka; przewodnik pomruknął: „chłopcze!“ — Ciuras zaciął zęby i ani słowa. Podobna mimika nie spodobała się emisarjuszom, ufali jednak przewodnikowi, bo mu z ócz dobrze patrzyło. — W nocy przyszedł leśny, zastawszy w domu obcych, zatrwożył się niemało, jednak wyjaśnił mu zaraz przewodnik.

„Ach, cóżem zrobił!“ wykrzyknął leśny, „wszak was szuka rybak z Merecza z córką swoją.“ — Przecławski mruknął do Wołowicza: „twoja musi być przylepka!“ — Otrząsnął się Wołowicz: „niepotrzebnie, ale cóż mam robić?“ nareszcie zapytał głośno: „Mój poczciwy, gdzieżeś widział tego Mereczana?“ — „U siebie!“ — „Jak to?“ — „A tak, przyszedł pytając się, czyliby mi nie było wiadomém, co się z misjonarzami dzieje? Byłem pozawczoraj w Suwałkach, słyszałem, że Moskale złapali dwóch emisarjuszów polskich, tak przyszedłszy, opowiadam moim gościom; zatrwożyli się okropnie, dziewucha nalegała na ojca: ino chodźmy! uparli się i poszli. Przeprowadziłem ich ku *Lejpanom* a ztamtąd dałem przewodnika do samych *Kopciów*, dadzą oni sobie widać radę, bo ten stary dobry obertas tak w nogach jak też w głowie.

W saméj istocie, Krywa dał się był namówić nieustraszonéj Litwince, przepłynął z nią głębokie wody Niemna wśród niebezpieczeństw okropnych, bo Moskaluszki spostrzegłszy ich, strzelali za niemi, a oni wśród gradu kul omackiem dostali się podczas ciemnéj nocy na brzegi augustowskie, szli polami, lasami, aż trafili do leśnego, którego znał był Krywa z dawien dawna, i bezpieczne znalazł u niego schronienie. — Cóż było począć, Lida słysząc, że dwóch emisarjuszów złapali Moskale, chciała koniecznie sprawdzić, czyli Leon z Michasiem należą do tych nieszczęśliwych. — Szła tedy z narażeniem się na największe niebezpieczeństwa prosto ku Augustowu, prowadząc niby ciemnego kalekę ojca. Ten koncept udawał się im wybornie, Krywa

trzymał się kija, córka go prowadziła; biedny dla zamaskowania się szedł nawet boso, a córka jego wdziała na nogi stare łapcie uszyte ze szmaty. Tak śmiało postępując spotkali się koło Mikaszówki za kanałem Augustowskim ze żebrakiem idącym na dwóch kulach, na jednéj nodze miał szczudło, na drugiéj znowu ciekace rany, widać było na nogach ropę, bo był boso. Lida na pierwszy rzut oka poznała tego żebraka, on zasię nie mógł poznać Litwinki. Korzystając z téj niewiadomości, zapytuje się: „Panie ojcze nasz towarzyszu, cóż tam słychać koło Augustowa? czyli tam można przejść bezpiecznie, bośmy się wybrali na Kalwarją!“ — „Niebezpiecznie puszczać się gościńcem, wojsko moskiewskie idzie na wyścigi, zaczepia każdego, a tém więcéj kobietę, oj nie radzę nie, raczéj się wróćcie do domu.“ — „Z dalekaż ojcze?“ pyta Lida. — „Od Kadysa powracam do domu.“ — „To nad Narwią ten Kadys,“ uśmiechnęła się dziewczyna, „podobno za Sławiszkami?“

Dziad się przypatrzył, nie mogąc pojąć, do czego ta śmiejąca mowa, nareszcie zapytała: „Izydorze, powiedz gdzie misjonarze?“ — Osłupiał Izydor, nie mógł pojąć, kto go takim pewnikiem zapytuje: „Ja nie żaden Izydor,“ wypiera się. — „Ale,“ rzecze dziewoja, „powiedz nam, czy prawda, że ich w Augustowie złapali Moskale?“ — „Nie złapali misjonarzy, tylko kapitana Modlińskiego, który ich zdradził, i chłopa, co ich przeprowadzał.“ — „Jakem Lida, Izydorze, tego wieśniaka ukarzę, jeżeli zawinił.“ — „Broń Boże! on niewinny, wpadł w kłamkę, lecz co więcéj powiem, Zochna w niebezpieczeństwie, ona co najwięcéj drogą tych naszych patrjotów kierowała.“ — „Jak to?“ — „Zatrzymali ją synowie tego wieśniaka, i grożą jéj śmiercią, jeżeli ich ojciec zginie od Moskali. Ledwiem się wyrwał, będąc jéj towarzyszem, szukam sposobów jakiego ocalenia, i wybrałem się do Merecza, wiedząc,

że tam ten stary nasz patrjarcha coś wymyśli.“ — Krywa krząknął: „No, no, nie turbuj się Izydorze, Moskwa nam ani Zochny ani chłopa nie udusi, skorom przybył na czasie.“

Izydor uściskał starego dziada: Piękny to był widok, jak się ściskały dziady, bo właśnie jechał konwój kozacki, patrzył się na nich i wyśmiewał z nich: „hoho, poznał widzę pijak pijaka i bratają się na gorzałkę.“ — Dziady zrobiły miłosierne miny, kozaki widząc ciekące rany i szczudło Izydora: „eh masz dwie kopijki żebraku, a módl się, abyśmy co ułowili.“ — „Panie Boże wielki zapłać,“ odezwał się z płaczem Izydor, „Boże pomagaj na te zające, łazi to łazi teraz tego po polach, nie była ostra zima, nie wymarzły.“ — Kozaki pojechały daléj, dziady szły sobie drogą mówiąc głośno pacierze.

Żochna trapiła się aresztowaniem swéj osoby okropnie, i wyrzucała sobie ową płochość, że się zwierzyła, iż jest misjonarką, myśląc: chłop złapany przyciśnięty do bębna, gdy mu po grzbiecie zaczną latać pałki, wyplecie! Pocieszała się jednak jak mogła, i wysłała Izydora, aby wywietrzył, co się z chłopem i misjonarzami dzieje. — Izydor dowiedział się o zamknięciu Modlińskiego, a nawet głośno mówiono w obozie jenerała Saakena: że podlec, bo zdradził swoich. — O chłopie nie mógł nic się dowiedzieć, bo trudna z Moskalami była sprawa; teraz uważali już na każdy ruch i skinienie. Gdy zasię wywietrzył, iż oddział przeznaczony na ściganie misjonarzy znajduje się za kanałem augustowskim, przebrał się za dziada i szedł w tamte strony, aby włościanom dał ostrzeżenie, iżby nie mówili prawdy przed kozakami, choćby wiedzieli, gdzie się znajdują misjonarze. — Z tego powodu zderzył się z rybakiem i Lidą.

Stary Krywa przemyśliwał nad najtrudniejszém zadaniem, albowiem uwolnienie Zochny z rąk chłopskich

nazwał igraszką, lecz uwolnienie chłopa z rąk moskiewskich, to nieprzechyrki. — Zadumał się tedy starowina idąc drogą, nie mówił ani pacierzy, nie żebrał o jałmużnę, choć go przewodniczka napominała: Teraz idzie chłop, teraz jedzie pan, teraz kobieta. — Szli tak długo, sprzykrzyło się Izydorowi to milczenie i rzekł: „Stary, masz koncept albo nie?“ — Krywa odmruknął: „Dzwonią tobie widzę macherzyną! Idźcie oboje prosto do Augustowa, mnie zostawcie samego.“

Posłuszeństwo względem starszych rządziło światem i będzie. Izydor poszedł tedy do Augustowa ze swoją niby córką ciemną na jedno oko, i kulawą na prawą nogę. Dwoje kalek żebrali chleba. — Litowały się nad kalekami nawet moskiewskie żołdaki, udzielając z kotłów jałmużny. Lida pierwszy raz spróbowała téj mięszaniny: grochu, kapusty, sadła, mięsa, piasku i soli. Tóżto były przysmaki sporządzane dla żołdaka na wodzie z kanału czerpanéj, gdzie wszystkie schodzą się z miasta nieczystości; albowiem Moskale obawiali się brania wody ze studzien, by nie były zatrute. Izydor zahartowany jako wieśniak, przez jego żołądek prześliznęła się już była niejedna surowizna, połknął żer podany na warzesze z podziękowaniem bez odrazy. Ale delikatne usta Lidy nie mogły znieść coś podobnego; jak ją tylko zaleciał ów smród, nastała w ten moment ejekcja. Straż spostrzegłszy, myślała, iż złapała dziadówkę cholera, porwała ją na wózek umyślnie na ten cel urządzony i powiozła z innemi do cholerycznego szpitala. Strupiał Izydor, wystąpiły nań wszystkie poty; nie może jéj ratować, aby się nie zdradził, ani wołać kogo, ani wie, gdzie jéj opiekuńczy anioł, stary orzeł Krywa. W desperacji wraca do wioski, by Zochnie udzielił tak niepomyślnéj nowiny.

Zochna była zawsze pod strażą, nie śmiąc się ruszyć z chłopskiéj komory. Synowie Marcina pilnowali ją na odmiany, a do skrzyni pochowali jéj przebrania

oficerskie jako korpus delicti. — Przyszedłszy Izydor, umyślnie opowiada niestworzone wieśniakom rzeczy, że Polacy wygrali, sto tysięcy idzie od Warszawy, a cała Litwa powstała, wzięli Moskali we dwa ognie i zgnietą ich na kwaśne jabłko. Skoro się zetkną armje, zapewne nasi odbiorą jeńców, a i wasz Marcin przyjdzie do domu. — Zochna sama myślała, że się Izydor z prawdą nie mija i nabrała nadziei. Sprytny Izydor zaczął nosić wódkę wieśniakom na tę fantazję, popijali ciesząc się, aż się popili na dobre. W nocy Zochna ubrała się w mundur oficera moskiewskiego, Izydor tożsamo, zaprzęgli włościańskie konie do wozu, kiedy bractwo pijane spało, i pojechali do Augustowa.

Dwa praporszczyki latali po mieście, tu byli, tu ich niema, aż zawlekli się do szpitala cholerycznego, by poszukać Lidy. Zochna udaje lekarza. Błysnąwszy bystrém okiem, spostrzegła na słomie leżącą postać zmizerowaną okropnie; poznawszy Lidę, pyta, co jéj takiego? Maca pulsa, robi gnozę, woła dozorujących: „tę zaraz dać do rekonwalescentów, bo przebyła atak cholery i wyzdrowieje.“ — Lida poznała Izydora, poczerwieniała z radości, ale kto ten drugi, nie śmiała pytać w takim zamęcie. — Posługacze krzyknęli na chorą: „zbieraj się, pójdziesz ztąd w inne miejsce.“ Lida poddała się wyrokowi, skuliła nogę prawą, prosi aby jéj pomogły fagasy. Izydor słysząc tę mowę, wziął ją sam za rękę, rzekąc burcząco do fagasów posługaczy: „Wy Polaki wstydzicie się własnych ludzi, my zaś Rosjanie w każdym człeku uważamy bliźniego.“ — W tym pochodzie szepnął Lidzie Izydor: „Doktor Zochna.“ — Znowu niespodzianka dla zestrachanéj. Lidę ulokowano z rekonwalescentami. Izydor szepnął jéj jeszcze: „odwiedzimy cię jutro.“

Długa to była chwila; Lida nie spała z radości noc całą, każdy szelest, każde otwarcie drzwi elektryzowało jéj nerwy; a tu upłynął dzień jeden i drugi,

nie widać wybawicieli. — Co się mogło stać? pomyślała sobie, kto mnie wyprowadzi z téj matni? A najbardziéj obawiała się protokołu oficjalnego, który z choremi robił pisarz szpitalowy zwykle po miniętym paroksyzmie; bo tych, co napadła cholera i zabiła na łożu, nie pytano się nawet w tak wielkim natłoku o nazwisko, wywieźli trupa w nocy i koniec, po ceremonji.

Zochna zasię z Izydorem nie mogła się pokazać już do szpitala, bo otrzeźwieni synowie Marcina widząc, iż im umknęli misjonarze, narobili w pierwszym momencie gwałtu: ani koni, ani wozu, ani szpiegów! Rozlecieli się na wszystkie strony pytając, kto widział gniade konie z łysinami przyprzągnięte do prostego chłopskiego wozu. Naturalnie wszędzie były gminne warty, zaraz taka straż wsiowska powiedziała, iż jechało dwóch oficerów moskiewskich, prosto gościńcem ku Augustowu. Biegli w te strony, aż wpadają do miasta, głoszą: szpiegi ukradli im konie przebrani za oficerów rosyjskich. Zaraz zaczęła się krzątać policja. — Zochna w hotelu będąc, gdzie konie stały, usłyszała szmér niezwykły. Chłop krzyczy: to konie moje. Natychmiast zmieniają z Izydorem swoje kostjumy, pakując oficerskie mundury do pieca, przebierają się za chłopów furmanów, zamykają pokój i wynoszą się cichaczem tylnemi drzwiami na miasto.

Okropnie wtenczas cholera grasowała, krzyk był i lament w każdéj niemal kamienicy. Izydor ze Zochną przyłącza się do tragarzy, którzy znosili chorych, wyciągali trupów. Na tę posługę nie było ludzi. Mieszczaństwo widząc chłopków skwapliwie zbierających chorych do szpitala, było ukontentowane i mile patrzał się każdy na tych odważnych ludzi, którzy wpadali do domów, tarli octem, kogo napadały kurcze, wieźli umarłych na cmentarz, a jeszcze żywych do szpitala.

W trapiącém oczekiwaniu przebyła Lida trzy dni, gdy wreszcie Izydor ze Zochną i jeszcze kilku pomo-

ników, najniższéj kondycji ludzi posługaczy miejskich, przywieźli wóz pełny zapowietrzonych do szpitala. Otwierają wprost stancję, gdzie była Lida, a widząc Lidę strapioną, pyta Zochna: „Tyś dziadówko chora czy co?“ — „Ja chwała Bogu uratowana!“ — „Na cóż masz tu śmierdzieć i zabierać miejsce, marsz ztąd.“ — Lida zabiera swoją kulę i wychodzi, a Izydor za nią. Poznałać ona wybawiciela. — Izydor prowadzi żebraczkę o kuli. Każdy myślał, że prowadzi zapowietrzoną. Do téj grupy przyczynił się drugi towarzysz w chłopskiéj zasmarowanéj brudem sukmanie, a nim była Zochna. Wszyscy tedy trzej wynieśli się z Augustowa. — Jakie było przywitanie dwóch przyjaciółek na osobności, nie był nikt świadkiem, tylko gwiazdy, bo się dopiero poznały bliżéj w nocy, i musiały uściskać, gorącemi usty pieczętując przyjaźń swoją.

Wiedząc, że się cała zgraja szpiegów rozsypała wszędzie, aby ułowiono ofiary, udali się misjonarze nad rzekę Sejnę; tu ledwie że nie postradali wszyscy troje życia, bo uchodząc, puścili się w pław, i już tonęła Zochna z Lidą, ale Izydor umiejąc pływać, uratował ledwie obie. Tak zmoknięci wpadli do chłopa i tyle czasu tylko zabawili, że się zagrzali, bo już przypadli kozacy na rewizję wioski. Poczciwe wieśniaczysko ostrzegł wędrowników słowy: Jeżeliście jacy niepewni, wynoście się czémprędzéj do wikla, bo już kozacy dom w dom rewidują. — O chłodzie i głodzie wśród największych niebezpieczeństw, przyprowadziła Lida towarzyszów do leśnego niedaleko Kibisza. Tu zapewniła przybyszom pewne schronienie, — aż tu masz, chałupa pusta, ani żywéj duszy, leśnego niema, tylko zbity, skrwawiony jęczy na gnoju 14-letni pastuszyna i dogorywa. Chcą się go pytać, co zaszło takiego? jakże opowiedzieć może, kiedy nie mogą mówić zbroczone usta, w których powybijane na przodzie wszystkie zęby. Zestrachani tym wypadkiem, wynieśli się w bok do

lasu i usiedli w gęstwinie. — Szeptali sobie do ucha, aby nie zdradzać głosem swoim tego schronienia, radząc, co tu czynić? — Zaszeleściało w krzaku. Skoczyli na równe nogi, a na przodzie stanął Izydor z okutym kosturem. — Idzie chłop, potrzaskują mu pod nogami suche gałęzie. Lida poznała w nim leśnego, wyrychliła się naprzód, wołając głosem przytłumionym: Mateuszu! Chłop się obejrzał, zobaczył kobietę, przybliża się, a ona powtarza: „Mateuszu, co się tu stało dla Boga!"

„Oh stało się stało, ledwiem uciekł do tych kniei. Jakiś potwór, zły człowiek niecnota zdradził, że u mnie znajdują się misjonarze. Zadzwoniło mi w uchu kilka razy. To boskie przestrzeżenie! rzekłem do tych panów, uciekajcie w las, bo mi w uchu dzwoni, będzie zdrada. — Nie omyliło mnie przeczucie, patrzę się do okna, a tu jadą z dołu od wsi kozacy; zostawiłem tylko w domu pastuszę z nakazem. Choćby ci język urznęli, nie powiedz, kogoś widział. I umknęliśmy zaledwie. — Tak pokazałem tym panom Niemen. Westchnęli sobie tylko do Boga i puścili się ku niemu, ja zasię tułam się co dzień po lesie, obzierając się na wszystkie strony, ledwie tyle dopadnę czasu, że leżącemu chłopcu podaję wody i omaczam rany, uciekam znowu w las, a w nocy tom mu przecie wepchał do gęby jakie jedzenie, bo ciągle się ktoś koło mego domu kręci, widzę, że to muszą być od kozaków przekupieni szpiegowie czyhający na złapanie. Lecz jak to słońce świeci, już ich nie złapią, kiwnęli mi z tamtéj strony czapkami — i poszli do Litwy!"

Do mówiących przybliżyli się Izydor i Zochna, dziwując się, że tu byli misjonarze, a Mateusz zestrachany, widząc tyle osób, rzekł dygocąc: „Uciekajcie dla Boga, nie widzicie, że znowu jadą ku lasowi kozaki?" — Wiara się rozpierzchła na wszystkie strony.

XXVII.

W Porzeczu zmieniła się postać nie do opisania. Nikt nie zajechał, w dworze cichutko, niekiedy tylko zaturkotał wózek, wysiadł z niego lekarz, wbiegł do pomieszkania i nie bawiąc pół godziny, znowu tym samym wózkiem odjeżdżał. Dlaczego tak? bo pani Wołowiczowa uwiadomiona fałszywą wieścią, iż syn dostał się w ręce nieprzyjaciół, tak się zirytowała, że zachorowała ze zmartwienia. — Małżonek posłał po lekarza, opowiedział mu w swojéj dobroduszności przyczynę choroby; lecz lekarz zamiast pociechy i dania stroskanéj matce pomocy, pomruknął: „ehę, rozumiem was.“ — „Oh Matko Boska, co za doktor, nie wierzy, że chorujesz ze zmartwienia,“ wyrzekł Wołowicz do żony. — „Nie wiesz to mój poczciwy, że lekarz służbista moskiewski, i nawetbym żadnego od niego nie zażyła lekarstwa; oh! za syna gotowi się zemścić na matce i ojcu, ale Bóg nas, mam nadzieję, nie opuści. Żądała Lida od niego téj ofiary, zażądam ja od niéj wzajemności, niech idzie do klasztoru i modli się teraz za duszę jego.“

Tak sobie rozmawiali stroskani małżonkowie pocieszając się samotni, kiedy ich nikt pocieszyć nie chciał, albowiem wykryto w powiecie, że młody Wołowicz wciągnął dużo osób do spisku, poaresztowali młodzież, starców, kobiety i córek dosyć, ztąd wywiązał się lament i skrupiła się nieprzyjaźń na starych Wołowiczach. Byli tacy, co nic nie mówili na to fatum, ale większa część złorzeczyli chwili, kiedy młody Wołowicz przestąpił ich progi. — Jedyna Przecławska była wierną, zachowując przyjaźń starą i niezłomną. Mimo wielkich przeszkód przyjechała do Porzecza podzielić się z wiadomością. Na wstępie pan Wołowicz nie wiedział słów znaleść na powitanie téj Jmości: „Z nieba spadasz pani dla nas w najkrytyczniejszéj chwili, po-

dwoiło się nieszczęście, ktoby się spodziewał, że się pokrzyżują tak wszystkie plany!“ narzekał i powtarzał sentencje niezrozumiałe. — Pani Przecławska się patrzy i nie może wyrozumieć; staruszek rozczulony wprowadza ją do chorej żony. Teraz dopiero zrozumiała zmartwienie, i zapytała ciekawie: „Ależ Jmość do łóżeczka się położyła w chwili, kiedy się zaczęły na prawdę tany, i właśniem przybyła umyślnie podzielić się z państwem tą wiadomością. Nasze chłopaki spisały się jako zuchy, przybyli z Warszawy szczęśliwie.“

„Co też Waszmość mówisz?“ wpatrzyła się w nią Wołowiczowa, aż rumieniec wystąpił na jej lica. — „To nic nie wiecie?“ — „Właśnie doszła nas smutna nowina, że złapano emisarjuszów pod Augustowem i pociągną ich Moskale na sznurkach do góry.“ — „Dawno?“ — „Będzie temu tydzień okładem, zresztą dnia nie pamiętam, bo mam okropnie tym wypadkiem skłopotaną głowę.“ — „Nie turbuj się Waszmość, inaczej rzeczy stoją, Moskale łapią kogo mogą i mszczą się za naszych synów. Synowie nasi przebyli Niemen szczęśliwie, przywieźli instrukcje z Warszawy, aby cała Litwa powstała, mam najpewniejszą wiadomość z Swisłocza.“

Państwo Wołowiczowie się zadumali. Stary rzekł: „Nikt inny, tylko rybak z Lidą musieli im przetorować drogę, bo jakem się żegnał w Mereczu z nimi, przyrzekł stary, że mu pierwej na dłoni włosy wyrosną, niżeliby dał naszych chłopaków do rąk Moskali.“ — „Chwalebnie moi Waszmościowie! ale mi się nie zdaje, by rybak dokonał coś podobnego, dokonali raczej *przyjaciele cnoty* tych cudów, za co im wieczna niech zostanie chwała.“

Taką pogadankę prowadzili starzy państwo w dworku Porzeckim, pocieszając się nadzieją, iż nie tak złe rzeczy stoją, jak fama rozgłosiła w okolicy. Ani się spodziewali, by im kto przerwał tę pocieszającą chwilę, a tu przychodzi wprost do pokoju chłopek

Hryńko w grubéj gurmanie otulony. — „Hryńku,“ rzekł Wołowicz, „toś widzę skończył wojaczkę jak i ja, na co nam to starym tego, na co?“ — „Ej panie,“ ośmiał się Hryńko, „pan Skalnik Soroka przecie starszy jak Jegomość, a on całą duszą koło Wilna, nie pyta na rzeź w Oszmianie, bo ją Matuszek powetował, zbiera znowu ludzi, słyszałem nawet, że ogłosił, iż nam panowie darowali pańszczyznę, kiedy tak, zbieramy się wszyscy, bijmy Moskali na kapustę!“

„I ty Hryńku idziesz po raz drugi?“ — „Na pierwsze się nam nie poszczęściło, bo nam kobieta przeszła drogę, ale na drugi raz z pewnością ich wygonimy.“ — „Nie bądź zabobonnym, kobieta nie nosi z sobą nieszczęścia.“ — „Hoho panie dziedzicu, toć i panicz byłby nie poszedł do Warszawy i nie tułał się po świecie, a byliby go nie zakarkusili, gdyby nie kobieta; nie ma to Jegomość przeświadczenia na dłoni?“ — „Ej Hryńku mijasz się z prawdą, mój syn żyje, a panicz Przecławski także.“ — „Nie może być, wszak jak odwoziłem doktora, powiedział mi: raz przecie ukręcili łeb tym buntownikom, już wiszą na gałęzi. Aż mi cierp przeszedł po kościach, jeno przyjechałem, zebrałem się i pójdę, niech za mego dobrego panicza skręcę karki kilkom. Ale kiedy tak, niechże mi pan dziedzic powie, gdzie mam szukać panicza, choćby i do saméj Warszawy, polecę za nim ochotnie.“ — „Mój Hryńku nie potrzebujesz się trudzić do Warszawy, nie, on tu bliżéj.“

Pani Przecławska potrzęsła głową, patrząc się na Wołowicza; zrozumiał ją Wołowicz i rzekł: „Dobrodziejko to nasz, gdybyśmy takich mieli ludzi, cóżby nam trzeba było, czapkami wygnalibyśmy Moskwę za Wołgę daleko!“ — „Tak, pochwalam cię zuchu!“ — „Otóż kiedyś taki, idźże kochanku do *Trok*, tam w okolicy znajdziesz dowódzcę naszego Matuszewicza, on w lasach Dusznańskich ma swoje legowisko, pod jego bokiem znajdują się nasi panicze, a gdyby ich tam nie

było, wskażą ci, gdzie poszli, rozumiesz?“ — „Czy mam iść na Merecz?“ — „Z przyczyny?“ — „Bo tam rybak wie o wszystkiém na świecie.“ — „Hoho! mój poczciwy, gdzie rybak, to Bóg raczy wiedzieć, idź no najprostszą drogą za moją radą.“

Chłop poszedł słuchając pana z ustném poleceniem. Po kilkodniowéj mozolnéj podróży, idąc pobocznemi drogami bezpiecznie, natrafił po lasach na grupy uzbrojonego chłopstwa; z takim oddzialikiem uformowanym koło Szczuczyna za Niemnem, maszerował krętemi ścieszkami do lasów Duszniańskich. Tu wprawdzie znaleziono silny oddział insurgentów, ale między nimi nie było Wołowicza i Przecławskiego. Matuszewicz oznajmił posłowi, że się znajdują w Samogickiéj ziemi, gdzie główna kwatera w Rosieniu, i dał przewodników dla bezpieczeństwa, którzy Hryńka przeprowadzili przez Wilją rzekę i wskazali dalszą drogę.

Już zbliżył się poseł w tamte strony, kiedy mu na noclegu opowiedział chory maroda o wielkich wypadkach, w Rosieniu temi słowy: „Towarzyszu! idziesz zdrowy do walki, ja już nie mogę, bom utracił jedną nogę, ale gdybym mógł ręką machać, machałbym na wszystkie strony, bo warto popróbować się z Moskalami. Otóż słuchaj: jest *w Kelmach* możny pan, nazywa się Juliusz Gruzewski, człowiek bardzo przystępny i uczciwy, krwiby udzielił z palca w potrzebie. Kiedy Polska powstała w Warszawie, każdy się obawiał u nas pochwycić za broń. Właśnie byłem zarobnikiem ciesielskim w dobrach jego, ciągle rozmawiał z nami: Chłopcy co wy myślicie, dalibyśmy rady Moskalowi! Nikt z robotników nie otworzył gęby; ośmieliłem się: Panie, ja drzewo ociesuję, a ci darmo stoją, bo nie mają toporów; gdybyś im sprawił każdemu toporek, obciesywaliby razem z nami. Pan się tylko ośmiał na moje słowa i trwało dosyć długo. Naraz 25. marca zapowiedział pan wszystkim poddanym, aby się do lasów

zgromadzili, bo mamy ciesać drzewo. Niejeden psuł sobie głowę, czém będzie ciesał, kiedy nie ma toporka, zeszliśmy się wszyscy, było 400 tęgiego chłopa, 50 przybyło na koniach, a uczeni leśni i leśniczowie zeszli się na polowanie. Pan Gruzewski się śmieje: Chłopcy umiecie wy dobrze ciesać? Znowu popatrzyli się wszyscy na mnie jako majstra, a ja wyrzekłem: Panie dziedzicu, brakuje nam toporków. Zaraz przyjeżdżają bryki, wyjmują toporki na długich kijach świecące jak słońce, ośmiała się do tych naczyń wiara: Ano, będziemy teraz obciesywać Moskali! W to nam graj! wszyscy zrozumieli i wykrzyknęli: hura! i idziemy z ochotą. — W pół drogi w nocy przyłącza się do nas pan Staniewicz Ignacy ze swoimi; większéj nabrała jeszcze wiara ochoty, i idziemy, niedaleko Rosienia stoi pan Kalinowski z swoimi chłopami. Hura! hura! hura! krzyknęła wiara, o północku wpadamy do Rosienia. Moskale w takiém zamięszaniu utracili głowy, krzyczą: „Pomyłuj!“ za dwie godziny zabraliśmy całe miasto. Wojsko się najprzód poddało, zabraliśmy magazyny, broń, powiązali urzędników, a co najwięcéj, bo 50.000 rubli pieniędzy! Pomaściliśmy się mówię jak chudy pachołek o trok spyrkarza, panowaliśmy tam 4 dni. — Moskaluszki powąchały nas, że na własnych śmieciach gospodarujemy, przyszli cichaczem z kanonami, nasi dowódzcy mówią nam: zostawmy miasto puste, niech się znowu osiędą, to im zagramy mruczka. — Wyszliśmy sobie powoli i ukryli się w lasach. Moskale zwożą magazyny, broń i armaty, sadowią się na nowo jak kura na grzędzie; jak nasi dowódzcy spostrzegli, że tego zadosyć, nakazują nam: Chłopcy, wypędźmy z jamy lisa! Ba! na te słowa nie były przechyrki, wyruszyła wiara, jak napadniemy na Rosienie, a nuże tnie każdy gdzie może, zlatują główki jak makówki, wykurzyliśmy lisa i pędzimy a pędzimy nad samą Wilję, zmiarkowawszy Moskaluszki, iż to woda, zrobiły dra-

paka w prawo, i fuknęli nam do Prusaka. Jeszczem dopadł jednego na granicy, ale bestyjka jak mnie płatnie w nogę, tak mi przeciął na dobre, za co mu nie daruję, choćby mnie wsadzili do samego piekła za karę, bo bym był jeszcze teraz poszedł na Telsze, tam się sformowali nasi, ma im przyjść z Połągi na morzu pomoc, tak oświadczyli misjonarze, co ich Polska do nas przysłała.“

Hryńko słuchał, podnosił się na pościeli, słuchając zabawnego litewskiego wiarusa, co mu tyle dodawał opowiadaniem animuszu, i rzekł: „Wiesz bracie, że ja idę do tych panów misjonarzy w poselstwie od ich ojca?“ — „A cóż im masz powiedzieć?“ — „Oh, co im mam powiedzieć, głupstwo. Ojciec bo mądry, ale matka jak każda kobieta, jéj tylko wesele w głowie, chce koniecznie być przed śmiercią na ślubie syna!“ — „Fiu, fiu! i ty śmiesz iść z takiém poleceniem! jabym urwał mojéj kulawéj nogi i prałbym cię tak, jak księża na ambonie gadają, Samson kością lisów. Czy prawda, nie wiem, bo nie umiem czytać, ale na mój głupi rozum wartasz baty! Dziś, kiedy w tak wielkiém niebezpieczeństwie ojczyzna nasza, ma młodzian myśleć o ślubie? Chybabym nie żył, pójdę z tobą o kuli do Rosienia i opowiem naszemu panu dyktatorowi panu Staniewiczowi, aby postawił tych paniczów na samym cyplu flankowym, nie z bronią, ale kijami, niech się tak nieprzyjacielowi oganiają na wstyd, że im się nie wojaczki, ale żeniaczki zachciewa.“

Hryńko nie umiał na tę perorę wiarusowi nic odpowiedzieć; po chwili zapytał: „Jakże mi doradzisz, cóż mam czynić?“ — „Jeszcze się pytasz? Nie masz broni, bierz kij i goń Moskwę na ostatnie krańce świata, niech nam nie wchodzi więcéj za pazury, zabrała nam kraj, zrabowała majątki, pohańbiła żony i córki, wywlekła z kraju synów, skasowała nam nabożeństwa, pozamykała kościoły, powięziła kapłanów, odebrała ję-

zyk i wyzuwa z roli, czyż więcéj możemy cierpieć nawet za grzechy w piekle? Masz braciszku moją rusznicę, oto mam pod pościelą zagrzebaną, bierz, idź do Telszy, tam przyłącz się do naszych bohaterów, i bijcie a bijcie Moskwę na kapustę.“ — Hryńko nie mógł spać, nadedniem wyniósł się z rusznicą na ramieniu i poleciał w okolice *Telszow*, kędy zgromadzona była wszystka siła Żmudzi.

Kilka tysięcy dzielnych Żmudzinów odbywało śmiałe ćwiczenia. Hryńko wstąpił także do tego oddziału, poznał on w szeregach swoich paniczów, ale usłuchał wiarusa nieprzyznając się do nich zupełnie. Nakazano wymarsz na *Dobryany*, małą mieścinę niedaleko Święta Hailigen położoną, kędy był port za króla Jana III. na morzu Bałtyckiém. — Tu stoczyli Żmudzini z Moskwą krwawy taniec, dwa razy wyrzucali ich nieprzyjaciele ze stanowiska, dwa razy szturmowali oni zacięcie, aż otrzymali stanowisko. Podczas tych bitew widział Hryńko śmiałego Wołowicza, wywijającego szablą na przodzie, i pomyślał sobie: „myślałby ci on o żonie, kiedy tak zacięto kaleczy i na ziemię nieprzyjaciela powala.“ Nie dał się jednak poznać, ani się przymawiał do niego. — Wyruszyli na zdobycie Połągi; tu wprawdzie nic nie wskórali, bo Moskale otrzymali morzem pomoc, trzymali ich tylko w szachu częścią armji, nie dając im ruszać się z miejsca; druga część pobiegła po kraju i wyczyszczała wioski i miasta z tego obcego śmiecia. Przy każdéj z tych potyczek ognisto dowodzili Wołowicz i Przecławski na przodzie jako oficerowie zdatni i śmiali, a najbardziéj przy *Tanrogu*, bo ich na placu boju ogłoszono *kapitanami*.

Teraz już nie mógł wytrzymać Hryńko, idzie wprost najprzód do Wołowicza i w obozie przedstawia się: „Jestem pański poddany.“ — Śmiały Wołowicz odpowiedział: „Obywatelu tyś równy mnie, już teraz niema w Żmudzi poddanego, musiałeś czytać manifest Gru-

zewskiego.“ — „Ale panie kapitanie, ja zawsze poddany, bo Hryńkowie byli poddanymi państwa Wołowiczów i będą.“ — Wołowicz się przypatrzył bliżéj: „Tyś Hryńko z Porzecza?“ — „Tak.“ — „Witaj mi bracie, i powiedz, jakimże dostałeś się tutaj sposobem?“ — „Panie, za językiem człowiek na krańce świata zajdzie.“ — „Mój ojciec, moja matka żyją?“ — „Do woli Bożéj, ale i pani Przecławska w Porzeczu.“ — „Co mówisz?“ biegł po obozie i za chwilę przyprowadził Przecławskiego.

Obaj kapitanowie cieszyli się z wiadomości rodzicielskich, ściskając Hryńka serdecznie. Widząc jednak, że on ma coś na wątrobie, bo im się zanadto przypatrywał, mierząc ich spojrzeniem, zapytał Wołowicz: „Hryńku, tyś na próżno nie przyszedł tutaj?“ — Przyparty tak do ściany Hryńko, wyjawia mu sekret matki. — „Haha,“ ośmiał się Wołowicz, „po wojnie szczęśliwéj będziesz mi drużbował Hryńku, ale wprzódy nie.“ — Hryńko się ucieszył: „prawdę mi mówił maroda, że teraz niema czasu myśleć o weselu.“ — Uśmiechnął się na te słowa Wołowicz, który wyczytał na twarzy posła, że ma jakiś interes na myśli, i rzekł: „Ej Hryńku ty masz jeszcze coś na wątrobie, powiedzno, nie bój się.“

„Panie! będzie źle z nami. Idąc w te strony na Wasiliszki, słyszałem mowę. Jenerał moskiewski Dibitsch powiedział nie wiem do kogo, iż nosi w kieszeni zapewnienie całéj Europy, że nikt Polakom nie udzieli żadnéj pomocy. Jeżeli tak, to za nic cała sprawa, a zatém lepiéj się wynieśmy zawczasu. — „Czy prawdę mówisz?“ — „Nie zmyślam, tylko powtarzam com słyszał, a mówili to panowie jadący z Grodna; oni musieli słyszeć przecie od kogoś, bo na wiatr nie wyleciała taka mowa.“ — Wołowicz rzekł: „albo albo, nie mówże bratku nikomu, bo tego bąka musieli puścić naumyślnie Moskale... i od téj chwili będziesz już

moim towarzyszem.“ — Hryńko się ucieszył: „Panie, ja pójdę za panem do samego piekła.“

Jednak ta wiadomość zaniepokoiła Wołowicza; udzielił ją Przecławskiemu. — „Wiesz co,“ rzekł Przecławski, „zasięgnijmy w jeneralnym sztabie wiadomości, co jest na tém prawdy?“ — „Słusznie!“ odpowiedział Wołowicz, i udał się na miejsce przeznaczone. Jakież było jego zdziwienie, gdy powiadają mu, „że tak miał powiedzieć marszałek Dibitsch do Mycielskiego, adjutanta naczelnego polskiego wodza. Radzimy właśnie, co czynić, i głosy są podzielone, jedni chcą walczyć do upadłego, drudzy zasię czekać na pomoc Polaków.“ — Ostatnia strona przeważyła, umyślili tedy posłać misjonarzy do Warszawy, aby przynieśli pewną wiadomość, co Polacy zamyślają. Los padł znowu na Wołowicza i Przecławskiego.

Wołowicz przyszedłszy do obozu, woła Hryńka: „Chcesz widzieć Polskę mój Hryńku?“ — „Albożem ją nie widział i nie skąpał się był pod Brześciem Litewskim?“ — „A no, to ją drugi raz zobaczysz, biorę cię z sobą, idziemy.“ — Hryńka jakby na sto koni wsadził: „Panie, zobaczysz ulubioną.“ — „Co pleciesz?“ — „Nie pletę nic, stary wyjadacz z Merecza powiedział mi do ucha, jakem tu szedł: Idź, przyprowadź tego anioła, bo czeka nań drugi ukryty w Mereczu.“ — „Daj mi spokój z romansami.“ — „Ej panie, jeszczebym coś więcéj powiedział.“ — „No co?“ — „I pan Przecławski się uraduje, bo i dla niego ma Krywa aniołka.“ — „Słyszysz Przecławski, hę?“ — Przecławski się otrzęsnął: „nie słuchajże plotek kobiecych, marsz do Polskiéj i koniec, nasza misja nie czeka zwłoki.“ — Zaczęła się nowa misja, znowu obrali sobie drogę ponad pruską granicę.

XXVIII.

Zochna z Lidą i rybakiem przeszli szczęśliwie granicę, dostali się do Litwy, jeden tylko Izydor pozostał mówiąc: ja tu będę narodowi potrzebny. — Cóżby mógł zdziałać człowiek tak pojedynczy jak on dla narodu? Prawda, że natura wytwarza geniusze, ale pomagają im także do tego czasem i okoliczności. Izydor był sobie prostym wieśniakiem, on robił ze swego dowcipnego rozumu interes, bo wszędzie wśliznął się za pieniądze, i wyłaził z matni także za nie. Rozstawszy się z misjonarzami, którym niejedną poczynił przysługę, przybył do własnéj chatki. Żona i matka oczekiwały go z niecierpliwością. On przyniesie pieniądze, mówiły sobie i szeptały cicho, będziemy bogaczami. Przybył nareszcie, obie czytają na jego twarzy, pozierają na siebie, zrozumiały się, i westchnęły jakby na komendę: „ach, my biedni!“ — Izydor zrozumiał to westchnienie, rzucił czapką o ziemię: „Tak, my biedni.“ — Różne snuły się po jego głowie myśli, dumał, był niespokojnym, powtarzał: „my biedni!“ — Tak upłynęło dni kilka, nareszcie się wyniósł cichaczem z domu nie opowiedziawszy się ani matce ani żonie.

Obie kobiety siedziały znowu smutne. „Widziałyśmy złoto,“ rzekła matka, „cóż żeśmy go oglądały, kiedy zabrali go nieszczęśni Moskale, jeszcze pytali, gdzie więcéj? Nie czuję do dziś dnia ramienia, jakże mi zadał kijem zapytanie: daj, bo cię zamorduję, ach Boże!“ — „Matko! pomyślałam inaczéj, przy skarbach człowiek nieszczęśliwy, o ileż byliśmy spokojniejszymi, nie widząc złota. Przywołaj sobie matko te błogie chwile do pamięci, przędłyśmy kądziołkę, śpiewały o Jezusie, la la la w Betleem, słodki nam był wieczór, a słodszy sen bez zrywania się i bojaźni, a teraz trapi nas mora, żałujemy straty, jakby nam do zbawienia potrzebną była, tymczasem widzę tak nie jest.“ — „Synowo! mó-

wisz prawdę, o niéj nie wie Izydor, a gdyby wiedział, zapewnieby porzucił wszystkie zabiegi, ucałował próg spokojny własnéj chatki, w któréj tak dobrze i swobodnie dla wieśniaka. Lecz gdzie on?“ — „Albo ja wiem matko! wyszedł nie powiedział nikomu.“ — „Idźno, a spojrzyj za nim.“

Izydorowa poszła, matka staruszka została sama, czekała i czekała. Tymczasem nadeszli w tę stronę kozacy, owi rozpustnicy armji, utworzeni raczéj dla rabunku niżeli odwagi i męztwa; napadli dom wieśniaczki, plądrując, nie znaleźli zgoła nic. — „Tyś pochowała przed nami,“ rzecze kozak i kropnie ją nahajką, kropi drugi i trzeci. Kobieta nieprzyzwyczajona woła wniebogłosy: „Nie mam nic, bo mnie już raz zrabowano.“ — Opryszki nie wierzą, kropią daléj nahajkami, aż zafarbowała się na jéj plecach koszula. Kobieta bełkocze: „zabrali dukaty, uciekli przede mną,“ i różne niezrozumiałe mówi słowa. — Kozacy nie ustają w inkwizycji: „kto uciekł?“ — „A mój syn i synowa niema ich,“ krzyczy kobieta wniebogłosy. — Lecz nie mają potwory miłosierdzia nad wieśniaczką, smagają, „daj hroszy!“ aż ona już nic się nie odezwała, bo zasnęła na wieki.

Leżał trup na środku chaty, drzwi otwarte, pustka. — W takim stanie znajduje dom przybyła zadyszana ze świata Izydorowa. Okropność! Załkała tylko okropnie, widząc zamordowaną matkę. — Obertnęła się w tym strachu i wybiegła jak szalona. — Ten pierwszy szał kierował jéj krokami w okolice Warszawy: tu musiał pójść mój Izydor! szeptało jéj przeczucie i biegła a biegła krętemi kraju ścieszkami, kędy nie mogła dojść ją nieprzyjaciół ręka.

Główna armja rosyjska stała nad Wisłą, jéj wodzowie ściągnęli wszystkie prawie siły, bo mieli zapewnienie, że mogą rachować na pewne zwycięztwo. — Któż im dał owo zapewnienie, czy ich armji siła? czy

Polaków niedołęztwo? — Już osądziła historja fakt dokonany, poznała główne źródło, ale dotąd niewykryte są jeszcze wszystkie chodniki, którymi do źródła płynęła zepsuta woda. Sączyli ją z siebie wielcy, roznosili mali, aby potém świat nie powiedział, że tylko magnaci przyczynili się do upadku katastrofy.

Izydor przyleciał jak opętany nad brzegi saméj Wisły. Rosyjskie straże nie wiele dbały, kto przechodzi i przed niemi ucieka, zwłaszcza widząc przed sobą siermięgę. Jednak oficer rosyjski zobaczywszy włościanina i ubiór odmienny nie téj okolicy, zapytał: „Ty mużyk, gdzie ty idziesz?“ — „Do Warszawy panie!“ — „Po co takiego?“ — „Abym się zemścił.“ — „Na nas? jaki ty nie mądry! Wkrótce Warszawa będzie nasza.“ — „Co mi do was, już mnie głowa ani swiędzi ani boli. — „No kogóż masz na myśli?“ — „Panie, największe nieszczęście sprowadziła na świat Ewa, że usłuchnęła szatana, a ja największe, żem usłuchał kobiety.“

Oficer większéj nabrał ciekawości: „Któraż ci tak dokropiła?“ — „Panie, nie wyjmuję żadnéj, każda niewiasta dokropi,“ i zamilkł. — „Więc aby ci już żadna nie dokrapiała, ja cię aresztuję, bo mi wyglądasz na szpiega.“ — „Nie zapieram się, jestem nim, tylko zagadka komu i dla kogo,“ i chłopek spojrzał się ostro na oficera; ten zrozumiał, iż się go nie boi i znowu pyta łagodnie: „Powiedz czy dla nas idziesz do Warszawy?“ — „Rozumie się.“ — „Od kogo?“ — „Pan się nie dowiesz, bo to tajemnica, a przed takimi małymi wyjawiać ją nie warto ani można.“ — „Więc cię zaprowadzę do jenerała.“ — „I owszem.“

Właśnie stał Paszkiewicz z korpusem przed Warszawą; oficer przyprowadza mu wieśniaka, zdając raport ze swéj z nim pogadanki. — Po małéj chwili wyszedł Izydor wolno z obozu, a skoro się go zapytały straże: co za jeden? pokazał karteczkę papieru komendantowi i przechodził przez rosyjskie wojska swobodnie — Tak

zdążył do samej Pragi. W nocy podrapał sobie twarz i ręce, że wyglądał jak maszkarada, bo niegdzie ponarzynał nożykiem skóry. Straże polskie zobaczywszy skaleczonego, ulitowały się biednego wieśniaka, któremu tyle krzywdy poczynili kozacy. Chodził tedy po Warszawie, wycierał wszystkie kąty. Porobiły mu się większe na twarzy i na rękach rany, przekazywał każdemu, jak go zbili kozacy; wierzyli mu, litowali się nad nieszczęśliwym wieśniakiem, a on niecnota przeniósł porozumienie Paszkiewiczowi względem losu Warszawy, za co otrzymał kupę złota i bezpieczny przechód do domu.

Z jakąż szatańską radością spieszył z judaszowskiemi pieniądzmi do swej chaty. „Już my nie biedni,“ powtarzał sobie. Nareszcie przybywszy, zastaje zupełnie domek swój otwarty i pusty. — Biegnie do wsi, pyta: „gdzie mieszka moja żona i matka i kto im dał schronienie?“ — „Matkęśmy pochowali, bo ją zamordowali kozacy, żona wasza Izydorze poszła w świat, jakaś ją prowadziła kobieta, ale ją nie znamy co za jedna.“ — „Lida albo Zochna,“ pomruknął, „te jaszczurki, którem wyprowadzał z nieszczęścia, a one mi tylko obiecywały, a nie dały majątku;“ ścisnął pięści i zapytał: „w którą one mogły udać się stronę?“ — „Tam ku Augustowu.“ — Przyszedł do domu, zrewidował każdy zakątek, ani strzępka nie znalazł, pusto wszędzie, jakby naumyślnie wszystko zabrane, nawet proste domowe sprzęty. Zamknął chałupinę i poszedł.

„Ej,“ powtarzali ludzie, „jeszcześmy nigdy nie widzieli tak zmienionego Izydora.“ — Stary gospodarz przydawał uwagę: „raz tylko w życiu, Boże mnie zachowaj, widziałem wściekłego człowieka, ale milej mu się przypatrzyć było jak Izydorowi, ręczę, on ma wielkie zmartwienie, on płuży tak światem, wielką musiał popełnić zbrodnię.“ — Ta mowa starca przeleciała z ust do ust po wiosce, wszyscy powtarzali: „Izydor okro-

pny zbrodniarz, on się wściekł i w świat poleciał, byle na nas Pan Bóg nie zesłał jakiego nieszczęścia; boć tam i stara była cyganicha, ze złym trzymała, musiała zaprzedać synową duszę, dobrze żona zrobiła, że poszła w świat, uniknie pokusy, a może też zachowa całą swoją duszę.“

Lecz wieści jak powstały, tak znikły; lud się więcéj trwożył dolą, która go przygniatała teraz na dobre. Wojska wyjadły całą okolicę, wypróżniły spichrze, powstał głód, a z głodem grasowała cholera. Nikt się już nie troszczył: kto wygra lub przegra, bo nikt sobie nie rościł dłuższego życia nad godzin kilka; albowiem do choroby przyłączyła się bojaźń i trwoga, a ta potęgowała zmartwienia i przysparzała trupów. Wyrwało w téj wiosce ze 200 ludzi w kilku dniach. — Pozostałki znowu zaczęli opowiadać sobie, Bóg nas ukarał za Izydora, on przeskrobał, on się zmienił, jego nie chce przyjąć ziemia, bo stara temu najwięcéj winna. Radzą, szeptają: „Nic innego, ona musiała być strzygą, nie wypada, tylko ją odkopać i przewrócić na pysk, a wsadzić do pyska uraźnego kamienia.“

„Słusznie macie gołąbku,“ odezwały się głosy, „ale któż się na to odważy, kiedy trzeba pójść w nocy? — „Wielka rzecz, ja się za was wszystkich ofiaruję,“ rzecze starzec, „mam już lat 80, dla mnie grób nie strachem, a młode pokolenie będzie mnie błogosławiło.“ — Jak przyrzekł, tak uczynił. Nakazał, aby żaden téj nocy nie spał, w każdym domu niech się kropią święconą wodą, bo ja pójdę na cmentarz o 12. godzinie.“ Zebrał się, miał z sobą siekierę i łopatę, przyszedł na grób i rzekł: „Zaklinam cię zły duchu, ani się rusz z tego miejsca,“ i kopnął łopatą; kopie i odrzuca ziemię, aż się spocił. Tuż trumna. — Odgrzebał, oddarł wieko, wkłada ów uraźny kamień do ust i przewraca trupa twarzą na dół do ziemi. — Wtém usłyszał tentent, za-

szumiało mu w uszach, zatrząsł się, upadł na trumnę i stęknął okropnie.

W całej wiosce się świeciło, każdy czuwał, każdy się modlił: „Boże zachowaj nas od strzygonia.“ — Izydor właśnie się też zjawił do wioski; wstępuje do znajomych, jego dzikie wejrzenie przestraszyło ludzi, uciekli przed nim do drugiego domu. On idzie, burzy się, wtém napada nań dwóch z łańcuchami, okalają, wiążą, ściskają, dziergają mu powrozy na ręce i nogi. — „Widzisz, mamy cię strzygoniu, zbrodniarzu wściekły.“ — „Żywcem go zakopać!“ krzyczą. Hałas się zrobił we wsi, i uzbrojeni w kije, wleką Izydora na cmentarz: „pochowamy go razem z czarownicą!“ — Izydor struchlał, bełkocze: „Ludzie zgrzeszyłem, darujcie, darujcie!“ — „Nic nie pomoże, łotrze, zbójco, tyś musiał pozabijać ludzi bez liku!“ — On krzyczy: „darujcie, dam wam te dukaty.“ — „Ha widzisz, wziął od djabła dukaty za swoją duszę, żywcem go zakopać!“

Właśnie prowadzili go na cmentarz, kiedy starzec odkopał grób i zachwiał się w nim ze strachu, słysząc hałas i krzyk, którego się nie spodziewał. Palą światła, przybywają na grób odkopany. Izydor zobaczył grób, woła w niebogłosy: „darujcie dla Boga, ja zdradziłem Warszawę!“ — „Co!“ krzyknęła wiara, „on zdradził Warszawę, żywcem zakopać!“ i wrzucili go do dołu. — Nie pytają w téj wściekłości o starca, który leżał na trumnie, gdy wtrącono Izydora; ten ułapił się starca i krzyczy: „dla Boga!“ — Starzec zbiera ostatnie siły, wydobywa się na wierzch, biała zaświeciła mu się jeno głowa i krzyczy: „ciągcie mnie!“ Wydarli starca z grobu, on zasię krzyczy: „zawalcie ziemią przeklętego wściekłego!“ — Ino zadudniało, w momencie pokryła go mogiła.

Znowu powrócili mieszkańcy do wioski; wszyscy wyglądali jak trupy, każdy dygotał, czy nie powstaną gromy i wiatry albo jaka kara. Nie, we wiosce było

spokojnie; szeptali sobie tylko pod nosem: pochowaliśmy strzygonia, będzie teraz spokojnie. Tak trwało kilka tygodni. — Nikt już nie mówił o Izydorze; jeżeli kto napomknął, odpowiadano wprost: wściekł się i pochowany, a za takim nie wolno powiedzieć wieczne odpoczywanie, bo czart opanował jego duszę. — Więcéj się niepokojono nowiną, iż w domku Izydora, co stał pustką pod lasem, widać w nocy światło. Znowu przypisywano to zjawisko duchom: „Albo on chodzi po nocach i straszy, albo też obaj z matką czarownicą; ale na to już niema rady, ducha zażegnać tylko ksiądz potrafi, a gdzież go teraz szukać, kiedy poszedł z Polakami i zostawił kościół na Bożéj opiece.“ Idą tedy do starego organisty i pytają, czy umie zamówić ducha?

Organista, staréj daty człowiek, dowcipny, mówi im: „Ja umiem zażegnać chmury, ale złego ducha, co chodzi w nocy, nie potrafię. Ale gdzie on się wam pokazuje, czy nie na jakim moczarze?“ — „Ej“ rzekną chłopi, „pod lasem w pustce Izydora, zawsze sobie świeci w nocy.“ — „Wiecie co, poradzę wam, idźmy tam jak światło zobaczymy, tylko niech każdy ma święconą kredą napisany krzyż na czole, aby zły duch nie miał do niego przystępu.“ — „Dobrze.“

Zebrali się tedy w kilkunastu, każdy z krzyżem białym na czole. Małe światełko wyglądało z chatki. Wahał się jeden i drugi przystąpić bliżéj, mrowiło bowiem po kościach: „duch gotów opanować naraz, i wścieknię się jak Izodor!“ — Stali na chwilę, ani tchu z siebie nie dając. W nocy echo głośném się staje, słyszą ton mowy, ktoś rozmawia. — Organista im szepce: „Przecie duchy nie mówią, bo nie mają gardła, chodźmy tam, widać są ludzie.“ Przybliżyli się do okna. — Kobieta siedzi smutna, dwóch mężczyzn stoi obok niéj uzbrojonych, jeden coś ręką rozkłada, a drugi palcem przytakuje.

Chłopstwo zahałasiło na dworze: „puszczaj!“ —

Dwóch zbrojnych gasi w domku światło, słychać zgrzypnięcie drzwi, ino zaszeleściało. Chłopstwo krzyczy: „świeć i puszczaj!“ — Kobieta zestrachana przyszła do przytomności, bo poznała głos organisty. Zawołała: „Organisto, nie bójcie się, to ja.“ — „Co za ja?“ pytają chłopi. — „No ja, Izydorka.“ — „Zaświeć Izydorko, bo inaczéj nie wleziemy.“ — Izydorka wznieciła ogień na watrze, rozdmuchała i zapaliła szczypkami. Chłopstwo weszło, organista na czele. Ona się przelękła, każdy ma pomazany pysk kredą, po dwa i po trzy krzyże. „Cóż to znaczy?“ zapytała ciekawie cała się trzęsąc.

„Izydorko, powiedz pod przysięgą na święconą kredę, kto tu był z tobą, czy djabli z piekła, czy też twój mąż i matka?“ — „Nie rozumiem, co wy chcecie! Byli ze mną ludzie poszanowania godni, oni idą do Warszawy, jako misjonarze.“ — „Po cóż tam pójdą Izydorko, kiedy Warszawa już zdradzona! nie prawda co mówisz, nie trzymaj ze złym, a pamiętaj, że masz duszę!“ — „Ludzie pleciecie nie do rzeczy, oni uciekli przed wami, bo myśleli że zdrada, ale ci ludzie są to posły z Litwy, proszący Polaków o pomoc, bo tam Moskwa wszystko zagładzi. Nie są zaś żadnemi djabłami, za jakich ich macie, czekają tylko na Izydora, skoro się nawinie, aby ich bezpiecznie przeprowadził.“

„Nie mówiliśmy,“ odezwały się głosy, „że on nie dobrze zakopany! Mamy tedy mamy, jeszcze większe sprowadzi on nam nieszczęście.“ „Ludzie ludzie! dawno by byli Moskale spalili wioskę całą, gdyby nie Izydor, on zawsze djabłu świeczkę zapala, woli podleść jak przeskoczyć.“ — „Raczéj my cierpimy za was, bo nas zrabowali do szczętu i matkę zamordowali okrutnie.“ — Organista nie mógł zrozumieć téj mowy, jednak tyle miarkował, iż Izydorka nie wie, co się z mężem stało, dlatego zapytał: „Izydorko, a gdzież teraz wasz?“ — „Nie pytajcie się mój organisto, czekam na niego

z niecierpliwością, a gdyby mi przyniósł jakie dukaty, wyrzucę go z nimi z domu, bo ja chcę mieć głowę spokojną, rozumiecie!“ — „Kiedyż on tu przyjdzie, jak myślicie?“ — „Albo ja wiem? pragnęłam złota, miałam obiecane i poszłam poń, lecz inaczéj się stało, na drodze spotkałam znajomych i przyprowadziła do swéj chatki, dając przytułek przed Moskwą; gdy Izydor nadejdzie, on ich przeprowadzi, a ja znowu wrócę, tam, gdzie mam obiecane złoto.“ — „Tak Izydorko?“ rzekł organista, „więc i tobie złoto szpiegowskie smakuje? Ot mąż twój sprzedał Warszawę, a ty chcesz sprzedawać Litwę! Oj nie, chłopcy, ukaraliśmy jednego zdrajcę, ukarzmy jego żonę! Ty potworze chodź, żywcem cię zagrzebiemy!“ — Nastała wrzawa: „żywcem zapakować do ziemi Izydorową!“ — Strach.

XXIX.

Stary Wołowicz należał do gorąco kąpanych patrjotów; z początku wstrzymywała go trochę od powtórnéj wojaczki choroba małżonki, słysząc jednak, że na Żmudzi dzielnie się spisał syn i na placu bitwy został kapitanem i zapisanym do orderu, siedział w domu jak na szpilkach. Każda nowina o zwycięztwie kłuła go okropnie. Wśród takich okoliczności otrzymał niespodziewanych gości, a niemi były: Zochna, Lida, dwie patrjotki, które poniosły największe trudy, aby tylko dopomogły do celu misjonarzom. — Ucieszył się okropnie i przesłał do państwa Przecławskich umyślnego posła, by raczyli go odwiedzić, a przypatrzyć się dwom panienkom, które dokazywały cudów w poświęceniu. — Naturalnie, że państwo Przecławscy wywiązali się niechybnie z swojéj grzeczności, bo natychmiast przybyli oboje.

Radość była ogólną. Zochna poznała bliżéj Przecławskich tusząc w duszy nadzieję, że się zwiąże z niemi

bliżéj; dlatego kierowała myśli swoje mową obwinione tak, aby się rodzice dorozumieli, że widzą przed sobą narzeczoną. Przecławscy jednak nie chcieli rozumieć téj mowy i z nią połączonéj dążności, owszem, pani Przecławska przytoczyła bilans przyszłego żywota dla swego syna dodając: „jużem zaręczyła się słowem, że memu Leosiowi pozwolę na zamianę pierścionka z jedną z Ginetów, ale dziś nie na czasie bawić się podobnemi drobnostkami; gdy Leona zobaczę pułkownikiem, natenczas ubiorę go w familijny pierścień jeszcze od prababki, aby go zamienił za serce, co go kocha.“ — Te słowa były sztyletem w serce Zochny wprost wepchniętym; zacisła tylko wargi, zaiskrzyły się jéj oczy, powoli westchnęła, ale z têm westchnieniem zmięszał się dziwny niespokój w ruchu jéj ciała.

Lida wiedziała o co chodzi, pragnęła zagasić to okropne Zochny wzruszenie, z którego się ironicznie śmiała Przecławska, czująca się szczęśliwą, że zachowała swoją arystokratyczną dumę. Szepnęła więc Lida swéj przyjaciółce półgębkiem: „nic nie stracone!“ — „Wszystko, i dla ciebie także,“ odparła Zochna, „pójdziemy!“ — Od téj chwili dążyła Zochna, aby tylko wynieść się z Porzecza, drażniły ją wszystkie tego domu nawet martwe przedmioty. Wyjęzyczyła się wcześnie przed przyjaciółką: „nie daruję!“ — Lida czystéj krwi *filaretka*, łagodziła stroskaną duszę swéj powiernicy, jednak Zochna nie dała się ukoić żadnêm przedstawieniem: „pójdę i pójdę do powstania, z mieczem w ręku rozstrzygnę moją sprawę.“

Jak wyrzekła, tak uczyniła. Poszła do legjonów, a Lida została na łonie familji, bo ją pani Wołowiczowa że powiem, uwiązała słowem, aby nie naśladowała mężczyzn w szabelce, bo to kobietom nie przystoi, a raczéj zajęła się składkami na rannych i zbieraniem patrjotycznéj zapomogi, bo w têm celuje jéj nauczycielka pani Hoffmanka w kraju.

Po Litwie uwijały się małe oddziały, najwięcéj było ich na linji od Kowna, tu bowiem prowadzi główna droga od Petersburga, a na niéj biegali kurjerowie do Cara względem zajętych stanowisk w Polsce. Insurgenci litewscy czyhali najwięcéj na tych ludzi, aby im odebrali depesze i dowiedzieli się o prawdziwéj sytuacji. — Zochna przybyła rozżalona do starego Krywy. On zawsze krążył jak przezorny sęp koło Merecza, spuszczał się na dół ku Grodnu, zapuszczał się na Niemnie ku Kownu, a nigdy po darmo. Mając małe czółenko w jednym klocyku drzewa wydrążone, tak umiał w niém zręcznie leżeć, że nikt nie poznał, co płynie; on wiosłował sobie rękami, a gdy potrzeba było prędszéj jazdy, umiał tak kierować, że pędził jak strzała. Nieraz strzelały za nim moskiewskie wedety: gdzie tam! na tysiąc kul byłaby go ani jedna nie trafiła, boć on był sztukmistrzem jako rybak stary w rotmańskie.

Krywa, człek zimny na miłostki, wysłuchał żali kobiety: „ej pani, alboż to jeden mężczyzna na świecie, co się pani podoba?“ — „Nie o to mi chodzi mój Krywo, ale szlacheckie słowo stałém być powinno; honor przedkładam nad życie, Leon mi dał słowo wzajemności w Warszawie, poświęciłam wszystko dla niego, teraz odpychać mnie, kiedy przezemnie dostąpił chwały, to nie uchodzi!“ — „Więc cóż pani chcesz odemnie?“ — „Byłeś nam przewodnikiem, bądź i teraz do obozu, przypnę szablę do boku i zmierzymy się z Przecławskim, panem kapitanem.“ — „Nie lepiéjże zmierzyć się z nieprzyjacielem Litwy?“ — „Kto niewiernym dla kobiety, niewiernym i dla ojczyzny,“ rzekła Zochna. — „Na upór lekarstwa niema, uczynię i ja jeszcze ostatnią pani usługę. Zostań pani w bezpieczném u mnie schowaniu, ja pojadę na czółnie do Rosienia, bo się tam główna kwatera znajduje, zapytam o Przecławskiego i zmierzymy się obaj, przecie ja żołnierz stary, umiem machać szablą doskonale.“ — „Ależ Krywo, on

by nie przyjął takiego pojedynku.“ — „Ciekawym, dla czego?“ — „Bo on szlachcic, a ty?“

„Tak, do sto biesów! na to teraz wychodzi, że nas znowu w kąt rzucacie? kiedy trwoga, wołacie: witaj bracie! a jak do miski, szlachta naprzód! Powiadam pani, nie zrobię już dla niéj nic, ani dla żadnego szlachcica.“ — „Krywo zmiłuj się!“ — „Nie zmiłuję się, nie, my chłopi sobie, szlachta sobie, ale tego pożałujecie.“ — Te słowa były stanowcze, nakazał, aby się Zochna natychmiast z jego chałupy wyniosła, powtarzając: „tfy, tfy, do miski szlachta pierwsza, a do wojny chłopi naprzód! Wara, dam ja wam!“ pogroził pięścią i stał się nieubłaganym.

Zochna tedy zostawiona na lodzie, nie mogła sobie poradzić; spróbowała jedynego szczęścia przedrzeć się przez Niemen do Augustowa, aby poszukała Izydora i zasięgła jego pomocy. — Otóż to ona była, która przyszła i wyprowadziła Izydorową zmartwioną z jéj mieszkania, kiedy się dowiedziała, iż matkę zamordowali kozacy, Izydor zasię poszedł w świat. — Zochna znalazła w Izydorowéj wielką przyjaciółkę doli swojéj, ona postanowiła prowadzić ją do Litwy, i w tym celu udały się obie do Augustowa. Tymczasem inne nastroiła historja wypadki.

Giełgut znajdywał się z korpusem pod Rajgrodem, zachodził mu ze wszystkich stron moskiewski jenerał Saken. Kto mógł, to się czepiał jeszcze Giełguta, rozproszone polskie wojska przyłączały się doń, gdy się dowiedziały, że ciągnie do Litwy, a z upragnieniem czekają na Polaków Litwini. — Wołowicz z Przecławskim właśnie przybyli w drugiéj misji już w okolice Rajgrodu, gdy zasiągnęli języka, że Giełgut rzeczywiście do Litwy maszeruje; porzucili myśl misyjną i nabrali ochoty powrócić do swoich. Byłać to chwila, kiedy w te strony przyszła była Zochna z Izydorową i poznały polskie wojsko. — Zochna zacięta patrjotka, po

stanowiła wstąpić w szeregi, zaciszając płeć swoją; ubrała się tedy jako mężczyzna, pożegnała Izydorową, dając jéj ostatnie ze swéj szkatuły grosze, aby powróciła do domu i przysłała jéj na pomoc do Augustowa swego męża Izydora, z którym postanowiła była odprawić podróż do Litwy w celu wyszukania Przecławskiego.

Izydorowa idąc do Rajgrodu do domu, spotkała na prywatnéj ścieżce nad rzeką Netą dwóch podróżników, uzbrojonych, którzy zaczepili nieznajomą kobietę. Izydorowa popatrzyła się na ich twarze, poznała swoich dawnych gości, zamilczając jednak swoje imię, rzekła: „jestem wróżka, idę po świecie.“ — Obaj towarzysze rozśmiali się i pomrukli po litewsku do siebie: „musi być szpiegiem dla Sakena.“ Ale naiwny Przecławski prosi kobiety: „Zawróżże nam kobieto, zapłacimy ci.“ — Stanęła Izydorowa otulona, niby to jéj widać tylko nos i ręce czerwone jak raki od spiekoty słońca; wzięła w dłonie rękę Przecławskiego i rzekła: „Pan dałeś słowo swéj kochance, teraz się jéj wypierasz, strzeż się mężczyzny, bo czycha na twoje życie.“ — „A mnie też powiedz wróżko,“ przerwał Wołowicz. — Tak samo patrzyła się na jego rękę: „Pan nie tyle wierny swéj narzeczonéj, ile twoja matka, ale strzeż się wiosła.“

Popatrzyli na siebie, a Przecławski rzekł: „Wywróżże nam, gdzie idziemy?“ — Kobieta rzekła: „Uciekacie z własnéj ojczyzny.“ — „Chyba nas musisz znać kobieto, inaczéj być nie może.“ — Roześmiała się Izydorowa: „Przechowam was jeszcze raz, poniosę może drugą ofiarę, ale bądźcie mi wzajemnymi.“ — „Cóż znowu? czyś Izydorową?“ — Roześmiała się znowu kobieta: „Szukacie wiatru po świecie, na cóżeście się wrócili do Warszawy, kiedy wam Warszawa nie da pomocy; mój Izydor wie o tém, a chcecie się przekonać, opowie wam w oczy.“

Obaj się zadumali, znali oni Izydora i jego żonę,

wiedzieli dobrze, że ci ludzie mają klucze od tajemnic ich życia, dlatego obaj poszli jak potulne baranki za Izydorową, która ich do swéj zaprowadziła pustéj chatki. — Izydorowa była za sekretarkę Zochny, nie zdradzała przed gośćmi zupełnie tajemnicy, ani nie napomknęła, aby się w korpusie Giełguta miała znajdywać Zochna. — Wśród tych okoliczności uciekli obaj z chaty Izydorowéj w owéj pamiętnéj nocy, rozumiejąc, iż są zdradzeni. Tułając się w lesie noc całą, postanowili wreszcie wrócić ku Rajgrodowi, co też uczynili, a natrafiwszy na korpus Giełguta, wstąpili obaj doń jako ochotnicy.

Młody Wołowicz będąc wprzód kapitanem, wstąpił jako szeregowiec do pułku 19. pod dowództwem Szymanowskiego. Giełgut posuwał się ku Litwie powoli; podczas tych marszów poznano bliżéj Wołowicza, a jenerał Szymanowski wziął go do swego boku jako adjutanta. Odbywał wojny w różnych miejscowościach z dobrém powodzeniem, uważał jednak, że Przecławski na duchu upada. Pod Worniami, gdzie niemało potopiło się nieprzyjaciela w pobliskich jeziorach, gdyż jenerał Szymanowski naganiał Moskwę na te bagna, stanęli nareszcie obozem. Wołowicz jako adjutant był zawsze zatrudniony, jednak przysparzał sobie pracą czasu, aby pobiwakował z kolegami. Najpierwéj tedy pobiegł do namiotu Leona.

„Cóżeś Leonie tak kwaśny?“ — „Znasz porucznika Zalińskiego?“ — „Albo co, czy mu się puściła broda?“ zaśmiał się Wołowicz; „nie ujmuję mu honoru, chwat chłopczyna, ale wygląda jeszcze jak cielątko prosto od cycka“ — Leon musiał się rozweselić mimo woli. „Mój kochany, a cóżbyś powiedział, znajdując u niego to drugie?“ — Zagapił się Wołowicz: „nie rozumiem.“ — Przecławski wstał, szepnął przyjacielowi coś do ucha. — „Fiu, fiu, generis ...is is is... a co ona tu robi? Nie możesz to dać odczepnego? ktoby tam uważał na ko-

biety.“ — „Mam o piątéj wieczorem stanąć w sprawie honorowéj, i biję się z myślami, co począć z porucznikiem Zalińskim: płatnę... szkoda... dam się płatnąć... wstyd.“ — „Taka to historja?“ — „A taka, bo moja matka jest z gruntu przeciwna, a ja przecie matce narażać się nie mogę; jeszcze co ci powiem, wypowiedziała mi w cztery oczy: zemsta!“

„Ambaras! a takich śliskich materyj mój Leonie nie lubię; nie bądź jednak płochym, lecz zawsze stanowczym; ja poddałem się wyrokowi, mam święty teraz spokój w jednym względzie. Co nastąpić może daléj, martwi mnie, i właśnie przybyłem w tym interesie. Jenerał Giełgut na dwóch stołkach siedzi, tak go osądził mój dowódzca Szymanowski; nie chce słuchać Dembińskiego, który mu bardzo dobrze radzi, słowem zaczyna się waśń, niezgoda po starodawnemu, z téj zapewnie skorzysta Moskwa i znajdziemy się wkrótce w przyrębli.“ — „Dwa ciosy walą się na moją głowę Michasiu, przy pierwszéj potyczce pójdę naprzód niech zginę od kuli.“ — „Baj baja! kobiety się boisz.“ — „A nie wiesz Michasiu, że kobieta światem rządzi!“ — „Ejże,“ ośmiał się Wołowicz. — „No, no! Dopóki do Giełguta nie przyjeżdżały panie, bił się jak lew, jak się zaczęły wizyty spodniczane, on widzę nie nasz.“

„Słuszna uwaga, mnie samemu dziwno, dlaczego w powozach przyjeżdżają same kobiety i oddają wizyty. Kto wie, co się pod fartuszkami święci.“ — „To samo mój kochany, co pod kabatem Zalińskiego; nie na darmo wyrzekła: zemsta! a dla zadraśnionéj miłości kobieta zdradzić nas gotowa.“ — „Jeżeli tak uważasz, przyjmij pojedynek, nabij dobrze, wyceluj dobrze i rzecz skończona.“ — „Tak mi radzisz?“ — „A tak, wszakby ci inaczéj mój ojciec nie poradził.“

Gdy te mówią z sobą słowa, przybiega żołnierz z biletem. Wołowicz czyta; „ha!“ wykrzyknął: „nie trzeba chodzić na cuda, mój stary w szeregach!“ Trze-

pnął się w czoło: „Powiedz mi mój Leonie, po co mój ojciec przybył do powstania, chyba żeby zawadzał! Żegnam cię tedy, muszę pójść, bo u jenerała na mnie czeka.“

W saméj istocie tak było: Pan Wołowicz nie mógł dosiedzieć w domu, żonka pozdrowiała, on tedy cichaczem kazał zaprządz do bryczki, i myk z domu. Po wielu przebytych trudnościach dostał się przecie do Zasła, a ztamtąd z małym oddziałkiem jako woluntarjusz przybył pod same Wornie, właśnie w chwili, gdy było po batalji. Syn zamiast pochwalenia tego kroku, oburzył się na przywitanie: „Tato! alboż nie biję się za dwóch? i tatko śmiał zostawić w domu matkę staruszkę, która gotowa ze zmartwienia zawrzeć powieki!“

Jenerał Szymanowski widząc starca siwosza, któremu się trzęsły ręce, rzekł łagodnie: „Słuszna uwaga pana kapitana, pan papa Dobrodziéj niech wróci do kółka rodzinnego i tam oczekuje rezultatu naszéj akcji, zresztą nie żąda kraj takiego poświęcenia, mamy tu dosyć młodych ludzi.“ — „Ej panie jenerale,“ przerwał starzec, „właśnie mi się nie podoba, że młodzi rządzą, a na radzie starszych nie polegają. My starzy dawniéj tak bijali nieprzyjaciela: koncentruj się i wal połączonemi siłami; teraz widzę przeciwnie wszystko się rozprasza i małemi atakuje siłami.“

„Jest w tém racja, wasze papo, na wszystkich punktach atakujemy nieprzyjaciela, on sobie nie może dać rady, siły się jego rozstrzeliwują, i w tém będzie plan naszéj wygranéj.“ — „Hoho! jenerale, źle, źle. Nad Wisłą gromadzi Moskwa wszystkie siły, naraz uderzy na Warszawę, i będzie po Polsce, takie moje zapatrywanie. Tu w Litwie trzeba było wszystkie siły skoncentrować w jedno ognisko, uderzać niemi, i mielibyście wygraną po wygranéj; tak zrobili Moskale koło Oszmiany, tak koło Wilna, teraz idą masą między wasze rozproszone siły, przetną was na poły, koniec koń-

ców jedni uciekną do Prus, a drudzy rozproszą się po lasach jak owce bez pasterza.“

Były to zdrowe rady doświadczonego starca. Nie słuchano ich, i ziściło się jego przepowiedzenie. Walczono pod Dzwienty, Chwalojną, Powednią, Gorną i w innych miejscach; nareszcie z braku wszystkiego, jak sam Giełgut się tłumaczył, przeszły jego resztki do Prus, z któremi także tam się dostał Wołowicz i Przecławski.

Wołowicz zobaczywszy Przecławskiego, pyta naiwnie: „i ty żyjesz?“ — „Bodaj,“ odparł z goryczą Leon. — „Nie desperuj, nie. Do Giełguta chodziły kobiety i przewróciły mu głowę, mamy tego skutki. Nam nie przewrócą, nie. Jeszcze nadzieja w Warszawie, tam cała armja skoncentrowana i podług planu mego ojca zacznie akcję. Szkoda tylko, żeśmy się nie trzymali bohatera Dembińskiego, bylibyśmy się tam prędzej dostali, a teraz?“

„Mój kochany, a przeklęstwo!“ — „Jakie przeklęstwo, co ci się znowu śni? może twej Zochny? ha!“ — „Przyjacielu ziściło się, a bodaj i nie dalej.“ — „No powiedz no, bośmy się od tego czasu nie widzieli, co zrobiłeś z tym gratem?“ — „Bracie, najprzykrzejsze wspomnienie. Stanęliśmy na miejscu, pal do mnie, rzekłem, zgrzeszyłem, powtarzam ci łamiąc moje słowo.“ — Zochna stała jak trup bledziutka, podniosła pistolet do góry i wypaliła do nieba; a mój sekundant widząc mnie, iż tym aktem jestem wzruszony, porwał pistolet odemnie, i o zgrozo, utopił kulę w piersi méj drogiéj. Wyrzekła tylko te słowa: Morderce niewinnych ludzi, macie kule na Polskę, a na Moskwę ich nie macie, bodajście zginęli jako tułacze!“

Wołowicz się zadumał, kiwał głową, nareszcie wyjęknął: „Bracie zabiliście Polkę, a z nią Polskę, dla Boga!“ — Zostawił Przecławskiego w tych sercowych

mękach, on zasię przebrał się jako Prusak z dwoma kolegami i uciekał z Prus czémprędzéj.

XXX.

Krywa od ostatnich pogadanek z Zochną chodził zadumany, zgrzytał zębami i powtarzał ciągle: zemsta. — „Komu zemsta?“ pyta się go jego starulka osławiona z brzydoty połowica. Dąsał się, nie chciał mówić; nareszcie wydobyła na nim złości przyczynę. — „Stary,“ rzekła kobieta, „przeszło 30 lat łowisz ryby, 20 byłeś przedtém na wojaczce, widziałeś ty kiedy, aby małe ryby łowiły wielkie, albo jenerałowie usługiwali szeregowcom? Przeciwnie, i ty się dzisiaj chcesz równać z panami? aniś im ty równy rozumem, ani mową, ani suknią, ani majątkiem; tyś sobie zawsze rybak, opłacają ci panowie fatygę twoją, cóż chcesz od nich więcéj? oh, oh! My się nie powinni wdawać w interesa szlachty, jak również szlachta w nasze chłopskie.“

„A o cóż mi chodzi, moja pięknoto?“ — „Nie ruszajże mnie, abym ci nie naklęła, wyśmiewaj się ze swéj łysiny, a nie z méj twarzy; wiem,' żem nie piękną, jaką mnie Bóg stworzył, takąm sobie jest, ale przy tém poczciwa, rozumiesz?“ — „Oj, nie chciałem cię pogniewać żono, mnie chodzi o to, abyśmy raz rządzili się sami, a szlachta nie gderała nam za uszami. Obiecywali nam, niech tylko się z Moskalami sprawimy, to będzie, a tu tymczasem obraziła mnie ta pannica. Ona to nie ma ze siebie nic, tylko powtarza, co wszyscy o nas myślą.

„I tu nie masz słuszności, przekonam cię zaraz; państwo Wołowiczowie całą gębą państwo, a jakeśmy byli u nich, tośmy razem przy stole siedzieli, gdybyśmy i teraz zaszli, byłoby to samo.“ — „Alboż to prawda? Szlachta nasza jak wiatr, potrzebuje biednego chłopka,

schlebia mu, minęła potrzeba, nie zna cię.“ — „Na przekorę wybierzmy się do Wołowiczów, a ciebie niewierny Tomaszu wezmę za ucho i pociągnę siedm razy.“ — „Albo ja taki w ciemię bity, bym cię słuchał; kogóż pan Bóg pierwéj stworzył, czy Adama czy Ewę? A skoro kobieta późniejsza niech słucha starszego. Jeżeli chcesz, pojedźmy do Izydora do Polski, jest on chłopkiem co się zowie, on także pomagał Polakom, ciekawym jak wyszedł na tém. Mnie trzeba było się trzymać własnego rozumu, byłbym bogaczem, a teraz zostałem tureckim świętym.“ — „Wszakeś był od młodości nim, i teraz byś nim zostawał,“ ośmiała się żona. — „Widzisz, pisarczyna u burmistrza jakim teraz panem, że połapał szewców.“ — „Tfy, jakaż cię się znowu myśl przeklęta chwyciła, głupcze! Nie wiesz, co się z Judaszem stało? W imię ojca,“ pobiegła do komory, przyniosła wody święconéj, którą miała jeszcze od Zielonych Świątek i pokropiła starca, mówiąc: „Idź precz szatanie!“ — „Nie na wiatr mówię moja żono, ci Polacy obiecywali nam ciągle dużo pieniędzy, iż będziemy bogaczami, tymczasem obiecanka cacanka, powynosiła się wiara, pochowała przed Moskalami w mysie dziury, godzi się tak? Jak bić, to bić, a nie cofać się.“

Gdy się tak sprzeczają małżonkowie, usłyszano szmer na dworze około chaty rybackiéj. Stara zmiarkowała, że jakaś obca postać szuka po drzwiach, bo nie wie gdzie kołowrotek, poruszyła za ramię męża: „cicho, ktoś, by tylko nie wojsko!“ — Naraz krzyczą do okna: „otwórz!“ i we drzwiach sieni wołają: „otwórz!“ — Zmięszał się starowina, nie wiedział, gdzie się udać. Żona idzie naprzód, on za nią, aleć obstąpiono ich ze wszech stron. Zobaczywszy siwego rybaka wykrzyknęli policjanci: „Przecie raz wpadłeś nam do pazurów szpiegu, dawno za tobą chodzimy.“ — Powiązali go tedy i poprowadzili do aresztu.

Żona nie pożegnała się nawet z mężem, nie było

na to czasu. Nie wolny też był przystęp do żadnego więźnia, a było ich wszędzie pełno w każdém mieście i miasteczku, bo Moskwa rozprószywszy powstanie w Litwie, zabrała się do wymierzania kar za bunt według swéj mongolskiéj normy. — Wszystko struchlało, nastał lament, któremu nie było końca, nie zagłuszyły go jęki armat w Polsce, bo było trochę za daleko.

Kobieta jednak, owa nieodstępna, w przygodach nieustraszona towarzyszka, nie została bezczynną; w tym momencie przemyśliwała nad sposobami ratunku. Wszędzie było smutno, wszędzie drzwi zaparte, a każde słówko niefortunne prowadziło do kaźni lub na szubienicę. Ostrożność policji była potrojona, nie wolno się było wyruszyć nikomu na krok z miasta. Co tu czynić? — Staruszka znając wszystkie tajne ścieżki, zamyśliła udać się do starego pana Wołowicza lub też do Lidy, co się naprzód uda. Myśl ta stała się czynem; o północku opuściła rybacką chatę, zniknęła. Nazajutrz rankiem zjawia się dwóch policjantów przed chatą rybaczki; pukają, stoją, zazierają do okna, nic nie słychać. Wyważyli drzwi, szukają, chałupka pusta, ani żywéj duszy, tylko stary kot leżał ponury na piecu, a zobaczywszy obcych nieprzyjaźnych ludzi, zaczął miauczeć przeraźliwie jakby wołał pomsty Bożéj. Policjanie wynieśli się, zdali relację o zaszłym fakcie. Kapitan wojenny westchnął sobie: Dlaczegóżeśmy nie pojmali obojga, teraz zniknie nam ona, i po wszém, bo rybak zamknął mowę, już nie mówi.

W saméj istocie rybak wpakowany do więzienia otrzymał na wstępie sto plag. Człowiek, któremu ósmy krzyżyk pomarszczył był czoło, a pobielił śniegiem włosy, człowiek, który wśród niewygód życia styrał siły, nie mógł wytrzymać plag zadanych bez rozstroju organizmu. Z boleści utracił mowę, jęczał dogorywając na barłogu. Przyszedł do więzienia lekarz, zadawał leki, trzeźwił go, aby odzyskał przytomność i poczynił

zeznania; jakoś nie szło, a iść nie mogło, kiedy była miarka niesprawiedliwości przepełniona. Zostawiono tedy delikwenta w kaźni bez nadziei, a wszystka policja ruszyła z norów na wyśledzenie rybaczki.

Ojciec Wołowicza po katastrofie Giełguta przeczuwał, iż z synem źle się coś stanie, zaraz też rzekł do małżonki: „Jeżeli Giełgut w Prusach, to i Michaś nasz z pewnością. Teraz będzie Lida kontenta, iż się raz zakończyła ta sprawa, bo mu nakazała pójść na wojnę, która wybuchnąć była nie powinna. On! tedy nic już sobie nie będzie miał do wyrzucenia, a na moje teraz wychodzi: trzeba było zaciągnąć się do służby cara, byłby grał. Niestety!“ — „Mężu, czyś Polakiem,“ przerwała pani Wołowiczowa, „nie spodziewałam się, iż splamisz usta taką mową, bo wiem, że inaczéj myślisz istotnie. Lud nie winien, że przegrała Litwa, a że magnaterja zwichrzyła, przyjdzie na nią za to Boża kara. Lida jak się dowie, więcéj będzie desperowała, niżeli my sami, i zapewne nie zagrzeje godziny w domu.“ — „Więc dla sprawdzenia téj nowiny przejadę się do niéj.“ — „I owszem, niespokojnam okropnie, aby Bóg przemienił!“

Staruszek pojechał, nie spodziewali się, że go Lida uprzedzi. Albowiem gdy i ona się dowiedziała, że Szymanowski do Prus przeszedł, wiedząc o narzeczonym znajdującym się w jego korpusie, nie rzekła w domu rodzicom ani słowa, ale cichaczem zniknęła. Tym sposobem nie zastała rybaczka ani starego Wołowicza, ani Lidy, a przybyła do tych państwa z okropnym żalem, bo jéj mąż jęczał w więzieniu. Wraca tedy do swéj chatki, i przybyła tuż do przyległéj wioski, gdy lud roznosił z ust do ust nowinę: zamęczyli rybaka. — Tę nowinę usłyszała i żona. Okropność! — „Co teraz czynić?“ pomyślała, „zamęczyli męża, gotowi i mnie, gdzież się udam?“ — Pobiegła na brzeg Niemna, kędy stało czółenko jéj męża, umiejąc nim kierować dosko-

nale, puściła się przez wezbraną rzekę. Straż graniczna spostrzegłszy ją, dała kilka razy ognia. Lecz człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi; przepłynęła tedy bez szwanku do Augustowskiéj ziemi.

Wszędzie było Moskali naszpikowanych jak śledzi. Przemyślna rybaczka jednak nie ulękła się tych mściwych nieprzyjaciół, biegła krętemi ścieżkami do znajomego Izydora, aby się przynajmniéj pożaliła, co się z jéj mężem stało. I właśnie nadeszła na ową chwilę, kiedy dekretowali wieśniacy Izydorową na śmierć podobną, jaką zadali jéj mężowi. Chłopstwo rozjuszone, zadyszane, spienione gardłuje nad kobietą i prowadzi ją na cmentarz. Rybaczka myśląc, że to pogrzeb, potroiła kroku, a doszedłszy paru kobiet wlekących się na ostatku, pyta: „A któż umarł taki?“ — Kobiety się obzierają, przypatrują zachmurzone nieznajoméj, a jedna rzekła: „Może i tyś czarownica, to ci też tak zrobimy.“ — Rybaczka nie wiedząc o co chodzi, pyta śmiało: „Ależ powiedzcie matki, bo ja obca, nie rozumiem, co tu za schadzka?“

„Otóż chcesz wiedzieć,“ odrzekła chrapowato kobieta, „Izydor się wściekł, żywcem go pochowali, jego żona się także wściekła, prowadzą ją, aby ją zakopali.“ — „Nie może być, wszak ja znam Izydora i jego żonę doskonale.“ — Na to porywa rybaczkę kobieta za rękę krzycząc na głos: „a chodź, chodź i przypatrz się jéj w oczy, czy nieprawda,“ i prowadzi ją galopem między tłum ludu.

Izydorowa była rzeczywiście nie do poznania, z rozpaczy i trwogi zapadły się i zeżółkły jéj lica, strumieniami lały się łzy po twarzy, tylko łkała, a dwóch chłopów trzymało biedna, jeden z jednéj a drugi z drugiéj strony na powrozie — Zobaczywszy rybaczkę wykrzyknęła: „Krywowo! ratujcie dla Boga, ratujcie!“ — i upadła na ziemię. — Chłopstwo przypatruje się nieznajoméj kobiecie i milczy, a Krywowa zapytała,

składając na krzyż dłonie: „Ludzie, czyżeście sami nie poszaleli, wszak ta kobieta nie jest wściekła!“ — Ta mowa zelektryzowała włościan. Kobieta widząc zagapionych rzekła jeszcze: „Ino się poważycie najmniejszą czynić przykrość téj nieszczęśliwéj, zawołam zaraz kozaków, a popamiętacie.“

Chłopstwo się obruszyło, a stara widząc niebezpieczeństwo, skoczyła na bok z pośród tłumu, pędzi przez pole wywijając pięścią: „Popamiętacie psubraty!“ — Tłuszcza biegnie za nią, na szczęście zobaczyła z dala pędzących kozaków, za którymi wznosiły się tylko w górę kurzu tumany. Widok tych nieprzyjaciół taką napełnił trwogą wszystkich, że się rozprószyli jak owce przestraszone, tylko sama Izydorowa na drodze powiązana została. Wtenczas przybiega ku niéj rybaczka, rozkrępowała dygocącą, porwała za rękę: „uchodźmy czémprędzéj!“

Biegną obie, same nie wiedząc celu swéj podróży. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nawet je napotkała straż wojskowa, ale widząc rozczochrane wieśniaczki, myślała, iż są zapowietrzone cholerą, ani się popatrzyła na nie; one też szły a szły dzień aż zakryła im noc ciemna drogi i ścieżki. W gołém polu nocując, usiadły sobie obie nieszczęśliwe, i jedna drugiéj wyszeptała swoją dolę do ucha.

„Nie wierzę ci moja Izydorko, aby twój mąż stał się niewiernym narodowi.“ — „Ja także nie wierzę, a jeżeli był w Warszawie i miał styczność z Paszkiewiczem, zapewne nie ze swojéj głowy, ale z misji starszych, którzy kierują rewolucją. Gdyby tu była Zochna, dowiedziałybyśmy się pewniaka, ona wie wszystko jak na piśmie.“ — „Moja ty, Zochna poszła do litewskiego wojska, aby wykonała zemstę.“ — „Na kim?“ — „Albo ja wiem.“ — „Przecie ona nie zdradzi swoich, jestem pewna.“ — „Ale może zemści się na tych, którzy skłonni do zdrady.“ — „Mówiłabym za nią pacierze.“

— „Niema za co?“ — „Z przyczyny?“ — „Bo ona pani, a my biedaczki.“ — „Wszak nam obiecały obie z Lidą, że nas uszczęśliwią.“ — „I mnie obiecywały, a mój mąż przez nich nie żyje, ja zasię biedna, i zawsze biedna, nie mam kraju, nie mam chaty, a gdyby mnie złapali, umarłabym pod pałkami, jak skonał mój Krywa poczciwy!“ — „Kiedy tak, przysięgnijmy zemstę obiema.“ — Uścisnęły się kobiety i powtórzyły ściskając pięści: „zemsta na wieki!“

W momencie się też rozgłosiło po Augustowskiém, że Litwini po przegranéj wyparci zostali na terytorjum pruskie. Tułające się kobiety słyszały z ust do ust przelatującą tę sromotną nowinę. Nie naradzając się z sobą, dziwném napełnione jednakowém tchnieniem wyrzekły: „Chodźmy do Prus!“ — „A chodźmy.“ — i w dwóch dniach znalazły się na granicy pruskiéj.

Wołowicz z kilku towarzyszami, jak z poprzedniego wiemy, uciekał za Prusaka przebrany w nadziei, że się dostanie do Warszawy, gdzie mniemał jeszcze znaleść zbrojną siłę, która Moskwie czoło swoje śmiało postawi. W saméj istocie, naród pragnął zwycięztwa, wojsko krzyczało: Dajcie nam jenerałów! — ale klasa ludzi, w których ręku złożona była siła i wszelkie nadzieje, przeżyła się, zmarniała na duchu. Jedna część tychże żywiła się nadzieją: pomoże nam Francja, pomogą Anglicy, — druga zasię spuszczała się na wspaniałomyślność Cara i wchodziła w parlamentarne układy. Czas ulatywał, nieprzyjaciel nagromadził tymczasem potężne siły. — Poddała się stolica, bo ją oddał Krukowiecki. — Wojska polskie wymaszerowały do Łowicza.

O tych manewrach nic nie wiedział Wołowicz, on szedł śmiało pruskim krajem, nie patrząc się przechodniom w oczy; ale przechodnie przypatrywali się podróżnikom, — i pierwsza była Izydorowa, która go poznała. Poskubnęła rybaczkę za trok szaty: „Widzisz,“ mruknęła, „poznałaś go?“ — Wołowicz poczerwieniał

mimowoli, myśląc w duszy: a to znowu kto taki? — Izydorowa się obziera, a nie widząc nikogo obcego, zapytała śmiało: „Panie Michale dokądże?“

„Ale chodź prędzéj,“ przerwali towarzysze, co się zatrzymujesz?“ — „Nie bójcie się panowie, zgotowało się, co się miało stać.“ — „Co mówisz kobieto?“ przerwał Wołowicz niecierpliwy. — „Izydorowa nie kłamie.“ — „Dla Boga, co tu robisz kobieto!“ — „Idę, gdzie mnie oczy niosą, i prowadzę wdowę, co ci życie ocaliła.“ — „Jak to?“ — „Nie poznałeś rybaczki?“

„Ach, czy stałyście się widmami! powiedzcież, co wiecie, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo?“ — „Wszystko się na nas zwaliło, co się miało zwalić; uciekamy w świat, bo mężowie nasi pomordowani,“ westchnęła Izydorka. Ale jeżeli jest zemsta, wykonamy ją do joty.“ — „Na kim?“ — „Alboś się spodziewał zdrady, którą uknuły kobiety?“ — „Znowu zagadka!“ — „Jeżeliś Polakiem, przyłącz się do nas, abyśmy doścignęły Zochny i Lidy.“

„Zochny? oh, jeżeli tak, już na niéj zawisła kara, nie żyje, padła od strzału.“ — „Nie może być!“ — „Tak a nie inaczéj, wiem z ust samego Przecławskiego.“ — „Chwałaż ci Boże!“ złożyła ręce Krywowa.

„Ale o Lidzie nie spodziewałem się nigdy, co mi mówicie.“ — „Hoho!“ przerwała Krywowa, „nie zastałam jéj w domu, powiedzieli mi, iż pojechała do Wilna, a domyśliłam się zaraz, po co.“ — „Ej nie, moja matko, znam ja ją lepiéj niżeli ty, to potwarz, a skoro się rozchwiało litewskie powstanie, przypisują najlepszym ludziom złe zamiary, przekonasz się kobieto.“

Ta pogadanka odbywała się w gołém polu. Towarzysze oglądali się na wszystkie strony i naglili: „chodźmy, by nas kto nie zobaczył i abyśmy nie wpadli do klamki, bo żandarmerja konna wiatruje wszędzie.“ — Jeszcze zapytał Wołowicz: „No, dokądże idziecie, powiedzcie nam bez ogródki.“ — „Do rozpró-

szonéj armji, abyśmy tu znalazły te dwie kobiety, którym przysięgłyśmy zemstę.“ — Nie pytał już dalej, bo towarzysze szepnęli: „jadą żandarmi.“ — Kobiety poszły w prawo, towarzysze zasię w lewo.

Nie uszli kroków dwieście, tuż żandarmi stanęli za plecyma i pytają: „co wy za jedni?“ — Wołowicz mówi: „jestem krawiec z Welhawy,“ drugi: „ja cieśla z Królewca,“ inny: „ja także cieśla z Królewca.“ — Roześmiali się żandarmi: „Hoho, znamy was po twarzy, wy uciekiniery z polskich legjonów, proszę z nami do jenerała Stüplnagla.“

Ten jenerał służył był w rosyjskiém wojsku i sprzyjał Moskwie z całéj duszy. Zaczął tedy prowadzić z niemi ostre śledztwo, nareszcie poddał ich sądowi wojennemu. Ani się spodziewali tak ostrego wyroku, który ich osądził na karę twierdzy. Stüplnagel kazał żandarmerji odwieść Wołowicza do twierdzy *Tylży* i przeciął mu wszelką komunikację ze światem.

XXXI.

Stary Wołowicz wyjechawszy z domu, nie wrócił. Wieść potwierdzona urzędowém doniesieniem, iż powstańcy uciekli razem z jenerałem do Prus, przeraziła jego duszę. Pojechał tedy ku Wilnu. W miasteczku Lidzie wstąpił do znajomego przyjaciela. — Zadziwił się tenże okropnie, widząc Wołowicza.

„A cóż tu robisz? czy leziesz umyślnie w gardło szatanowi? Właśnie dziś czytałem listę wszystkich skompromitowanych, między niemi i osoba twoja.“ — „Cóż mam czynić?“ — „Uciekaj!“ — „Dokąd?“ — „Innéj rady niema, dopókiś cały, tylko do Prus.“ — „Wyborna rada, tylko kto będzie moim przewodnikiem?“ — „O takich nie trudno, zachowam cię u siebie, po-

jadę do Merecza, jeżeli żyje rybak lub jego żona, uratowanyś.“

Dnia następnego przyjeżdża nazad, zmieszany. Wołowicz się dorozumiał, kiwnął ręką: „Przyjacielu przepadło.“ — „Nie, lubo mam ci oświadczyć smutną nowinę, iż nie żyje już rybak, i drugą niepocieszną, że znikła jego żona, to cię trzecia pocieszy: oświadczyli poufni przyjaciele, że jest tam jedna osoba, która będzie twoją towarzyszką w podróży; bez zwłoki wyjeżdżamy w nocy.“

Pod Mereczem leży mała mieścinka przyczepiona do jeziora, nazywa się Kępy; tam zawiózł poczciwy Lidzianin Wołowicza. — Jakież zdziwienie; powitała go Lida z czułością córki. — „Oj aniele, stróżu mój,“ rzekł do niej Wołowicz rozczulony: „I ty mi ofiarujesz posługę swoją!“ — „Ojcze,“ rzekła Lida, „straciliśmy wszystko, co człowiek drogiego stracić może, ale została nam wiara... i przyszłości nadzieja!... Litwa pogrzebana, Polska się nad grobem szamoce, dzisiaj trudno, aby jej mógł kto dać pomoc jaką, ale dobrą radę, hart duszy można jeszcze wlać w serca rycerzy, co ją bronią do ostatka... zatém spieszmy do Prus, uściskajmy po ostatni raz litewskie legjony, wlejmy w stroskane serca balsam litości a osłodzimy dni życia tym, którzy pożegnają ojczyznę na...“ i nie mogła mówić dalej.

Stary Wołowicz płakał jak dziecko: „Oh Boże, co się to z nami stało!“ — „Zdrada! okropna zdrada!“ przerwała mu Lida, „ale zaręczam, że zdrajców nogami pokopią sami nasi nieprzyjaciele... Niema czasu do stracenia, obmyślałam wszystko, co było w mojej mocy, do najszczęśliwszych się policzę, jeżeli także pana uratuję od śmierci.“ — Wyjechali tedy z Kępy, a potém płynęli na wodach Niemna schowani do zbitych pak, które jak oprawione drzewa na maszty wyglądały, a były przeznaczone aż do Kłajpedy.

Dziwnym trafem okoliczności zatrzymały się owe tratwy niedaleko Tylży w pruskim kraju. Tu oświadczyli podróżnym zapłaceni flisacy, aby wyszli, bo bezpiecznie. — Lida z Wołowiczem odetchnęła sobie swobodnie, a tém więcéj, bo się zeszli z internowanymi w Tylży bohaterami litewskimi. Tu się dowiedział ojciec, że syn siedzi w twierdzy skazany. Użył tedy wszelkich możebnych sposobów, aby dano znać synowi, że pod temi murami czeka ojciec, a czeka i ta, która mu poprzysięgła dozgonną wierność za poniesione ofiary.

Ta nowina podwoiła boleści młodego bohatera. Oświadczono mu: jest tu pański ojciec, jest tu pańska narzeczona, daj słowo honoru, że nie będziesz walczył przeciw Rosji, puścimy Waćpana na wolną stopę. — Pan Michał, syn prawy ojczyzny, ani na chwilę się nie zawahał; przeniósł on miłość ojczyzny nad miłość widzenia się z ukochanym rodzicem swoim; przeniósł serce swoje do kraju, odwróciwszy je w téj chwili od duszy narzeczonéj. Pokazał, że jest mężem charakteru, jakich rzadko wykazuje nam historja.

Wiedzieli o téj intrydze ojciec i Lida, a ostatnia wyrzekła do stroskanego staruszka: „Gdyby Michaś był splamił honor swój w owéj chwili, odwróciłabym od niego oblicze i nie przebaczyła mu w grobie; a teraz kiedy nam nie wolno ojcze, oglądać bohatera, opuśćmy to miejsce, otrzepmy prochy z naszego obuwia, i pójdziemy tam gdzie ludy żyją wolne.“ — Te słowa przeraziły starego pana okropnie: „Dziecko! mam ja być wygnańcem? mam być bez nadziei, nie pożegnać méj stroskanéj małżonki ani własnéj zagrody?“ — „Tak ojcze, los okropny zgotowały przygody! Nie upadaj na duchu, bo ja zastąpię ciebie i syna.“

Tylko prawa Polka, owa niezachwiana przyjaciółka, tak mówić zdoła! — Staruszek pożegnał tedy Lidę więcéj niż córkę, więcéj niż synową; oblał ją łzami, a to było na drogę błogosławieństwo tułacza. — Lida

opuściła kraj pruski, wśród największych niebezpieczeństw; nie wiedziała bowiem, że jej narzeczony za stałość swoją przesiedlony będzie nad samo morze do Pilawy, aby znosił zaduchy cięższego jeszcze tam więzienia. Znosił on te ogromne ciosy z męztwem, jak rzadko szukać śmiertelnika, pokrzepiając się nadzieją, że przecie dlań gwiazda jaka zaświeci.

Niestety, dla Polski zgasły wszystkie naraz gwiazdy. Po upadku Warszawy nie mogły się trzymać długo wojska narodowe w Modlinie, bo się brak pokazał żywności, amunicji, a nadewszystko brak jedności, brak zgody. Naczelny wódz Rybiński przewidział wszystkie te niezwalczone przeszkody; ratując resztki ze życiem przeszedł z armją do Prus i stanął w Swobodzinie.

Lida wróciła z pełnym żalem do posmutniałej Litwy; przyniosła stroskanej matce ostatnie od męża i syna pozdrowienie, a to był los i cios tak okrutny, że powalił staruszkę na łoże boleści. — W Litwie odbywały się teraz straszne sądy Boże, wyludniano wsie i miasta, konfiskowano majątki, cień podejrzenia wystarczał, aby utracić wszystko. — Wśród tych okoliczności Lida powróciła na łono rodziny, i zamiast rozpaczy oddała się modlitwie. W cichym zakątku szeptała we dnie i w nocy gorące modlitwy do pana Zastępów, aby dał ulgę nieszczęśliwym tułaczom. — Tak trwało kilka tygodni.

Już mrozy ścisnęły na dobre ziemię, śnieżna zawierucha świstała od północy, śniegi pozasypały wszystkie drogi. Pozamykano na noc podwoje pomieszkania, nawet psy pochowały się skomląc od zimna, a tu zapukał ktoś do okna. — Wszyscy w domu pokładli się byli na spoczynek, jedyna Lida klęcząc odmawiała pacierze, a słysząc owo stukanie, przelękła się okropnie, spodziewając się, że kozaki zawitali do dworu. — Co to będzie? — Wstała jednak powoli, przeżegnała się: „O Jezu ratuj!“ — Przybliżyła się do okna i patrzy,

a tu widzi jakąś postać. Wyciąga rękę owa postać i znowu puka do okna. — „Kto tam?“ zapytuje trwożliwie Lida. — „Ja,“ odpowiada głos kobiecy, „niech też panienka otworzy.“

Lida wybiegła, widząc dwie kobiety, pyta skwapliwie: „co chcecie?“ — „Panienko puść nas, my pomarznięte okropnie.“ — Wprowadziła je do sieni, odemknęła pokój gościnny, i nie zapalając świecy, zapytuje „Kto jesteście i po co?“ — „Oh panienko, nie poznajesz Krywowéj i Izydorki?“ — „Dla Boga! co wy tu robicie?“ — „Ach panienko, przygnała nas okropna przygoda.“ — „Cóż takiego? powiedzcież proszę, jeżeli w mojéj mocy, uczynię wszystko, nie bójcie się poczciwe.“ — „Zaprowadź nas do pani Wołowiczowéj, mamy zlecenie.“ — „Jakie?“ — „Stary Wołowicz zetknął się z nami pod Tylżą, wypytał się o naszém położeniu, a gdyśmy mu opowiedziały żeśmy utraciły mężów naszych i jesteśmy żebraczkami, nakazał nam, abyśmy poszły do dóbr jego, a pani da nam schronienie.“ — „Oh! jeżeli o to chodzi, to ja należę do pierwszych, która się z wami podzieli ostatnią kromką chleba, a gdybym nie miała, da wam Zochna.“

„Hoho, panienko, Zochnie już wieczne odpoczywanie!“ — „Jak to? ona nie żyje?“ — „Oh Boże! zamordowali ją właśni rodacy, a ona przecie była niewinną.“ — „Nie rozumiem, co chcecie powiedzieć.“ — „Panienko przebacz, bo i my zawiniły,“ i uklękają przed nią kobiety. — „Co takiego?“ — „Panienko!“ rzekła z łkaniem Izydorowa; „mój mąż zdrajcą, ale ja niewinna.“ — „Co mówisz kobieto!“ — „Tak, wyjaśniło się wszystko, a ja teraz nie będę miała do zgonu spokoju; lecz jeżeli zawinił, nie on sam winien, ale ci co mu pieniądze obiecywali, a nie dali.“ — „Tak, to mnie masz w podejrzeniu?“ — „Nie mam dziś, alem miała dawniéj, a miałam niesłusznie i niesprawiedliwie, podobnie jak też Krywowa, tymczasem przekonała się,

że w Mereczu pisarz dybał na niego i otrzymał od Moskwy grube pieniądze.“

Ten fenomen dziwne zrobił na Lidę wrażenie. Ulokowała kobiety, i sama całą noc nie spała, przemyślając nad przygodą tak niespodziewaną. Najbardziéj zasię leżała jéj śmierć niewinnéj Zochny na sercu. Zaledwie zadniało, już znowu prowadziła indagację z kobietami, dowiadując się szczegółów z ich przygód i życia.

Od tego czasu posmutniała okropnie, tak dalece, że utraciła wszelkie nadzieje do jakiego szczęścia z swoim narzeczonym. — W saméj istocie nadzieja owa zaciemniła się wypadkami. Armja polska wyemigrowała do Niemiec. W Dreznie dziw z głodu i mrozu wszyscy nie poginęli; gdyby nie jenerał Bem, co się zajął losem tych nieszczęśliwych, i Klaudyna z Działyńskich hrabina Potocka, która sprzedała swoje kosztowności za 40.000 reńskich i ofiarowała na utrzymanie tułaczy, byliby po części wyginęli.

Wśród tych najuciążliwszych okoliczności, dostali się emigranci do Francji. — Tam między nimi był starzec Wołowicz i Przecławski, a długo nie było widać Michała Wołowicza. Wszyscy myśleli, że zginie w kazamatach Pilawy. Tymczasem zjawia się i on, wita Przecławskiego i wszystkich towarzyszów broni, opowiadając swoje życia przygody. — Ojciec ucieszony pokazuje mu list. Czytał pan Michał powoli, rumienił się i bladł; nareszcie pocałował ten martwy papier. Widząc Przecławski, zaśmiał się z kolegi, a tenże rzekł poważnie: „Szczęśliwszym od ciebie, bo żyje moja Lida, a twoja Zochna gdzie?“ — „Bracie, nie rań mi serca, bo jego rana nie zagoi się ani w grobie.“

Czcionkami Karola Prochaski w Cieszynie.